



NOBELS



Rzeźba Edmunda Osmańczyka, która wkrótce stanie na uniwersyteckim wzgórzu, powstaje z inicjatywy rektora UO prof. Stanisława S. Nicieji w pracowni prof. Mariana Molendy. Fundatorem rzeźby jest GK Góraźdże Cement SA – to dar firmy dla Uniwersytetu Opolskiego z okazji dwudziestej rocznicy jego powstania (fot. Tadeusz Parcej)

Spis treści

Kronika uniwersytecka	3	Pożytki z Adonisa (Joachim Piecuch)	62
Prestiżowe zaproszenie	10	Czy Piastówna mogła nosić imię Estera? (Anna Pobóg- -Lenartowicz)	64
Kreatywność nagrodzona	11	Nuncjusz papieski o „pierwszym mężu po królu” (Włodzimierz Kaczorowski)	66
Doktorat honorowy dla prof. Franciszka Gruczy	12	Śląsk potrzebował studentów – część II (Mariusz Patelski)	69
Laureaci Nagród Quality	12	Pokazań niewidoczne (rozmowa z Michałem Koselem)	73
Język polski jako obcy	13	Zdrowie na mokro (Krzysztof Spałek)	75
Dobra trasa (Wojciech Chlebda)	14	Ślady ćwiczeń cielesnych i umysłowych	78
Tragedia styczniowa (Piotr Górecki)	15	Drogi i ścieżki do uniwersytetu (Stanisław Gajda)	80
Mroźne piekło (Adriana Dawid)	17	Mistrz i przyjaciel (Jan Heffner)	84
Zagłada polsko-ormiańskich Kut (Stanisław S. Nicieja)	20	Biologia nocą	88
Wiersz Jana Goczoła	27	Odeszli: prof. Zygmunt Strzyszczyński	89
(Nie)zapomniany nauczyciel z Arnoldsdorf (Wojciech Chlebda)	28	Uczelnia kołem się toczy	91
Droga do siebie (Joanna Filipczyk)	33	„Nie daj się zrobić w słupa” (Piotr Stanisławiszyn)	95
Opolska Junona w Paryżu (Andrzej Hamada)	37	Polsko-czeski dialog po angielsku	96
Za szybkie pisanie – 35 (Adam Wierciński)	39	Rzeczpospolita rodzinna (Teresa Kudyba)	97
Kto dziś czyta dla przyjemności? (Zbigniew Górniak)	43	Listy, polemiki: Druga strona medalu (Krystyna Stoch- -Borkowska)	99
Znaczkę czasu (Katarzyna Mazur-Kulesza)	46	Listy, polemiki: Moja teczka (Regina Wasiak-Taylor)	100
Przyjemny aromat stęchlizny (Maciej Siembieda)	48	Studenci i prawa mniejszości (Natalia Roślik)	101
Podróż – rozpoznanie – poznanie (Elżbieta Dąbrowska)	50	Kresowej Odysei tom piąty (Marceli Kosman)	102
Miasto (Adam Wierciński)	53	Wielki powrót zawodowca? (Jerzy Duda, Alicja Skubacz)	105
Okna na świat (fotografie Romana Hlawacza)	58	Milczący mikrofon (Witold Sułek)	108
Transparenty, śmieszny pieseczek – i muzyka Bacha (Irena Wyczółkowska)	60	Noty o autorach	110
Drapie się ten, kogo śwędzi (Bartłomiej Kozera)	61	Nowości wydawnicze	112



12 stycznia br. na opolskim Rynku tegorocznymi maturzyźci (wśród nich zapewne także przyszli studenci naszej uczelni) odtęczyli poloneza, po czym pozowali do wspólnej fotografii – m.in. z prezydentem Opola Arkadiuszem Wiśniewskim i rektorem UO prof. Stanisławem S. Nicieją (fot. Sylwester Koral)

Indeks. Pismo UO

Wydawca: Uniwersytet Opolski. Nakład: 550 egz.

Adres redakcji: 45-040 Opole, pl. Kopernika 11, Collegium Maius UO, pok. 17, tel. 77 541-60-17

e-mail: indeks@uni.opole.pl, www.indeks.uni.opole.pl

Redaktor naczelna: Barbara Stankiewicz-Buchowska

Zdjęcia: Jarosław Mokrzycki, Tadeusz Parcej. Opieka merytoryczna: prof. Stanisław S. Nicieja

Skład komputerowy: Henryk Kobiela. Druk: Wydawnictwo i Drukarnia św. Krzyża, 45-007 Opole, ul. Katedralna 6

Zastrzega się prawo do adiustacji, skrótów, dawania własnych tytułów, śródtytułów, nagłówek, przypisów itp., a w przypadku zdjęć i rysunków – własnego kadrowania.

Kronika uniwersytecka

■ **20 listopada 2014.** Gościem Instytutu Sztuki Uniwersytetu Opolskiego była współpracująca z naszą uczelnią prof. Anna Bulanda-Pantalacci z Hochschule Trier, lider i koordynator projektu Cross Border University of History and Arts (szerzej o projekcie i dotychczasowych rezultatach: „Uczelnia bez rektora”, INDEKS nr 1–2, 2013 r.). Kierowany przez dr hab. Łucję Piwowar-Bagińską, prof. UO, nasz Instytut Sztuki od roku 2009 należy do tej międzynarodowej sieci wyższych uczelni i uniwersytetów, działającej w Europie od 2007 roku jako Nomadic University. Na lata 2015–2016 ten koczowniczy uniwersytet przygotowuje się do dwuetapowego projektu zatytułowanego „Autobus pokoju”. Jego założenia, program i cele zaprezentowała prof. Anna Bulanda na spotkaniu ze studentami i pracownikami instytutu.



27 XI 2014. Gośćmi senatorów byli pracownicy naukowcy, którzy w ostatnim czasie uzyskali stopnie doktora habilitowanego (w pierwszym rzędzie od lewej): Bartosz Posacki (Instytut Sztuki), Marta Maciejasz-Świątkiewicz (Wydział Ekonomiczny), Lidia Przymuszała (Instytut Polonistyki i Kulturoznawstwa), Iwona Dąbrowska-Jabłońska (Instytut Nauk Pedagogicznych), Paweł Marcinkiewicz (Instytut Filologii Angielskiej). W drugim rzędzie (od lewej): prorektor prof. Marek Masnyk, rektor prof. Stanisław S. Nicieja, prorektorzy – prof. Wiesława Piątkowska-Stepaniak i prof. Janusz Słodczyk



2 XII 2014. Na Uniwersytecie Opolskim gościł zespół Państwowej Komisji Akredytacyjnej, wizytujący kierunek: chemia



8 XII 2014. Stosunki między Mołdawią a Unią Europejską to temat debaty, w której wziął udział ambasador Republiki Mołdawii w Polsce Iurie Bodrug. Na zdjęciu (od lewej): prof. Aleksandra Trzcielińska-Polus, Eugeniusz Brudkiewicz, prezes Stowarzyszenia Polska-Wschód, Oddział Wojewódzki w Opolu, Iurie Bodrug, ambasador nadzwyczajny i pełnomocny Republiki Mołdawii w Polsce, rektor UO prof. Stanisław S. Nicieja, prof. Piotr Wach, senator RP, Michał Chabros, naczelnik Wydziału Ukrainy i Mołdawii Departamentu Wschodniego MSZ, Walter Stannek, wiceprezes Fundacji Rozwoju Śląska oraz Wspierania Inicjatyw Lokalnych

W największym skrócie: przedstawiciele unijnych krajów oraz zaproszeni goście pokonają trasę od polskiej granicy z Ukrainą do Normandii. Podróż wypełni zwiedzanie historycznie ważnych miejsc, zgłębianie (narzędziami naukowymi i artystycznymi) takich pojęć jak ojczyzna, tożsamość kulturowa, demokracja, odpowiedzialność oraz prezentacja efektów tych poczynąń intelektualno-artystycznych.

■ **27 listopada.** Obradował Senat UO. Gośćmi senatorów byli pracownicy naukowcy, którzy w ostatnim czasie uzyskali awanse naukowe. Stopnie doktora habilitowanego uzyskali: Iwona Dąbrowska-Jabłońska (Instytut Nauk Pedagogicznych), Marta Maciejasz-Świątkiewicz (Wydział Ekonomiczny), Lidia Przymuszała (Instytut Polonistyki i Kulturoznawstwa), Paweł Marcinkiewicz (Instytut Filologii Angielskiej) i Bartosz Posacki (Instytut Sztuki).

■ **1–2 grudnia.** Na Uniwersytecie Opolskim gościł zespół Państwowej Komisji Akredytacyjnej, wizytujący kierunek: chemia.

■ **2–10 grudnia.** W holu Biblioteki Głównej UO można było obejrzeć wystawę zagranicznych książek naukowych z zakresu filologii, filozofii, socjologii, politologii, psychologii oraz pedagogiki.

■ **4 grudnia.** W Sali Senatu UO zainaugurowano rok akademicki 2014/15 na studiach dualnych w ramach kierunku filologia, specjalność: języki obce w turystyce. W uroczystości uczestniczyli przedstawiciele Uniwersytetu Opolskiego, pracodawców – partnerów kształcenia dualnego oraz studenci.

■ **8 grudnia.** Stosunki między Mołdawią a Unią Europejską to temat debaty w Sali Senatu Collegium Maius, której organizatorami byli: Uniwersytet Opolski i Regionalny Ośrodek Debaty Międzynarodowej. Go-



9 XII 2014. Dr Adam Wierciński prowadził, w Wojewódzkiej Bibliotece Publicznej, spotkanie z red. Marianem Buchowskim, autorem książki „Buty Ikara”



11 XII 2014. Gościem Uniwersytetu Opolskiego był prof. Krzysztof Kurzydłowski, dyrektor Narodowego Centrum Badań i Rozwoju. Na zdjęciu od lewej: Urszula Cioleszyńska, prezes Fundacji Promocji Innowacji Gospodarczych w Opolu, rektor UO prof. Stanisław S. Nicieja, Krzysztof Kurzydłowski, Andrzej Kler, prezes firmy KLER SA z Dobrodzienia, prof. Krystyna Czaja, Andrzej Sałacki, prezes LKJ Lewada z Zakrzowa i Gracjana Woźniczka-Pawlak, prezes Zarządu Vto-Dekor z Głogówka

ściem konferencji, którą otworzył rektor UO prof. dr hab. Stanisław S. Nicieja, był ambasador Republiki Mołdawii w Polsce Iurie Bodrug.

■ **9 grudnia.** Prof. dr hab. Zdzisław Pentek wygłosił w Instytucie Historii – w ramach cyklu Seminarium Naukowe Badaczy Przeszłości i Kultury – wykład pt. „Różne punkty widzenia wypraw krzyżowych – chrześcijaństwo i muzułmanie”. Organizatorami spotkania był Instytut Historii UO i Studenckie Archeologiczne Koło Naukowe.

• Z udziałem prorektor ds. promocji i zarządzania

prof. dr hab. Wiesławy Piątkowskiej-Stepaniak obradował Zarząd Stowarzyszenia Absolwentów UO. Podczas spotkania podsumowano działalność Stowarzyszenia w 2014 r., sporo uwagi poświęcono II Zjazdowi Absolwentów WSP i UO.

• Dr Adam Wierciński prowadził, w Wojewódzkiej Bibliotece Publicznej, spotkanie z red. Marianem Buchowskim, autorem książki „Buty Ikara”.

■ **10 grudnia.** Rektor UO prof. dr hab. Stanisław S. Nicieja oraz prorektor ds. kształcenia i studentów prof. dr hab. Marek Masnyk wręczyli Nagrody Quality przyznane za działalność na rzecz podnoszenia jakości kształcenia w Uniwersytecie Opolskim w roku akademickim 2013/2014. Więcej na str. 12.

• Odbyło się kolejne posiedzenie Senackiej Komisji ds. Organizacji i Rozwoju UO, w którym wzięła udział prorektor ds. promocji i zarządzania prof. dr hab. Wiesława Piątkowska-Stepaniak. Obrady dotyczyły strategii rozwoju Uniwersytetu Opolskiego w latach 2015–2020.

■ **11 grudnia.** Uniwersytet Opolski odwiedził prof. dr hab. Krzysztof Jan Kurzydłowski, dyrektor Narodowego Centrum Badań i Rozwoju. Podczas spotkania z władzami rektorskimi oraz dziekańskimi, Ewa Ruryńkiewicz,



19 XII 2014. W Muzeum w Nysie odbył się wernisaż wystawy malarstwa prof. Edwarda Sytego, kierownika pracowni malarstwa i rysunku Instytutu Sztuki UO, pt. „Z ziemi włoskiej”



14 I 2015. W auli Wydziału Teologicznego odbyła się konferencja pt. „Tragedia górnośląska w miejscowościach podopolskich – 1945”, zorganizowana przez Wydział Teologiczny, Instytut Historii oraz burmistrz Prószkowa Różę Malik

kanclerz UO dokonała prezentacji multimedialnej, przedstawiając działalność i osiągnięcia uczelni. Omówiła też założenia w zakresie strategicznych projektów uniwersytetu planowanych do realizacji w okresie 2015–2020. Podczas spotkania ze społecznością akademicką uczelni profesor Kurzydłowski wygłosił wykład nt. „Wspierania badań, wdrożeń i transferu technologii w programach Narodowego Centrum Badań i Rozwoju w perspektywie finansowej 2014–2020”.

■ **12 grudnia.** W ramach cyklu pt. „Bogactwo chrześcijańskiego Wschodu”, referat pt. „Trzecie płuco Kościoła? Zapomniane dziedzictwo chrześcijan syryjskich” na Wydziale Teologicznym UO wygłosił ks. dr Mateusz Potoczny.

● „Cztery żywioły” to tytuł przedświątecznego pokaz eksperymentów fizycznych, które w gmachu UO przy ul. Oleskiej zorganizował Instytut Fizyki. Doświadczenia zaprezentował mgr Andrzej Trzebuniak.

■ **16 grudnia.** Prorektor ds. kształcenia i studentów prof. dr hab. Marek Masnyk uczestniczył w Kolegium Rektorów Uczelni Opola, Wrocławia i Zielonej Góry, które obradowało na Papieskim Wydziale Teologicznym we Wrocławiu.

■ **17 grudnia.** Rektor UO prof. dr hab. Stanisław S. Nicieja wziął udział w posiedzeniu Rady Pamięci Miejsc Walki i Męczeństwa, które odbyło się w Warszawie.

■ **18 grudnia.** W Koszęcinie, z udziałem rektora UO prof. dr hab. Stanisława S. Nicieji, obradowała Rada Programowa Zespołu Pieśni i Tańca „Śląsk”.

● Wręczeniem nagród II edycji konkursu badawczego Odkrywcą Światów rozpoczęło się spotkanie w Insty-

tucie Fizyki UO, podczas którego wykład pt. „Jak zbudowany jest Wszechświat” wygłosił dr hab. Grzegorz Michałek z Obserwatorium Astronomicznego Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie. Uczniowie szkół Opolszczyzny, zarazem studenci Wirtualnej Akademii Astronomii, zaprezentowali swoje prace badawcze, wyniki i dokonali analizy obserwacji – od badania terminatora Księżyc, „porównanie ilości paliwa potrzebnego na start z Ziemi oraz z Księżycem”, po zbudowanie wahadła Foucaulta w pracy: „Wahadło Foucaulta, dowodem obrotowego ruchu Ziemi”.

■ **19 grudnia.** W Muzeum w Nysie odbył się wernisaż wystawy malarstwa dr. hab. Edwarda Sytego, prof. UO, kierownika pracowni malarstwa i rysunku Instytutu Sztuki UO, pt. „Z ziemi włoskiej”. Ekspozowane obrazy powstały podczas lipcowego pleneru malarskiego (ze studentami Politechniki Opolskiej) we włoskim mieście Pavia i można je było obejrzeć do 14 stycznia br.

■ **7 stycznia 2015.** Minęło 50 lat od śmierci prof. dr. hab. Stanisława Kolbuszewskiego, byłego rektora Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Opolu, któremu poświęcono wystawę na I piętrze Collegium Maius.

● W auli seminaryjnej Wydziału Teologicznego UO odbyło się spotkanie oplatkowe i noworoczne, w którym wzięli udział nauczyciele akademicy i pracownicy administracyjni wyższych uczelni i instytutów Opola.

■ **9 stycznia.** Podczas Nocy Biologów, zorganizowanej w gmachu UO przy ul. Oleskiej przez Katedrę Biosystematyki można było m.in. obejrzeć kolekcje owadów i skamieniałości, wysłuchać prelekcji o mikroświecie roślin, o wampirach i „nauce na tropie zbrodni”. Więcej na str. 84.



15 I 2015. Gośćmi władz rektorskich (na zdjęciu – podczas zwiedzania Muzeum UO) byli przedstawiciele władz Opola. Na zdjęciu, od lewej: Grzegorz Marcjasz, rektor prof. Stanisław S. Nicieja, prorektor Wiesława Piątkowska-Stepaniak, wiceprezydent Mirosław Pietrucha, dyrektor Muzeum UO dr Wanda Matwiejczuk i Sebastian Paroń

■ **11 stycznia.** Rektor UO prof. dr hab. Stanisław S. Nicieja był gościem opłatkowego spotkania członków opolskiego oddziału Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich.

■ **12 stycznia.** Uniwersyteckie plany dotyczące Pomologii w Prószkowie – to temat spotkania rektora UO prof. dr hab. Stanisława S. Nicieji z prof. Arkadiuszem Nowakiem z Samodzielnej Katedry Biosystematyki, pełnomocnikiem rektora ds. utworzenia ogrodu botanicznego w Prószkowie.

■ **13 stycznia.** „Pytania jako wnioski” – tak zatytułowany wykład, zorganizowany przez Opolski Oddział Polskiego Towarzystwa Filozoficznego oraz Grupę Logiki, Języka i Informatyki, wygłosił w Collegium Civitas UO prof. dr hab. Andrzej Wiśniewski z Instytutu Psychologii Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu.

■ **14 stycznia.** Wydział Teologiczny, Instytut Historii UO oraz burmistrz Prószkowa Róża Malik – to organizatorzy konferencji popularnonaukowej pt. „Tragedia górnośląska w miejscowościach podopolskich – 1945”, która obradowała w auli Wydziału Teologicznego. Konferencję, w której uczestniczył m.in. prorektor ds. kształcenia i studentów prof. dr hab. Marek Masnyk, otworzył rektor UO prof.

dr hab. Stanisław S. Nicieja. Więcej na str. 15.

● Gościem rektora UO prof. dr hab. Stanisława S. Nicieji był Guido Vreuls, szef firmy „OTTO”, działającej na rynku pracy.

■ **15 stycznia.** Projekt umowy o utworzeniu federacji to temat spotkania kolegium rektorskiego Uniwersytetu Opolskiego i kolegium Państwowej Medycznej Wyższej Szkoły Zawodowej w Opolu.

● Władze rektorskie spotkały się z władzami Opola, reprezentowanymi przez wiceprezydenta Mirosława



19–23 I 2014. Gośćmi Uniwersytetu Opolskiego była delegacja z Narodowego Uniwersytetu Lotniczego i Państwowego Berdiańskiego Uniwersytetu Pedagogicznego w Kijowie. Na zdjęciu (od lewej): rektor UO prof. Stanisław S. Nicieja, prodziekan Wydz. Filologicznego UO dr Elżbieta Szymańska-Czaplak, Iryna Ryzhkova z Centrum Partnerstwa Wschodniego UO, prof. Viktoria Zarva i prof. Yaroslav Kozachok

wa Pietruczę, sekretarza Grzegorza Marcjasza i asystenta prezydenta Sebastiana Paronia. Podczas spotkania omawiano możliwości zacieśnienia współpracy w zakresie dydaktyki (szczególnie kształcenia dualnego), nauki, inwestycji oraz włączenia środowiska akademickiego w zespoły i grupy doradcze prezydenta Opola. Przedmiotem rozmowy były również projekty miękkie: programy stypendiów, grantów i szkoleń, spotkania pracodawców ze studentami.

- W Wojewódzkiej Bibliotece Publicznej w Opolu odbył się wernisaż wystawy obrazów Mariana Wojewody, pracownika Instytutu Studiów Edukacyjnych UO. Gościem wernisażu był m.in. rektor UO prof. dr hab. Stanisław S. Nicieja, który tego dnia spotkał się także z Januszem Wójcikiem, dyrektorem Departamentu Kultury i Sportu Urzędu Marszałkowskiego w Opolu.

- **16 stycznia.** Prorektor ds. nauki i finansów prof. dr hab. Janusz Słodczyk uczestniczył w roboczym posiedzeniu Uniwersyteckiej Komisji Nauki. Tematem warszawskiej narady było wystąpienie prof. Macieja Zabela – przewodniczącego Komitetu Ewaluacji Jednostek Naukowych, który zapoznał prorektorów z projektem zmian w ocenie parametrycznej i kategoryzacji jednostek naukowych w 2017 roku. Poinformował, że propozycje zostały przedstawione do zaopiniowania Ministerstwu Nauki i Szkolnictwa Wyższego. Przyjęto, że parametryzacja w roku 2017 powinna być kontynuacją poprzedniej parametryzacji z roku 2013. KEJN proponuje jednocześnie wprowadzenie korekt, dotyczących m.in. uszczegółowienia niektórych kryteriów, podniesienia rangi patentów i wdrożeń, równoważenia języka publikacji.

- **17 stycznia.** Rektor UO prof. dr hab. Stanisław S. Nicieja był gościem Zjazdu Buczaczan w kościele pw. Karola Boromeusza we Wrocławiu.

- **19–23 stycznia.** Gośćmi Uniwersytetu Opolskiego była delegacja z Narodowego Uniwersytetu Lotniczego (NAU) i Państwowego Berdiańskiego Uniwersytetu Pedagogicznego w Kijowie: prorektor ds. naukowo-wychowawczych prof. Yaroslav Kozachok, zastępca kierownika katedry dziennikarstwa prof. Ellina Tsykhovska i rektor Państwowego Berdiańskiego Uniwersytetu Pedagogicznego prof. Viktoria Zarva.

- **20 stycznia.** „Powstanie styczniowe. Motywy. Walka. Dziedzictwo” – to tytuł książki pod red. dr. Antoniego Maziarza, która była przedmiotem spotkania w Muzeum UO. Książka jest pokłosiem konferencji zorganizowanej w Opolu, w maju 2013 r. (z okazji 150. roczni-

cy powstania styczniowego) przez Uniwersytet Opolski, opolski oddział Towarzystwa Historycznego, przy współudziale Urzędu Miasta Opola.

- Na Politechnice Wrocławskiej obradowała Konferencja Rektorów Uniwersytetów Wrocławia, Opola i Zielonej Góry. Uniwersytet Opolski reprezentował rektor prof. dr hab. Stanisław S. Nicieja.

- **21 stycznia.** Rektor UO prof. dr hab. Stanisław S. Nicieja i prorektor ds. promocji i zarządzania prof. dr hab. Wiesława Piątkowska-Stepaniak spotkali się z delegacją Narodowego Uniwersytetu Lotniczego (NAU) i Państwowego Berdiańskiego Uniwersytetu Pedagogicznego w Kijowie. Podpisano aneks do ramowej umowy zawartej między NAU a Uniwersytetem Opolskim określający zasady współpracy w zakresie programów studiów i edukacji studentów na studiach II stopnia (kierunki: dziennikarstwo oraz zarządzanie informacją w nowych mediach). Goście z Kijowa spotkali się także z kierownictwem Instytutu Studiów Edukacyjnych, Instytutu Politologii oraz władzami Wydziału Ekonomicznego.

- W tym dniu prorektor ds. promocji i zarządzania prof. dr hab. Wiesława Piątkowska-Stepaniak spotkała się także z wiceprezydentem Opola Mirosławem Pietruczą (rozmowa dotyczyła włączenia firm, w których miasto ma udziały, do realizowanego na uniwersytecie projektu „Szkoła dualna”) i Walentyną Chodakijską, dziekan Wydziału Finansów i Bankowości Narodowego Państwowego Uniwersytetu Służby Podatkowej w Irpinii – spotkanie poświęcone było możliwościom podjęcia wspólnych projektów w ramach programu Erasmus Mundus oraz nawiązania współpracy



29 I 2015. Podczas posiedzenia Senatu UO Sylwia Nowak z Samodzielnej Katedry Biosystematyki przyjęła gratulacje z okazji uzyskania stopnia doktora habilitowanego. Na zdjęciu, w drugim rzędzie, od lewej prorektorzy: prof. Marek Masnyk, prof. Wiesława Piątkowska-Stepaniak i prof. Janusz Słodczyk (fot. Marcin Miga)

w zakresie studiów i edukacji studentów na studiach II stopnia, a w efekcie możliwościom powołania studiów dwustronnych.

■ **22 stycznia.** Na Uniwersytecie Opolskim podpisano umowę o współpracy z brytyjską firmą Kolab Digital, którą reprezentowała Marta Kuśnierz – absolwentka politologii naszej uczelni, którą przyjął prorektor ds. kształcenia i studentów prof. dr hab. Marek Masnyk. Firma Kolab Digital to agencja multimedialna i marketingu internetowego, jej siedziba mieści się w Londynie. Umowa umożliwia odbycie płatnych praktyk studenckich, płatnych staży, firma deklaruje także zatrudnienie studentów i absolwentów uczelni. Koordynatorem współpracy jest Akademickie Centrum Karier Uniwersytetu Opolskiego.

● Prorektor ds. kształcenia i studentów prof. dr hab. Marek Masnyk był gościem wiceprezydenta Opola Janusza Kowalskiego – rozmowa dotyczyła sportu akademickiego.

■ **24 stycznia.** W Opolskim Teatrze Lalki i Aktora im. Alojzego Smolki świętowano Dzień Babci i Dziadka. Z tej okazji bajki dzieciom czytał m.in. rektor UO prof. dr hab. Stanisław S. Nicieja.

■ **26 stycznia.** W księgarni „Libra” w Rzeszowie rektor UO prof. dr hab. Stanisław S. Nicieja spotkał się z czytelnikami swoich książek, promując najnowszą, piątą część „Kresowej Atlantydy”. W Rzeszowie spotkał się także z grupą przewodników turystycznych, podczas spotkania odbyła się projekcja filmu o Skolem.

■ **27–29 stycznia.** Rektor UO prof. dr hab. Stanisław S. Nicieja przebywał na Ukrainie, gdzie – podczas wieczoru autorskiego w pałacu Potockich we Lwowie – spotkał się m.in. z konsulem generalnym we Lwowie Jarosławem Drozdem i b. ambasadorem Ukrainy w Warszawie Markijaniem Malskim.

■ **29 stycznia.** Obradował Senat UO. Gośćmi senatorów była dr hab. Sylwia Nowak z Samodzielnej Katedry Biosystematyki oraz studentki, które otrzymały stypendia ministra nauki i szkolnictwa wyższego, za wybitne osiągnięcia w roku akademickim 2014/2015: Aleksandra Morawiak (historia, II rok studiów magisterskich) i Dorota Modzelewska (biotechnologia inżynierska, IV rok studiów pierwszego stopnia). Podczas obrad senatorowie zatwierdzili „Strategię rozwoju UO na lata 2015–2020”.

■ **29 stycznia – 1 lutego.** Siedem medali (trzy złote, jeden srebrny i trzy brązowe) zdobyli nasi studenci na rozegranych w Sobótce 51. Indywidualnych Mistrzostwach Polski w Badmintonie. Aneta Wojtkowska, studentka II roku pedagogiki, zdobyła dwa złote medale,



29 I 2015. Aleksandra Morawiak (z lewej) i Dorota Modzelewska, stypendystki ministra nauki i szkolnictwa wyższego były gośćmi senatorów Uniwersytetu Opolskiego (fot. Marcin Miga)

w grze podwójnej kobiet w parze z siostrą Agnieszką Wojtkowską (III rok pedagogiki) oraz w grze mieszanej z partnerem Pawłem Pietryją (I rok pedagogiki). Agnieszka Wojtkowska wywalczyła też brązowy medal w grze mieszanej w parze z Wojciechem Szkudlarczykiem (LKS Technik Głubczyce), a Paweł Pietryga – także brązowy medal w grze podwójnej w parze z Miłoszem Bochatem (MLKS Solec Kujawski). Mateusz Dubowski, student II roku pedagogiki, został indywidualnym mistrzem Polski w grze pojedynczej mężczyzn, wicemistrzem został Adrian Dziółko (I rok pedagogiki). Adrian Dziółko zdobył też brązowy medal w grze podwójnej mężczyzn w parze z Mateuszem Szałankiewiczem (UKS Unia Bieruń).

■ **2 lutego.** Z udziałem rektora prof. dr hab. Stanisława S. Nicieji obradowała Rada Programowa TVP Opole. W tym dniu rektor uczestniczył także w spotkaniu promującym książkę red. Teresy Zielińskiej pt. „Z Kresów do Opola”, wydanej przez Politechnikę Opolską.

■ **3 lutego.** Obradowała Rada Gospodarcza UO.

● Prorektor ds. promocji i zarządzania prof. dr hab. Wiesława Piątkowska-Stepaniak spotkała się z Wojewódzką Komendant Policji w Opolu insp. Iloną Doroszkiewicz (rozmowa dotyczyła wspólnych projektów, których celem jest zapewnienie bezpieczeństwa wewnętrznego, a także euroregionów i promocji) oraz dyrektor Galerii Sztuki Współczesnej w Opolu Anną Potocką.

■ **4 lutego.** Prorektor ds. promocji i zarządzania prof. dr hab. Wiesława Piątkowska-Stepaniak, dr Stanisława Włoch i Elwira Szocińska uczestniczyły w spotkaniu z Mirosławą Kwatek-Hoffmann, dyrektor Wydziału Polityki Społecznej i Zdrowia Opolskiego Urzędu Wojewódzkiego, podczas którego omawiano ministerialny program „Maluch na uczelni”. Celem programu jest poprawa sytuacji studentów, doktorantów i pracowni-



6–8 II 2015. Na Uniwersytecie Opolskim gościł zespół Państwowej Komisji Akredytacyjnej wizytujący Wydział Ekonomiczny

ków uczelni, będących rodzicami. W spotkaniu wzięli także udział przedstawiciele Państwowej Medycznej Wyższej Szkoły Zawodowej w Opolu, z rektorem Tomaszem Halskim.

- W Kurii Diecezjalnej w Opolu odbyło się, z inicjatywy ks. bpa Andrzeja Czai, spotkanie założycielskie Kapituły Odnowy Kościoła Katedralnego pw. Podwyższenia Krzyża Świętego w Opolu, w którym uczestniczył także rektor UO prof. dr hab. Stanisław S. Nicieja.

- **5 lutego.** Rektor UO prof. dr hab. Stanisław S. Nicieja i prorektor ds. promocji i zarządzania prof. dr hab. Wiesława Piątkowska-Stepaniak uczestniczyli w spotkaniu z dyrektorami ponadgimnazjalnych szkół Opolszczyzny.

- **6–8 lutego.** Na Uniwersytecie Opolskim gościł zespół Państwowej Komisji Akredytacyjnej wizytujący Wydział Ekonomiczny.

- **7 lutego.** W Instytucie Fizyki UO prorektor ds. kształcenia i studentów prof. dr hab. Marek Masnyk wręczył nagrody laureatom Międzyszkolnego Turnie-

ju Fizycznego, zorganizowanego przez opolski oddział Polskiego Towarzystwa Fizycznego.

- **10 lutego.** W Domu Kultury w Chorzowie-Batorym rektor UO prof. dr hab. Stanisław S. Nicieja spotkał się z czytelnikami swoich książek, promując ostatnio wydaną, piątą część „Kresowej Atlantydy”.

Paweł Kowalczyk, student V roku Wydziału Prawa i Administracji UO, otrzymał wyróżnienie za głosę do wyroku NSA z dnia 1 sierpnia 2014 r., sygn. akt I FSK 1106/13 na XVII Ogólnopolskiej Konferencji Naukowej dla studentów pt. „Współczesne problemy orzecznictwa sądowego w sprawach podatkowych”, organizowanej przez CDiSP Uniwersytetu Łódzkiego. Opiekunem naukowym wyróżnionego studenta jest dr Piotr Stanisławiszyn.

**Zebrała: Barbara Stankiewicz
Fot. Jarosław Mokrzycki**

Tomasz Różycki na festiwalu poezji w Princeton

Prestizowe zaproszenie

Tomasz Różycki, opolski poeta i tłumacz, asystent w Katedrze Kultury i Języka Francuskiego UO, znalazł się w gronie 12 poetów reprezentujących cztery kontynenty, którzy odczytają swoje wiersze przed publicznością zgromadzoną w Lewis Center for the Arts w Princeton. Autor „Dwunastu stacji” będzie pierwszym polskim poetą, który zaprezentuje swoje wiersze

na festiwalu literackim w jednym z najbardziej prestiżowych amerykańskich uniwersytetów.

Oprócz niego i licznej reprezentacji uznanych, amerykańskich twórców wystąpią autorzy z Białorusi, Ghany, Wielkiej Brytanii i Wietnamu. Goście wezmą udział także w panelach dyskusyjnych na temat miejsca poezji we współczesnym świecie. (z)

Laury dla rektora

Kreatywność nagrodzona

Rektor UO prof. dr hab. Stanisław Sławomir Nicieja odebrał w Katowicach prestiżową nagrodę imienia wybitnego Ślązaka – Stanisława Ligonia. Laureatami tej nagrody (za rok 2014) zostali także: komisarz Unii Europejskiej Elżbieta Bieńkowska, b. wicepremier RP oraz poseł Antoni Piechniczek, b. trener reprezentacji Polski w piłce nożnej.

Laury przyznawane są przez Radio Katowice od 1983 r. Kapituła wyróżnia w ten sposób osoby zasłużone dla regionu śląskiego w działalności kulturalnej, społecznej i politycznej, również twórczości radiowej. Laureatami tej nagrody są m.in. Jerzy Duda-Gracz, prof. Zbigniew Religa, prof. Marian Zembala, prof. Katarzyna Olbrycht, prof. Kornel Gibiński, Franciszek Pieczka, Zespół Pieśni i Tańca Śląsk.

Kapituła Nagrody im. Stanisława Ligonia wyróżniła rektora UO prof. Stanisława S. Nicieję „za wizję rozbudowy Uniwersytetu Opolskiego, ze szczególnym uwzględnieniem Wzgórza Uniwersyteckiego – projektu jego autorstwa, który realizuje z determinacją i konsekwencją od 20 lat, czyniąc z tego miejsca jedno z najbardziej urokliwych i wysmakowanych artystycznie miejsc na Śląsku”.

Stanisław Ligoń (ur. 1879) znany pod pseudonimem Karlik z Kocyndra, był śląskim działaczem kultural-

nym i narodowym: pisarzem, malarzem, ilustratorem, reżyserem i aktorem. W 1934 r. został dyrektorem katowickiej rozgłośni. Po wybuchu II wojny światowej zamieszkał w Jerozolimie, gdzie działał na rzecz żołnierzy polskich i uchodźców na Bliskim Wschodzie. Zmarł w Katowicach w 1954 r. Jego pogrzeb, w którym wzięło udział około 10 tys. osób, stał się manifestacją Śląska i śląkości.

Kolejną nagrodę przyznał rektorowi minister nauki i szkolnictwa wyższego, a jest to Nagroda Ministra Nauki i Szkolnictwa Wyższego I stopnia za działalność organizacyjną. To już szesnasta tego typu nagroda w czterdziestoletniej karierze akademickiej prof. Stanisława S. Nicieji. Po raz pierwszy otrzymał ją w roku 1975 – za działalność w ruchu studenckim, jako kierownik Studenckiego Studia Radiowego „Radio-Sygnaly” i redaktor pisma studenckiego „Spójnik”. Czterokrotnie nagrodzono go za działalność naukową: po raz pierwszy w 1983 roku za pracę habilitacyjną pt. „Adam Próchnik. Historyk – polityk – publicysta”, a później za książkę „Cmentarz Łyczakowski we Lwowie” (wydaną przez Ossolineum w nakładzie 250 tysięcy egzemplarzy), następnie za filmy dokumentalne o twierdzach kresowych Rzeczypospolitej oraz książkę „Lwowskie Orleńta. Czyn i legenda”.



Na zdjęciu (od lewej): rektor UO prof. Stanisław S. Nicieja, prof. Marian Zembala i b. trener reprezentacji Polski w piłce nożnej Antoni Piechniczek (fot. Jarosław Mokrzycki)

Nagrody organizacyjne ministra nauki i szkolnictwa wyższego otrzymywał głównie za kreatywność i realizowane na Uniwersytecie Opolskim inwestycje: budy-

nek Collegium Maius, Villa Academica i Collegium Civitas. (b)

Doktorat honorowy dla prof. Franciszka Gruczy

Decyzją Senatu Uniwersytetu Opolskiego, partą uchwałami Senatu Uniwersytetu Wrocławskiego oraz Senatu Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu, 10 marca br., podczas święta naszej uczelni, prof. dr hab. Franciszek Grucza, germanista, językoznawca, twórca glottodydaktyki, uczonek podejmujący temat polsko-niemieckiej koegzystencji kulturowej, zostanie uhonorowany tytułem doktora *honoris causa* Uniwersytetu Opolskiego.

Recenzje o dorobku naukowo-badawczym, redak-

cyjnym oraz działalności organizacyjnej prof. dra hab. Franciszka Gruczy sporządzili: **prof. dr hab. Iwona Bartoszewicz** z Instytutu Filologii Germańskiej Uniwersytetu Wrocławskiego oraz **prof. dr hab. Józef Darski** z Instytutu Filologii Germańskiej Uniwersytetu Adama Mickiewicza. Funkcję laudatora w przewodzie o nadanie tytułu doktora *honoris causa* UO senatorowie powierzyli **dr hab. Marii Katarzynie Lasatowicz, prof. UO**, dyrektor Instytutu Filologii Germańskiej Wydziału Filologicznego UO. (b)

Laureaci Nagród Quality

Dr Maria Bucka (Wydział Ekonomiczny), **mgr Grzegorz Haber** (Instytut Politologii), **dr Jacek Iwański** (Instytut Matematyki i Informatyki), **dr Jarosław Sławiński** (Katedra Ochrony Powierzchni Ziemi) i **mgr Michał Wanke** (Instytut Socjologii) – to

laureaci kolejnej edycji Nagród Quality, przyznanych za działalność na rzecz podnoszenia jakości kształcenia w Uniwersytecie Opolskim w roku akademickim 2013/2014.

(b)



Laureaci Nagród Quality (od lewej): Grzegorz Haber, Michał Wanke, dr Maria Bucka, dr Jarosław Sławiński, dr Jacek Iwański. W drugim rzędzie, od lewej: prorektor ds. kształcenia i studentów prof. Marek Masnyk i rektor prof. Stanisław S. Niciejca

Pierwszy w Opolu egzamin certyfikacyjny

Język polski jako obcy

Po raz pierwszy w Opolu odbył się państwowy egzamin certyfikacyjny z języka polskiego jako obcego. W dniach 22 i 23 listopada 2014 roku do egzaminu zorganizowanego na Uniwersytecie Opolskim przystąpiło 35 osób z różnych rejonów Polski oraz z zagranicy. Pośród zdających byli głównie mieszkańcy województwa opolskiego, ale nie tylko. Przyjechały do nas także osoby z Wrocławia, Łodzi i Szczecina. Najlicniejszą grupę zdających stanowili Ukraińcy. Byli też Rosjanie, Niemcy, Mołdawianie, Rumuni, Bułgar oraz przedstawiciel RPA.

Egzaminy certyfikowane przeprowadza Państwowa Komisja Poświadczania Znajomości Języka Polskiego jako Obcego. Komisji w składzie: **dr Magdalena Krzyżostaniak** – sekretarz, **mgr Anna Mądrecka**, **mgr Małgorzata Pasięka** (pracownicy Uniwersytetu Wrocławskiego) przewodniczyła **prof. Dorota Brzozowska** z Uniwersytetu Opolskiego. Wśród zaproszonych na rozpoczęcie gości byli: dyrektor Instytutu Polonistyki i Kulturoznawstwa **prof. Janina Hajduk-Nijakowska**, prodziekan ds. nauki **prof. Elżbieta Dąbrowska**, przedstawiciel Centrum Partnerstwa Wschodniego i pełnomocnik rektora ds. współpracy z zagranicą **mgr Ludmiła Kaszko** oraz kierująca zespołem lektorów języka polskiego **prof. Marzena Makuchowska**.

Państwowe egzaminy certyfikacyjne z języka polskiego odbywają się od 2004 r. Sesje egzaminacyjne Państwowej Komisji Poświadczania mają miejsce co najmniej trzy razy w roku (wiosną, latem i jesienią) we wszystkich najważniejszych ośrodkach uniwersyteckich (40 ośrodków) w kraju oraz za granicą (m.in. Seul, Pekin, Tokio, Nowy Jork, Chicago, Turyn, Moskwa, Nowosybirsk, Kijów, Dniepropietrowsk, Dortmund). Od 2004 r. do egzaminu przystąpiło ponad 7 tys. zdających.

Standardy wymagań egzaminacyjnych oraz wszystkie zasady przeprowadzania egzaminów opierają się na zaleceniach Rady Europy i są zgodne z najnowszymi zaleceniami dotyczącymi testowania znajomości języków obcych. Należy podkreślić, że egzaminy certyfikacyjne z języka polskiego jako obcego w roku 2008 pomyślnie przeszły audyt ALTE (Association for Language Testers in Europe), co potwierdza ich kompatybilność z analogicznymi egzaminami w innych językach. Obecnie trwają prace przygotowawcze do wprowadzenia egzaminów na pozostałych poziomach europejskich (A1, A2 i C2).

Certyfikat wydawany przez Państwową Komisję Poświadczania Znajomości Języka Polskiego jako Obcego jest dokumentem szczególnie ważnym, bowiem jest on niezbędny przy staraniu się o polskie obywatelstwo. Muszą go także posiadać osoby pragnące podjąć pracę w służbie zdrowia, służbie cywilnej lub w branży obrotu nieruchomościami. Obecnie certyfikat jest jedynym państwowym dokumentem poświadczającym znajomość języka polskiego. Coraz więcej uczel-



Członkowie komisji egzaminacyjnej: dr Magdalena Krzyżostaniak, mgr Anna Mądrecka (Uniwersytet Wrocławski), prof. Dorota Brzozowska (Uniwersytet Opolski)

ni wyższych wymaga okazania certyfikatu przy staraniu się o przyjęcie na studia. Wszyscy cudzoziemcy, którzy ukończyli 16 lat, mogą przystąpić do egzaminu na poziomach B1 i B2, natomiast aby zdawać egzamin na poziomie C2, należy mieć ukończone 18 lat.

Egzamin jest dość długi, bo trwa około pięciu godzin. To dlatego, że dokładnie sprawdzane są wszystkie najważniejsze sprawności językowe: rozumienie ze słuchu, poprawność gramatyczna, rozumienie tekstów pisanych, pisanie oraz mówienie. Osoby zdające mogą wybrać poziom językowy egzaminu, obecnie dostępne są trzy poziomy zaawansowania: B1 – czyli podstawowy, B2 – średni ogólny oraz C2 - czyli zaawansowany.

Dobrze przygotowane osoby, które solidnie uczyły się języka polskiego, zwykle nie mają problemów ze zdaniem egzaminu certyfikowanego. Przestrzega się jednak zdających, aby zapoznali się z przykładowymi testami egzaminacyjnymi i przeczytali zasady przeprowadzania egzaminu. Wszystkie potrzebne informacje można znaleźć na stronie internetowej (www.certyfikatpolski.pl), gdzie również można dokonać rejestracji przed egzaminem.

Na rok 2015 zaplanowane są również egzaminy w dniach: 25–26 kwietnia 2015 r., 11–12 lipca 2015 r., 19–20 września 2015 r. oraz 21–22 listopada 2015 r. Egzaminy w danych ośrodkach odbywają się, gdy na każdy z nich zgłosi się wymagana liczba 30 zdających.

Jesteśmy zadowoleni, że egzamin certyfikacyjny odbył się terenie naszego uniwersytetu. Mamy nadzieję, że w przyszłym roku również będziemy mogli zaprosić do siebie egzaminatorów Państwowej Komisji Poświadczenia Znajomości Języka Polskiego jako Obcego, zwłaszcza że na Uniwersytecie Opolskim studiuje coraz większa liczba obcokrajowców. Serdeczne podziękowania należą się Centrum Partnerstwa Wschodniego za wsparcie w rozpowszechnianiu informacji na temat egzaminu. Należy wspomnieć, że Centrum Partnerstwa Wschodnie w ramach obsługiwanych projektów organizuje bezpłatne zajęcia z języka polskiego dla obcokrajowców. Ponieważ z każdym rokiem coraz więcej osób pragnie poszerzać swoją znajomość języka polskiego, mamy nadzieję, że egzamin certyfikacyjny będzie dla nich nie tylko szansą na uzyskanie cennego dokumentu, ale również ukoronowaniem ich starań w dążeniu do poznania naszego pięknego języka.

Materiał poświęcony egzaminowi certyfikowanemu dostępny jest na stronie internetowej telewizji studenckiej SETA: <http://100.uni.opole.pl/serwis-informacyjny-sport-pogoda-26-11-2014/> oraz Telewizji Opole: http://www.tvp.pl/opole/informacja/kurier-opolski/wideo/22-listopada2014/17759885?start_rec=8.

Agnieszka Górka

Interaktywna mapa „Dobra trasa”

Chociaż do konferencji zamykającej realizację międzynarodowego polsko-czeskiego projektu „Uniwersytety na rzecz pogranicza” zostały jeszcze dwa miesiące, już teraz na stronie www.dobratrasa.eu można korzystać z interaktywnej mapy naszego pogranicza, przygotowanej siłami pracowników i studentów obu partnerów projektu: Katedry Sławistyki Uniwersytetu Palackiego w Ołomuńcu i Instytutu Sławistyki Uniwersytetu Opolskiego. Na mapę składa się kilkanaście tras tematycznych łączących punkty leżące po obu stronach naszej granicy; to m.in. Trasa Mostów, Trasa Dworców i Zabytków Kolejowych, Trasa Cmentarzy Żydowskich, Trasa Sanktuariów, Trasa II Wojny Światowej, Trasa Mojego Serca. Sympatyczny przewodnik – na poły czeski gryf, na poły polski orzeł – oprowadza dziś po niemal 90 fascynujących, czasem zupełnie nieznanymi, miejscach pogranicza polsko-czeskiego, leżących zwykle w zasięgu jednodniowej wycieczki rowerem czy pociągiem. Miejsc tych będzie ok. 150,

mapa bowiem – już teraz dostępna – będzie rozbudowywana przez najbliższych pięć lat. Każdy z jej punktów – to opis historii i współczesności danego miejsca (w języku polskim, czeskim i rosyjskim), a także samodzielnie wykonane przez realizatorów mapy zdjęcia. Realizacja mapy była pełną odkrywą przygodą dla samych uczestników projektu; teraz mają oni nadzieję, że piękno i bogactwo historii naszego pogranicza odkrywać będą odtąd wszyscy użytkownicy mapy.

Oficjalna prezentacja mapy – a także dwóch pozostałych efektów projektu: monografii *Pograniczność i pogranicza w perspektywie nauk społecznych i humanistycznych* oraz trójjęzycznego tematycznego *Słownika pogranicza* – odbędzie się na konferencji zamykającej projekt 21 kwietnia br. roku w murach Uniwersytetu Opolskiego.

Wojciech Chlebda

Piotr Górecki

Tragedia styczniowa

Na Śląsku koniec wojny był jej początkiem

14 stycznia br. na Wydziale Teologicznym Uniwersytetu Opolskiego odbyła się konferencja popularnonaukowa zatytułowana: „Tragedia górnośląska w miejscowościach podopolskich – 1945”.

Rozpętana pod koniec lat 30. ubiegłego wieku wojna, która przetoczyła się przez kraje Europy i świata, dokładnie 70 lat temu ogarnęła tereny Opolszczyzny. Pokonując potęgę III Rzeszy, zwycięska Armia Radziecka nie wchodziła na terytorium puste. Żołnierzom mówiono, że za granicą znajduje się wrogie państwo. Tymczasem mieszkali tu równie wycieńczeni ludzie, którzy również – może nieśmiało – pragnęli końca wojny i końca okrutnego systemu władzy, jakim był narodowy socjalizm. Działania wojenne w styczniu 1945 roku były dramatyczną siłą odwetu – za prawie sześć lat strachu, zniszczeń, łamania wszelkich praw w okupowanych krajach, za wojnę, podczas której zniszczeniu uległa każda dziedzina życia, nie wyłączając systemu wartości człowieka, jego zasad etycznych.

Trudno było zatem oczekiwać wyrozumiałości czy współczucia ze strony biorących odwet żołnierzy. Takimi już jesteśmy – bardzo często odzywają się w nas najniższe instynkty. Opole na krótko przed wkroczeniem wojsk sowieckich opustoszało – mieszkańców zmuszono do ewakuacji. Ale w miejscowościach podopolskich toczyły się krwawe walki – tylko w Boguszycach od 27 do 30 stycznia 1945 r. zginęło 86 żołnierzy Wehrmachtu i prawie 300 żołnierzy Armii Czerwonej. Ofiarą krwawych mordów padła miejscowa ludność cywilna: prawie 300 mieszkańców Boguszyca, 70 mieszkańców Zimnic Wielkich, 30 mieszkańców Folwarku i około 200 mieszkańców innych podopolskich miejscowości, którzy tam szukali schronienia.

Na terenie Śląska Opolskiego w styczniu 1945 r. zginęło 30 tys. żołnierzy radzieckich i 50 tys. żołnierzy niemieckich. Być może tyle samo było ofiar wśród ludności cywilnej, nie licząc późniejszych mordów i deportacji. Odbudowa kraju po wojnie była więc nie tylko czasem usuwania zgliszcz i ruin, ale także czasem odbudowy serc i sumień.

Teologowie naszej Alma Mater, razem z historykami z Instytutu Historii Wydziału Historyczno-Pedagogicznego UO oraz burmistrz Prószkowa, panią Różą Malik jako współorganizatorami, zachowując formę dyskusji w atmosferze wzajemnego zrozumienia i pojednanej przeszłości, chcieli przybliżyć nie tylko studentom, ale także obecnym na konferencji mieszkańcom podopolskich miejscowości, a nade wszystko szkolnej

młodzieży, obraz tamtych wydarzeń i pamięć o dawnych mieszkańcach, często ich rodzicach, dziadkach lub krewnych. Prelegenci akcentowali przede wszystkim to, że mówiąc o tragedii górnośląskiej, trzeba mieć na myśli nie tylko wydarzenia ze stycznia 1945 r. Tak naprawdę tragedia górnośląska czy też tragedia całych ówczesnych Niemiec i Europy rozpoczęła się z chwilą dojścia nazistów do władzy w styczniu 1933 roku. Łamanie praw mniejszości, zagłada Żydów, likwidacja związków i partii politycznych, walka z Kościołem, to tylko niektóre z tych zbrodniczych działań.

Dla Ślązaków mieszkających na polskim Górnym Śląsku tragedia rozpoczęła się 1 stycznia 1945 roku. Organizatorzy, pamiętając o złożonej historii Górnego Śląska, starali się nie zacieśniać tematyki konferencji do wydarzeń ze stycznia 1945 r., ukazując tamte wydarzenia w jak najszerszym tle, przypominając przyczyny tamtych wydarzeń i umiejscawiając je na mapie ogólnoeuropejskich wydarzeń ostatniej wojny.

W pierwszej części sesji, której przewodniczył **dr Antoni Maziarz**, **ks. biskup prof. Jan Kopiec** ukazał, w jaki sposób państwo totalitarne eliminowało Kościół katolicki i Kościoły ewangelickie z życia publicznego. **Ks. dr Piotr Górecki** przybliżył aktywność duszpasterską na terenie ówczesnej archidiecezji wrocławskiej w okresie ostatniej wojny. Wykazał przy tym, że czynionym zarzutom lojalności duchowieństwa, a nawet współpracy Kościoła katolickiego z reżimem przeczą przykłady męczeństwa i czynnego oporu duchowieństwa oraz wiernych, które nazistowska władza bezwzględnie niszczyła. Siłą Kościoła okazała się jego zewnętrzna bezsilność, głęboka wiara w Bożą Opatrzność i „miłość, która wszystko przetrzyma”. **Dr Mariusz Patelski** scharakteryzował działania frontowe w miejscowościach podopolskich od stycznia do marca 1945 roku. Skupił się przy tym nie tylko na działaniach obu armii, ale także na losach cywilnej ludności oraz pozostałościach po tworzonej w pośpiechu linii obrony. Drugiej części sesji przewodniczyła **prof. Barbara Kubis**. **Dr Adriana Dawid** mówiła o wpływie wydarzeń stycznia 1945 r. na życie lokalnych społeczności na Opolszczyźnie, a **ks. prof. Józef Mikołajec**, zastanawiając się nad pytaniem: „Czy historia jest nauczycielką życia?”, dowodził, że wydarze-

nia z historii winny nas uczyć współodpowiedzialności za przeszłość, teraźniejszość oraz przyszłość narodu i społeczności lokalnych: pojednanie i pokój determinują nas do budowy lepszego świata, chociaż nie oznaczają niepamięci. Przygotowany przez **ks. prof. Andrzeja Hanicha** referat o martyrologii duchowieństwa górnośląskiego ze szczególnym uwypięciem księży z dekanatu prószkowskiego, ze względu na absencję prelegenta, obiecano zamieścić w posesyjnej publikacji. Podsumowaniem sesji była dyskusja panelowa, którą prowadził prorektor UO, **prof. Marek Masnyk**. Do wspólnych przemyśleń i zadumy nad wojną, jej trudnym dziedzictwem i wieloletnią pracą nad pojednaniem europejskich narodów, zaproszeni zostali: prof. Barbara Kubis, **prof. Joanna Rostropowicz**, wicestarosta opolski **Krzysztof Wysdak**, przewodniczący TSKN na Śląsku Opolskim **Norbert Rasch** oraz dziennikarz i członek Narodowej Rady Kultury **Bernard Waleński**, autor książki o styczniowych wydarzeniach 1945 r. w Boguszycach zatytułowanej: „Na płacz zabrakło łez” (dzięki staraniom burmistrz Prószkowa Róży Malik wszystkich uczestników konferencji obdarowano wznowionym wydaniem książki).

Na koniec wyświetlono film „Nieopowiedziany 1945”. Jego realizatorzy: **Marcin Tumulka**, **Dariusz Panza** i **Krzysztof Stanek**, zebrali relacje ostatnich

żyjących świadków tych wydarzeń, wówczas małych dzieci.

Podczas konferencji próbowano nie tylko przypomnieć o smutnym, długo nieobecnym w naszej świadomości i podręcznikach do historii epizodzie wojennej historii, ale także poszukiwano odpowiedzi na pytanie, w jaki sposób wydarzenia z przeszłości wpłynęły na późniejsze życie lokalnych społeczności? W rozmowach kulturalnych słychać było opinie, że trzeba w szkołach uczyć historii lokalnej, również tej tragicznej, i to jak najbardziej obiektywnie, bez rozdrapywania ran. Pojawiały się i pytania, czy wydarzenia ze stycznia 1945 r. można porównać do swoistego, bo śląskiego, „kotła bałkańskiego”?

Myślę, że takie uproszczenie jest błędne i szkodliwe dla dzisiejszego Śląska Opolskiego. Powinniśmy pamiętać, że dwudziestowieczna historia Opolszczyzny – targana wydarzeniami rządów narodowych socjalistów, II wojny światowej i bolesnymi zmianami powojennymi, łącznie z nakazem milczenia o górnośląskiej tragedii, jest tak naprawdę historią procesu. Dowodzi ona raczej, w jaki sposób po wojnie, także na Górnym Śląsku, dorastaliśmy do dzisiejszej symbiozy wspólnego życia pod jednym dachem domu, któremu na imię zjednoczona Europa.

Piotr Górecki



Spalony Rynek i ulica Koraszewskiego w Opolu, rok 1945 (fot. Stanisław Bober, ze zbiorów Urzędu Miejskiego w Opolu)

Adriana Dawid

Mroźne piekło

Dla mieszkańców Górnego Śląska – czego potwierdzenie można znaleźć w wielu relacjach – II wojna światowa rozpoczęła się w styczniu 1945 r. Wcześniejszy okres, tak mocno dla mieszkańców Polski oraz innych regionów Europy i świata naznaczony brutalnością i nieprawością, na Górnym Śląsku przebiegał stosunkowo spokojnie. Mieszkańcy regionu niedogodności wojny odczuwali przede wszystkim w postaci drobnych, częściowych ograniczeń aprowizacyjnych. Elfrieda Hosobek wspominając wojnę, przyznaje: *nie pamiętam co to głód. W tym czasie nie doskwierał brak żywności. Głód zaczął się po wojnie.* Trudną konsekwencją wojny był fakt, że spośród Górnoszlązaków spora grupa mężczyzn została wcielona do wojska, a część z nich poległa na frontach. Poczucie bezpieczeństwa mieszkańców regionu nie było jednak zagrożone, co więcej, to właśnie na obszarze Śląska szukali schronienia mieszkańcy centralnych, zachodnich obszarów Niemiec – w kraju panowało wówczas powszechne mniemanie, że Śląsk jest swego rodzaju schronem Niemiec.

Pierwsze symptomy niepokoju przyniosły nalopty amerykańskie, które rozpoczęły się latem 1944 r., a których celem był zakłady przemysłu chemicznego w okolicach Kędzierzyna i Zdzeszowic, stanowiące ważny punkt produkcji wojennej.

Ewakuacja

Przygotowywanych od jesieni 1944 r. planów ewakuacji ludności i majątku ruchomego z Górnego Śląska nie udało się przeprowadzić. Tempo ofensywy Armii Czerwonej było tak duże, że odstąpiono od ich realizacji 20 stycznia, gdy Albert Speer podczas wizyty w Opolu uznał, że zastosowanie zakładanej wcześniej taktyki tzw. spalonej ziemi się nie powiedzie. Mieszkańcy regionu zostali zobowiązani do ewakuacji. W oficjalnych komunikatach powtarzano informacje o nadchodzącym zagrożeniu frontowym i przestrzegano przed żołnierzami Armii Czerwonej dowodząc, że to grupa niecywilizowana, niemoralna, wręcz zwyrodniała. Większość mieszkańców regionu nakazom ewakuacji poddawała się bez sprzeciwu. Śląsk ogarnęły masowe ucieczki i migracja ludności, którą kierowano na teren Sudetów, do Protektoratu Czech i Moraw, Saksonii, Austrii i Bawarii. W tym pierwszym etapie ewakuacji Śląsk opuścić mogło ok. 1,5 mln osób. Akcja ewakuacyjna przebiegała w złych warunkach, w mrozie, chaosie, przy braku zaplecza transportowego, wiele osób opuszczało Śląsk pieszo. Jak wspominał Hubert Skrzypczyk z Wawelna: *Wyszło zarządzenie, że za*

dwie godziny będzie wymarsz całej ludności na zachód. A wtedy była zima, śnieg, mróz co najmniej 15 stopni. Kozę trzeba było zostawić, kury, kaczki, koty i starą kę trzeba było zostawić osiemdziesięcioletnią. Ja wziąłem sanki, matka koło [rower], zabraliśmy trochę jedzenia, ubrań, pościel, pierzynę.

Uciekinierzy nie uniknęli skutków działań frontowych. Szacuje się, że tylko podczas alianckiego nalopty na Drezno mogło zginąć nawet kilkanaście tysięcy osób ze Śląska, które przybyły tam szukać schronienia. Była to w pierwszym rzędzie ludność przybyła na Śląsk podczas wojny z zachodnich części Niemiec, a także osoby związane z władzą, członkowie ruchu nazistowskiego i osoby uboższe, nieposiadające znaczących nieruchomości. Mniej chętnie na opuszczenie Śląska decydowali się mieszkańcy wsi, ludność polskojęzyczna, ci woleli pozostać w swych gospodarstwach.

W styczniu 1945 r. przez Śląsk przeszły w tzw. marszach śmierci grupy więźniów, m.in. likwidowanego KL Auschwitz. Grupa ewakuowanych, pędzonych pieszo więźniów, liczyła ok. 58 tys. osób. Trudów morderczego marszu wielu z nich nie przetrwało, tylko na Śląsku zmarło prawie 3 tys. spośród nich. Pozostali trafili do obozów w Niemczech lub Austrii.

Górny Śląsk, a szczególnie jego przemysłowa część, był istotnym elementem wojskowego zaopatrzenia Niemiec, dlatego nakazy ewakuacji wydawano tu niemal w ostatniej chwili. Część kopalń nie przerwała wydobycia.

Przejście frontu

Armia Czerwona teren przedwojennej, niemieckiej części Górnego Śląska osiągnęła 19 stycznia. Alfons Kupczyk wspomina przejście frontu w okolicach Kędzierzyna: *Piechota, artyleria, czołgi, samoloty, ze wszystkich stron było słycać strzelanie. Ludzi nie było widać, byli pochowani w piwnicach i w innych bezpiecznych miejscach. Następnego dnia wojska radzieckie kazały nam opuścić swoje domostwa i wypędziły nas za Odrę. Mówiono, że na Sybir. Po dwóch dniach wracaliśmy polami do swoich domów, a tu budynki, stodoły spalone, krowy i świny biegają po polach... Wszystko było splądrowane, zniszczone. Jak nas wypędzano, to martwi żołnierze leżeli na drogach, a konie i czołgi po nich tam jechały... To było coś strasznego. Później na naszych ogrodach stacjonowali Rosjanie. Jak przyszli do kuchni, to oni wpiers się najedli, napili, ale tak specjalnie nie mieli czasu, żeby tam później plądrować. Dopiero później tak zwane tyły, które za ty-*

mi wojskami przyszły, zaczęły rozrabiać, bo miały więcej czasu. Te Ruski jeszcze chodzili i szukali dziewczyn. Moja siostra i kuzynki spały u nas, na górze pod dachem. Tam nie było schodów, tylko drabinę spuszczały, jak im coś do jedzenia przyniosłem. Przez kilka dobrych tygodni tam się chowały.

Okres między styczniem a marcem 1945 roku, gdy na obszarze Górnego Śląska panowała pełna samowola sowiecka, należy do jednego z tragiczniejszych okresów w dziejach regionu. Ulegając propagandzie, żołnierze sowieccy brali odwet za zbrodnie hitlerowskie. Armia Czerwona dopuszczała się aktów przemocy, rabunków, gwałtów, dewastacji zakładów przemysłowych, niszczenia mienia prywatnego. Masowe mordy, których liczba ofiar szacowana jest na kilkaset, miały miejsce m.in. w Gliwicach, Bytomiu i podopolskich Boguszycach.

Maria Gnilka spod Krapkowic tak opisywała radzieckich żołnierzy: *Im się podobało złoto, zegarki... Nikt nie wyjeżdżał na drogę, nikt na rowerze nie jechał ani furmanką. Bo jeżeli ktoś jechał na rowerze, to Ruscy mu go zabrali i jeżeli jechał ktoś bryczką, to konia mu zabrali albo cały wóz. No i nikt nie wychodził daleko. Kobiety wtedy przed Ruskimi musiały się chować. Przebierały się w jupki, mazelunki i chustki zawiązywały, żeby na starsze wyglądać, żoldna włosów nie kręciła, yno chowała, a jeżeli któraś miała protezę zębową, to jeszcze ją wyciągła, żeby na starszą wyglądać. No a dosyć poginęło i dzieci, i wojskowych, i cywilnych... dużo, dużo, dużo. Nie idzie tego wszystkiego opowiedzieć.*

Doszło również do szeregu podpażeń i zniszczeń, które nie były efektem działań wojennych, lecz bezprawia, pijaństwa i chęci zatarcia grabieży. W takich okolicznościach zniszczono część Opola, Gliwic, Strzelec Opolskich czy Prudnika. W ślad za Armią Czerwoną na Śląsk wkraczały oddziały NKWD, które miały zabezpieczać tyły wojska i eliminować ewentualne wrogie zagrożenia.

Deportacje

Na podstawie ustaleń konferencji jałtańskiej zezwalającej Sowiетom wykorzystanie do pracy przymusowej ludności niemieckiej jako formy odszkodowania wojennego oraz dekretu z 6 lutego 1945 r. o internowaniu wszystkich Niemców od 17 do 50 roku życia, do ZSRR zostało wywiezionych kilkadziesiąt tysięcy mieszkańców regionu. Wywieszono dwujęzyczne plakaty z informacją, że mężczyźni mają się udać do prac porządkowych. Przejętych tym sposobem Górnoszlązaków wykorzystywano do demontażu wywożonego sprzętu i maszyn. Wyznaczonych do wywózki gromadzono w licznych obozach i podobozach, deportację objęto około 30 tys. osób. Wieziono ich w bydłych wagonach, czasami przez kilka tygodni, w złych warunkach atmosferycznych, przy niskich racjach żywnościowych, bez opieki lekarskiej. Deportowani trafia-

li do obozów pracy m.in. w Donbasie, Kazachstanie, na Syberii, Uralu oraz Kamczatce. Wywózki wstrzymano dopiero w sierpniu 1945 r. Do początku grudnia władzom polskim udało się spowodować powrót nieco ponad 5600 osób. Wiarygodnych i pełnych statystyk odnośnie wywiezionych brak.

Wysiedlenia

Część mieszkańców Górnego Śląska zmuszono do opuszczenia dotychczasowych miejsc zamieszkania i przeniesienia się na zachód, w głąb Niemiec. Dotyczyło to głównie ludności niemieckojęzycznej. Do pierwszych wysiedleń z Górnego Śląska przystąpiono jeszcze przed konferencją w Poczdamie. Władze katowickie zarządziły oficjalnie usunięcie ze Śląska ludności niemieckiej, a także wszelkich śladów niemieckiej spuścizny kulturowej (w postaci m.in. napisów, pomników, publikacji itp.). Wprowadzono zakaz zamieszkania przez Niemców określonych obszarów Górnego Śląska, przede wszystkim miast przemysłowych, później miast powiatowych. Niemcom wytypowanym do wyjazdu zostawiano zazwyczaj niewiele czasu na spakowanie najpotrzebniejszych rzeczy, po czym kierowano ich do obozów.

Wspomina to Maria Alter z Głogówka: *Ile osób brali do obozów! Kogo popadło. Jedni wrócili, drudzy nie, bo ich tam mordowali, cuda robili z tymi ludźmi... Tak samo i dziewczynki, dzieci, wszystkich brali... Jak przyszedł ruski komander, to nie było co gadać, tylko „do woza” i wiózł ich do tego obozu. Ile ludzi poginęło tak daremnie...*

Wyznaczonych do wysiedlenia przetrzymano w piwnicach, stodołach, na placach albo wydzielano im większe obszary w miastach, korzystano też z obozów ponemieckich lub posowieckich, bądź tworzone nowe. Najbardziej znanym obozem (ze względu na wysoki wskaźnik śmiertelności wśród osadzonych) był obóz w Łambinowicach. Akcji wysiedleń ludności niemieckiej ze Śląska towarzyszyło wiele nieprawidłowości i nadużyć oraz aktów agresji. Wielu z wywożonych zostało pozbawionych majątku, spora część nie przetrwała wysiedlenia, ginąc w obozach lub w trakcie transportu. Część Górnoszlązaków samodzielnie decydowała się na wyjazd do Niemiec, dotyczyło to m.in. osób oddanych reżimowi hitlerowskiemu lub niechętnych wobec instalujących się władz polskich. Tylko do grudnia 1945 r. Śląsk Opolski opuściło ok. 86 tys. Niemców.

Prawo pozostania na Śląsku przyznano po wojnie dwujęzycznym Ślązakom. Musieli wcześniej przejść procedurę weryfikacji narodowościowej, którą rozpoczęto w 1945 r., do końca 1946 r. liczba zweryfikowanych sięgnęła ok. 659 tys. osób.

Relacje z Polakami

Źle układały się relacje rodzimych mieszkańców regionu z napływającymi tu Polakami. Pierwszymi,

którzy pojawili się na Śląsku, byli szabrownicy, grabiący pozostawione lub należące do mieszkańców Śląska mienie, uznający, że Śląsk, jako obszar poniemiecki, można bezkarnie eksploatować. Władze polskie przybyły na Górny Śląsk w marcu 1945 r., ich prerogatywy były jednak niepełne, ponieważ nadrzędną pozycję w regionie, który nie miał jeszcze zdecydowanego statusu prawnego, posiadały radzieckie komendantury wojenne. Nowa polska administracja, choć wspierana wówczas jeszcze przez przedwojenny aktyw mniejszości polskiej, nie gwarantowała bezpieczeństwa. Ślązacy bez względu na ich narodowość padali ofiarami rabunków, represji i prześladowań ze strony pospolitych przestępców, a także funkcjonariuszy Milicji Obywatelskiej i Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego. Czasami w konfrontacji z czerwonoarmistami jako bardziej brutalni i niepraworządni jawili się Polacy. Jak relacjonuje Janina Szewczyk: *Rosjanie przychodzili nas odwiedzać, oglądali mieszkanie, ale nam nic nie wzięli. Potem przyszło drugie wojsko, które już bardziej buszowało po mieszkaniach, ale nam nic nie zginęło. Dopiero jeszcze później, jak przyszli panowie z tymi opaskami biało-czerwonymi i z karabinami, no to dopiero się zaczęło. Przyszli, zabrali mojego brata, który miał 15 lat, i mojego ojca, bo były ogłoszenia, że mężczyźni powinni się zgłosić. Potem za kilka dni przyszli znowu – buszowali po całym mieszkaniu, brali sobie co chcieli, wybierali, wyszukiwali... Mnie postawili pod ścianą, trzymali rewolwer przy skroni i ryzeli. Za kilka dni przyszli znowu – pooglądali mieszkanie i okazało się, że przyszedł nowy właściciel tego mieszkania. Mieszkanie mu się spodobało, kazali nam oddać klucze i zgłosić się na dworzec na transport na Syberię.*

Przedsięwzięcia nowych, polskich władz okazały się dla regionu znamienne. Przeprowadzono akcję osiedlenia na Śląsku przesiedleńców z Polski, w tym z Kresów Wschodnich. Władze dążyły do przyspieszenia integracji mieszkańców regionu, lansując model jednonarodowej społeczności. By osiągnąć ten cel, obok wysiedlania Niemców, prowadzono przymusową asymilację ludności rodzimej, dyskryminowano śląskość, przedstawiając ją jako skażoną niemieckością, prowadzono akcję polonizacyjną. Powielane slogany o powrocie Śląska do Macierzy miały uzasadniać przyłączenie tego regionu do Polski oraz potwierdzać konieczność akcji przesiedleńczej. Mieszkańcy Śląska działania i decyzje nowych władz przyjmowali z dystansem. Z obawą obserwowano kierunek zmian ustrojowych, rosnące represje.



Opole, rok 1945. Ulica Książąt Opolskich (fot. Stanisław Bober, ze zbiorów Urzędu Miejskiego w Opolu)

II wojna światowa na Górnym Śląsku, obok zniszczeń wojennych i strat w ludności, przyniosła także konsekwencje w postaci zmiany przynależności państwowej tego regionu oraz *exodus* około połowy mieszkańców, którzy zostali zastąpieni przez Polaków. Integracja starych i nowych mieszkańców następowała z trudnościami, które determinowały m.in. doświadczenia wojny oraz 1945 r.

Adriana Dawid

„Los ludności cywilnej w 1945 r. na Śląsku Opolskim” – wystąpienie na zorganizowaną 14 stycznia 2015 r. konferencję popularnonaukową pt. „Tragedia górnośląska w miejscowościach podopolskich – 1945” miało na celu przybliżenie podstawowych i ogólnych pojęć oraz chronologii wydarzeń, które rozgrywały się na Śląsku w pierwszej połowie 1945 r., a które dotknęły cywilnych mieszkańców regionu. Wywód i główna faktografia zostały zilustrowane fragmentami wspomnień, zaczerpniętych z przygotowywanej do druku staraniem Domu Współpracy Polsko-Niemieckiej publikacji „II wojna światowa we wspomnieniach mieszkańców Górnego Śląska”.

Publikujemy fragment VI tomu „Kresowej Atlantydy”, który ukaże się w kwietniu br. Autor przedstawia tam historię Stryja, Kut, Załucza, Baniłowa i Kniaża – miejscowości, z których pochodzili wielcy Polacy, tacy jak choćby: Kornel Makuszyński, Julian Strykowski, Kazimierz Nowak, Zbigniew Cybulski, Zbigniew Messner, Zbigniew Romanowicz – były prorektor naszej uczelni. Przyniesiony niżej fragment z dziejów Kut – stolicy polskich Ormian, ukazuje najbardziej dramatyczny okres w dziejach tego miasta na ówczesnej polsko-rumuńskiej granicy, kiedy zniszczono w sposób okrutny jego wielonarodowościową społeczność.

Stanisław S. Nicieja

Zagłada polsko-ormiańskich Kut

To jedna z najbardziej dramatycznych, a zarazem kontrowersyjnych historii, nie tylko w tej książce, przeniknięta czarną i białą legendą, obrosła mitami nawzajem się wykluczającymi, w których jest szaleństwo ideologicznych fanatyków, lęk, strach i bohaterstwo, okrucieństwo, szlachetność i nikczemność.

Tuż po wycofaniu się rządu polskiego z Kut rozpoczął się kilkuletni okres zagłady wielonarodowościowej społeczności tego miasteczka. Pierwszym symptomem, że nacjonaliści ukraińscy wykorzystują sytuację wojennego zamieszania i rozpoczynają krwawą walkę z Polakami, było zamordowanie w okolicach Wzgórz św. Jana, przy drodze prowadzącej z Kut do Kosowa, sześciu polskich żołnierzy. Gdy wiadomość ta dotarła do Rumunii, do ich kolegów, którzy tam się ewakuowali, kilku z nich wróciło przez most do Kut i w odwecie powiesiło w pobliskim lesie podejrzanych o ten czyn Ukraińców. Spirala nienawiści zaczęła się nakręcać.

Po zajęciu Kut przez Armię Czerwoną Ukraińcy i miejscowi Żydzi, którzy wspierali okupantów, zaczęli pomagać w wyłapywaniu Polaków uciekających na stronę rumuńską. Złapanych zabijano na miejscu bądź wywożono na Sybir. Mimo tego okupacja sowiecka w Kutach do czerwca 1941 roku była dość łagodna. Trudny do opisanego dramat rozpoczął się, gdy Kuty zajęli Niemcy. Natychmiast przystąpili do likwidacji kucich Żydów, których mordowano masowo na miejscu bądź wywożono do gett, gdzie ich los był przesądzony. Już w 1943 roku hitlerowcy mogli ogłosić, że kwestia żydowska w Kutach jest „ostatecznie rozwiązana”. Świadkowie, którzy przeżyli wojnę, podają nazwiska dwóch granatowych policjantów w Kutach, narodowości ukraińskiej: Kamaty (brak imienia) i Stefana Tarnowieckiego, którzy wsławili się szczególną gorliwością w wyłapywaniu i mordowaniu Żydów.

Po „rozwiązaniu kwestii żydowskiej” przyszedł czas wywózki na roboty do Niemiec bądź mordowanie

na miejscu Polaków i Ormian. W tym czasie do obozu w Majdanku wywieziono braci Michała i Antoniego Antoniewiczów, prof. Leopolda Migockiego – kierownika szkoły w Kutach oraz jego dwóch synów: Czesła-



Petronela z Janowiczów Donigiewiczowa przed swoim pensjonatem „Zacisze” przy ulicy Ormiańskiej 10 w Kutach – z siostrzenicami i ich przyjaciółkami. Pensjonat „Zacisze” został spalony przez banderowców, a jego właścicielka zginęła z ich rąk (ze zbiorów Bogusławy Romaniewskiej z Tarnowa)

wa i Mariana – studenta Politechniki Lwowskiej, który trzy miesiące wcześniej ożenił się z Jadwigą Kozubowicz (1920–2014), autorką wzruszających wspomnień i artykułów o Kutach. Marian Migocki nie wyszedł żywy z Majdanka, jego żona przeżyła go o 70 lat – zmarła w Oławie.

Apogeum antypolskiego i antyormiańskiego terroru w Kutach miało miejsce w marcu i kwietniu 1944 roku. Stanisław Ciołek – mieszkaniec Kut, który osiadł po wojnie w Zakopanem, zanotował: *Po ucieczce Niemców z Kut, w drugiej połowie marca 1944 roku, rozpoczął się horror ludności polskiej i ormiańskiej. W dniu 19 lub 20 marca byłem z ojcem i bratem u księdza Wincentego Smala. Wracając do domu, na ulicy Śniatyńskiej spotkaliśmy kilkunastu mężczyzn na koniach, w baranicach na głowie. Jechali w kierunku Słobódki i Rybna. Po powrocie do domu zobaczyliśmy tony pożarów za Czeremoszem. Spalono wówczas polski kościół w Rybnie. Nad ranem zbudziło nas łomotanie do okna. Była to pani Drwotowa – żona leśnika, która oznajmiła z płaczem, że w nocy został zamordowany jej mąż, Tadeusz Drwota. Poszliśmy tam z ojcem i jeszcze paroma sąsiadami. To, co zobaczyliśmy, przejęło nas zgrozą. Przed domem na oborniku, koło płotu leżał pan Tadeusz Drwota pokłuty nożami, z podciętym gardłem. Pokrwawione ciało Drwoty zostało przeniesione do naszego domu i w dużym pokoju położone na stole. Widok był przerażający. Jak dowiedzieliśmy się, tej nocy zamordowanych zostało w Kutach chyba 13 osób, przeważnie mężczyzn. Od tego czasu już w domu nie nocowaliśmy, chowaliśmy się w łęgach nad Czeremoszem.*

W tym samym mniej więcej czasie zginęła rodzina Berezowskich. *Był to – czytamy w relacji Romana Donigiewicza, mieszkańca Kut – szokujący mord. Ojcu i trzem synom banderowcy pucinali głowy i położyli je na talerzach zastawionych do kolacji z mlekiem i mamaligą. I kazali matce na to patrzeć. Kobieta stradala zmysły. Tego rodzaju sadystyczne demonstracje miały konkretny cel – przerazić Polaków, „niech uciekają jak najszybciej za San. Niech po drodze mówią wszem i wobec, co może spotkać tych, którzy ziemi ukraińskiej nie chcą porzucić”.*

W podobnie okrutny sposób, jak Berezowskich, zamordowano kucką lekarzkę, dr Marię Buzath-Józefowicz (siostrę dyrektora gimnazjum we Lwowie). Przed wojną cieszyła się powszechnym szacunkiem. Leczyła chorych w okolicznych wsiach, w których dominowała ludność ukraińska. Znana była z tego, że od biedoty nie brała pieniędzy. Zabito ją z córeczką Józefą i synkiem Antosiem.

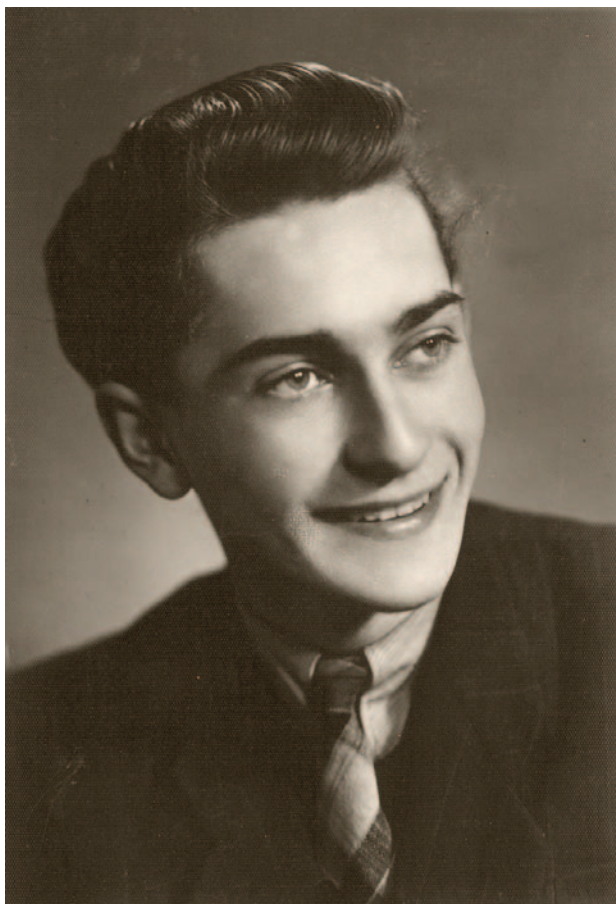
W marcu 1944 roku rozpoczęła na się frontie wschodnim ofensywa wojsk sowieckich. W okolicy Kut Rosjanie dotarli na początku kwietnia. Zaczął się czas wielkiego zamętu. W okolicznych miejscowościach panowało bezkrólewie. Sytuację tę wykorzystowała UPA i rozpoczęła generalną rozprawę z Polakami i Ormianami. Opis dramatów rozgrywających się wówczas w okalających Kutę miejscowościach możemy

znaleźć w opracowaniach Szczepana i Ewy Siekierków, Henryka Kamińskiego, Eugeniusza Różańskiego i w licznych relacjach zgromadzonych głównie w piśmie „Na Rubieży”. Zbrodniom banderowców w Kutach i okolicy poświęcił też cały rozdział w swej książce „Przemilczane ludobójstwo na Kresach” Tadeusz Isakowicz-Zaleski (Kraków 2010). Są tam wstrząsające opisy, w swym okrucieństwie wręcz niewiarygodne. Ale też świadków jest tak dużo i tak zgodnych w swoich relacjach, że trudno wątpić, a tym bardziej zaprzeczać formom sadyzmu, jakimi posługiwali się wówczas banderowcy, dążąc do kompletnego wyrugowania Polaków i Ormian z Pokucia.

Jest wiele relacji potwierdzających, że gdy Kutę zajęła Armia Czerwona, a było to w okolicach Wielkiej Nocy (czyli ok. 9 kwietnia 1944 roku), na chwilę zapanał spokój. Banderowcy wycofali się i czekali na rozwój wydarzeń. Nagle, nie wiedząc czemu, około 19 kwietnia 1944 roku oddział Rosjan, po tygodniu pobytu w Kutach, opuścił miasto na kilka dni, udając się do odległego o 40 kilometrów Śniatyna. Wiele relacji wskazuje, że dowódca tej jednostki, Ukrainiec, doga-



Ślubna fotografia Marii i Stefana Broszkiewiczów. Stefan był synem kuckiego dewelopera i właściciela pensjonatu. Został zamordowany przez banderowców w marcu 1943 roku (fot. z roku 1929, ze zbiorów ich córki – Grażyny Danuty z Broszkiewiczów Drobnickiej z Wrocławia)



Siedemnastoletni Tadeusz Rosół (1934–2000) – kuczczanin, długoletni dyrektor Liceum im. Jana III Sobieskiego w Oławie. Jego ojciec, Marcin Rosół, był celnikiem na moście granicznym w Kutach. Zginął z rąk banderowców (fot. ze zbiorów Blandyny Rosół-Niemirowskiej, polonistki z liceum w Oławie, córki Tadeusza Rosoła)

dał się z miejscowymi banderowcami i na ich prośbę na kilka dni wycofał swój oddział z Kut, dając nacjonalistom ukraińskim wolną rękę w „rozwiązaniu sprawy polskiej i ormiańskiej”. I wówczas rozpętało się piekło. Te trzy doby w opisach kuczczan, którzy przeżyli wojnę, to obraz wielkiej pożogi i rzezi mieszkańców.

Jadwiga Migocka-Drzazga, która po wojnie osiadła w Oławie, wspominała: *19 kwietnia zaczęła się gehenna. Wieczorami z góry Owidiusz rozlegały się nawoływania (ćwierkania ptaków). I wtedy bandycka zgraja schodziła z gór do miasteczka na rzeź. Wtedy zaczynały się masowe mordy, rabunek mienia i palenie domów. Ludzie chowali się, gdzie mogli.* Tego dnia spalono około 40 polskich i ormiańskich domów. Nie oszczędzano nawet polsko-ukraińskich małżeństw. Ożeniony z Polką Włodzimierz Drebet (lat 34) został zaszyty letowany za odmowę własnoręcznego zabicia swojej żony Polki, Heleny Łuckiej (siostry Stanisława Łuckiego, późniejszego działacza Polonii francuskiej). Po wykonaniu egzekucji na Drebecie banderowcy zabili Helenę i jej 4-letniego synka Henryka. Tego dnia nie przeżyli też Stefania i Józef Nappowie (dzieci znanych ceramików Petroneli i Tomasza) oraz Petronela Donigiewiczowa – właścicielka pensjonatu „Zacisze”. Opis

tej zbrodni znamy z relacji Bogusławy Romaniewskiej i Anny Kriwcowej (z domu Łucka), która przeżyła tamten upiorny czas i mieszkała po wojnie w Kutach. W relacji tej czytamy: *Petronela Donigiewiczowa od dłuższego czasu przygotowywała się do opuszczenia domu i gdy zaczął się atak, zdążyła uciec z walizką najcenniejszych rzeczy. Ale nie będąc w stanie ze względu na wagę dźwigać jej zbyt długo, ukryła ją w sadzie. Widziała, jak banderowcy podlewają naftą jej willę „Zacisze” i podpalają. Zbiegła wówczas do kościoła ormiańskiego i tam oświadczyła, że wszystko utraciła. Po pewnym jednak czasie odłączyła się od grupy zamkniętej w kościele, chcąc ratować swoje bliskie krewnie, trzy siostry Bogdanowiczówny. Gdy weszła na podwórko Bogdanowiczów, została zastrzelona i ograbiona z biżuterii, którą miała przy sobie. Pochowano ją później we wspólnym grobie z Anną, Stefanią i Zofią Bogdanowiczównymi na cmentarzu w Kutach.*

Tego dnia spalono domy: listonosza Moskaluka, ormiańskiego burmistrza Bogdana Norsesowicza oraz piekarnię Karola Różankowskiego (1874–1944), z której we wrześniu 1939 roku Tadeusz Dołęga-Mostowicz pobierał pieczywo dla polskich żołnierzy internowanych w Rumunii i w pobliżu niej zginął.

Karol Różankowski ożenił się z pochodząca z Pistynia Julią Śliwińską (1879–1962) – krewną wybitnego organomistrza Jana Śliwińskiego, który w latach 1879–1962 posiadał we Lwowie Fabrykę Organów Kościelnych. Różankowscy mieli czwórkę dzieci: Stefana, Edmunda, Ludwikę i Jadwigę. Przy piekarni posiadali drewniany dom w stylu huculskim, w którym były pokoje dla letników. Za domem znajdował się rozległy sad owocowy, którego pilnował bernardyn Tambus – na krańcu tego ogrodu, pod rozłożystym orzechem, stała jego buda. W rodzinnym archiwum Różankowskich zachowały się dokumenty świadczące o tym, że jako letnicy wynajmowali u nich pokoje m.in. członkowie arcypopularnego wówczas Chóru „Dana” – ze znanym piosenkarzem Mieczysławem Foggiem oraz członkowie góralskiego zespołu artystycznego Michała Piksy (1883–1945) – mistrza gry na harmonii i listku bluszczowym, zamordowanego w obozie hitlerowskim w Dachau.

Córka Karola Różankowskiego, Jadwiga, była żoną Stefana Kiełba – legionisty, piłsudczyka, pracownika Izby Celnej przy moście na Czeremoszu. Różankowski, przeczuwając niebezpieczeństwo, polecił Kiełbowej, mającej małą córeczkę Irenę, aby nocowały w dużej budzie psa Luksa, która była w tej zagrodzie. Natomiast syn, Stefan, z żoną i dwójką drobnych dzieci spędzali nocę w stodole u zaprzyjaźnionej ukraińskiej rodziny Bałanów.

Feralnego dnia, 19 kwietnia 1944 roku, Karol Różankowski, o godzinie 23.00 – jak to było w jego codziennym zwyczaju – poszedł zamykać bramę piekarni. W tym momencie nastąpił atak banderowców. Gdy wpadli do piekarni z zamiarem jej podpalenia, jeden z czeladników zaczął krzyczeć, że jest Ukraińcem. Nie



Stefan Różankowski z żoną – syn kuckiego piekarza Karola Różankowskiego, zamordowanego i spalonego w swojej piekarni przez banderowców, Kuty 1938 (fot. ze zbiorów mieszkającego w Heilbronn w RFN Wiesława Różankowskiego – wnuka Karola)

uchroniło go to od śmierci. Drugi czeladnik, Polak, wyskoczył przez okno, ratując się tym samym życie. Widział tylko, że jego pryncypałowi odcięto głowę. Ten fakt jest o tyle istotny, że Różankowski, popularny w Kutach piekarz, znany z hojności i obdarowywania biednych chlebem, często słyszał: „Panu nie może w naszym mieście włos spaść z głowy”. Po jego tragicznej śmierci mówiono: „Różankowskiemu, który strzygł się do gołej skóry, nie spadł włos, ale cała głowa”. Spłonął w swojej piekarni, po której został tylko kikut sterczącego komina. Jego żona, Julia, oraz córki z dziećmi – mimo okaleczenia ich w czasie napadu – przeżyli i dzięki sąsiadom Ukraińcom udało im się przedrzeć do Kołomyi. W 1945 roku opuścili Pokucie i osiedli w Lublińcu. Syn Stefana Różankowskiego (1910–1970), Wiesław (rocznik 1943), który przeżył ten dramat rodzinny jako dziecko, często wraca pamięcią do wspomnień rodzinnych i mieszkając obecnie w Niemczech w Heilbronn, od czasu powstania niepodległej Ukrainy co roku odwiedza rodzinne miasteczko, w którym była piekarnia jego dziadka. Wnuczka Karola Różankowskiego, córka Stefana Kielba – celnika z Kut, któremu udało się zbiec na Zachód i przeżyć wojnę we Francji, Irena Bejtman (rocznik 1935) – z wykształcenia pedagog, osiadła po wojnie w Lublińcu na Śląsku i pieczołowicie przechowuje pamiątki rodzin-

ne oraz pamięć o tragedii, która dotknęła jej rodzinę w Kutach. W kwietniu 1944 roku zabito też Marcina Rosoła – byłego szefa Urzędu Celnego przy moście granicznym w Kutach.

Wstrząsający jest zapis dotyczący księdza Samuela Manugiewicza – byłego senatora i burmistrza Kut, który, widząc, co się dzieje w mieście, poszedł do ukraińskiego burmistrza Bondziaka, prosząc, aby coś zrobił, jakoś zaradził temu bezprawiu, które dzieje się po nocach w Kutach. W odpowiedzi miał usłyszeć: „Ja też jestem bezradny”. Gdy poszedł do księdza greckokatolickiego Łotoczyńskiego, usłyszał inną odpowiedź: „Ojcie, jeszcze jeden dzień proszę wytrzymać. I nic więcej”. *Wówczas – jak wspomina Jadwiga Migocka-Drzazga – ksiądz Manugiewicz poszedł do kościoła i tam, zamknięty z parafianami, modlił się i spowiadał wszystkich na ostatnią drogę.*

Schronieni w kościele przeżyli, choć były próby podpalenia tej świątyni. 21 kwietnia do Kut wrócił oddział Armii Czerwonej i zapanował spokój. Po kilku dniach dowódca oddziału sowieckiego, który wycofał się z Kut na trzy dni, według niezweryfikowanych relacji został przez władze sowieckie skazany na śmierć i rozstrzelany. Miano mu przypisać współpracę z banderowcami.

Z różnych relacji i zapisów wynika, że w marcu i kwietniu 1944 roku w Kutach miało ponieść śmierć około 200 Polaków i Ormian. W pobliskim Kosowie zabito wówczas około 100 osób. Na tamtejszym cmentarzu znajduje się obecnie kwatera tych ofiar z tabliczką informującą, iż w tym miejscu złożono 72 ciała zabitych. Tak zamykała się na Pokuciu epoka nazwana Rzeczpospolitą Ormiańską. Stanisław Ciołek zanotował: *Gdy tylko było można, wyjechaliśmy pierwszym transportem ze stacji w Śniatynie. Dotarliśmy do Oławy na Śląsku i tam rozpoczęliśmy nowe życie.*

Polemista Omelian Nimec

Wersję tragedii, jaka rozegrała się w Kutach w marcu i kwietniu 1944 roku, którą oparłem na relacjach dawnych polskich i ormiańskich mieszkańców tego miasta oraz polskiej literaturze przedmiotu, odrzucił jednoznacznie ukraiński historyk Omelian Nimec mieszkający po wojnie w Kutach.

Omelian Nimec, z pochodzenia Łemko, urodził się w 1935 roku w Polsce, na wsi pod Nowym Sączem. Jako 11-letni chłopiec został razem z rodzicami wysiedlony w ramach Akcji Wisła na Pokucie. W tym czasie przywieziono do Kut Ukraińców wysiedlonych z okolic Leska i Polańczyka, czyli z tej części Bieszczad, która została w nowych granicach Polski po 1945 roku. Omelian Nimec ukończył w 1959 roku historię na Uniwersytecie w Czerniowcach i stał się jednym z prominentnych działaczy oświatowych na ukraińskim Pokuciu. W rejonach Żabiego i Kosowa był inspektorem i dyrektorem w tamtejszych wydziałach oświaty. Na-



Przed piekarnią Karola Różankowskiego stoją (od prawej): Jadwiga z Różankowskich Kielkowa, jej córka Irena (dziś Bejman) i Helena Wójcicka

leżał do twórców zespołu muzycznego „Czeremosz”, szkoły muzycznej i muzeów etnograficznych w Kutach i Kosowie. Redagował regionalne pisma Demokratycznej Partii Ukrainy. Wydał kilka książek, m.in. „Sierpem, młotem i głodem” (2004) – o wielkim głodzie na Ukrainie w latach 1932–1933 jako stalinowskim ludobójstwie, „Wygnańcy” (2008) – o Ukraińcach wysiedlonych z Polski w ramach Akcji Wisła oraz „Kuty nad Czeremoszem” (2011) – historię miasteczka od zarania dziejów do początku XXI wieku. Był też przewodniczącym Towarzystwa „Łemkowszczyzna” na Pokuciu i radnym powiatu kosowskiego.

W książce „Kuty nad Czeremoszem” Omelian Niemeć w jednym z rozdziałów bardzo krytycznie odniósł się do polskiej literatury historycznej o działaniach ukraińskich nacjonalistów spod znaku OUN i UPA na Pokuciu. Jego zdaniem w okresie międzywojennym Rzeczpospolita Polska była okupantem na tych ziemiach, tak jak wcześniej Austria, a po wojnie 1939 roku Związek Radziecki. Dowodził, że Ukraińcy mieli prawo i obowiązek walczyć o to, aby Pokucie było częścią niepodległej (*samostijnej*) Ukrainy.

Nikt rozsądny nie może mu zabronić głoszenia takich poglądów, które na Ukrainie są dość powszechne. Ale musi mieć świadomość, że jest to jeden z punktów widzenia, trudny do udowodnienia i zaakceptowania przez Polaków, Żydów, Ormian, którzy na Pokuciu by-



Tylko trzy osoby uwiecznione na tym zdjęciu przeżyły tragiczną wiosnę 1944 r. Na zdjęciu (od prawej): Albina Śliwińska z Pistynia, Maria Śliwińska z Kołomyi (żona Jana), Karol Różankowski z żoną Julią, sąsiadka p. Waligórski i Jadwiga Różankowska. Na kocu, z bernardynem Tambusiem, siedzą dzieci Marii Śliwińskiej: Anna, Zofia i Stanisław oraz córka Karola – Ludwika

li przez całe wieki i zostawili tam widome ślady swej działalności i kultury. Był to świat mieszanki kulturowej i etnicznej, bardzo złożonego organizmu społecznego, który przez wieki żył w swoistej symbiozie. I dopiero ostre ideologie totalitarne, które eksplodowały w XIX i na początku XX wieku, zaczęły niszczyć ten unikatowy konglomerat historyczny.

Zdecydowany sprzeciw polskiego czytelnika budzi rozdział w książce o Kutach Omeliana Nimecia, w którym autor odrzuca jednoznacznie to, co znajduje się w polskiej literaturze memuarystycznej i historycznej odnośnie zbrodni banderowskich na Pokuciu. Nimeć uważa, że książka Tadeusza Isakowicza-Zaleskiego „Przemilczane ludobójstwo” służy fałszowaniu historii polsko-ukraińskiej, a jej autora nazywa „przepełnionym nienawiścią ukrainofobem”. Podobne zdanie ma na temat innych autorów zajmujących się opisami działań UPA na Kresach, zwłaszcza w latach 1943–1945, m.in. o Szczepanie i Ewie Siekierkach.

Za kłamliwe, a w najlepszym wypadku niewiarygodne, uważa relacje świadków, którzy przeżyli tragedię w Kutach w 1944 roku i stracili tam często swoich najbliższych: rodziców, braci, siostry, jak choćby Danuta Grażyna Drobnicka, Jadwiga Migocka-Drzazga, Stanisław Ciołek, Roman Donigiewicz. Nimeć kwestionuje podawane przez nich liczby ofiar, twierdząc, że są ogólnikowe i bez konkretnych dowo-

dów. Twierdzi, że banderowcy nie zabijali cywilów, a tylko „likwidowali aktywistów i bojówkarzy Armii Krajowej”, polityków, którzy nie mogli pogodzić się z decyzją międzynarodowej konferencji, że granica Polski ma być przesunięta na linię Curzona, a Pokucie po wsze czasy powinno być ukraińskie. Wyraził też opinię, że to „polscy bojówkarze z Armii Krajowej nie rzadko mordowali niewinnych Ukraińców”.

Trzeba stwierdzić, że Omelian Nimeć nie jest odosobniony w takim widzeniu historii UPA. Z irytacją pisze, że Tadeusz Isakowicz-Zaleski i inni polscy autorzy nie mają prawa głosić, że to, co spotkało Polaków na Podolu, Pokuciu i Wołyniu w czasie II wojny światowej, było aktami ludobójstwa. Trudno się łudzić, że w tej kwestii pomiędzy Polakami a Ukraińcami będzie zgoda. Zwłaszcza gdy po 1990 roku prawie w każdym mieście zachodniej Ukrainy wzniesiono pomniki Stepana Bandery i nazwano ulice imionami przywódców UPA. Nie można jednak tkwić w okopach swoich osobistych przekonań i obrzucać się wyzwiskami.

W polskiej literaturze przedmiotu podawane są konkretne nazwiska zabitych przez banderowców, daty ich śmierci. Są też nazwiska Ukraińców, którzy ratowali i pomagali Polakom, płacąc za to częstokroć życiem. Dla Nimecia wspomnienia synów i córek zabitych są niewiarygodne, uważa je za kłamliwe.

W sierpniu 2012 roku odwiedziłem Omeliana Nime-



Maciej Bohosiewicz – prezes Fundacji Ormiańskiej KZKO i prof. Stanisław Nicieja na cmentarzu w Kutach przy grobie Ohanowiczów, gdzie w 1939 roku pochowano Tadeusza Dołęgę-Mostowicza – wybitnego pisarza, autora m.in. „Kariery Nikodema Dyzmy”. W głębi Bronisław Ciołek – po wojnie mieszkaniec Zakopanego, autor wspomnień o ostatnim posiedzeniu polskiego rządu, które odbyło się w domu jego rodziców w Kutach (fot. Halina Nicieja, rok 2010)

cia w jego domu w Kutach. Dostałem nawet jego książkę „Kuty nad Czeremoszem” z dedykacją. W rozmowie to bardzo miły i serdeczny człowiek. Gościnnie. Siedząc przed domem, przy herbacie, zirytował się, gdy go zapytałem, jakie mógł mieć powody gen. Mirosław Hermaszewski – pierwszy polski kosmonauta, aby w swej książce wspomnieniowej kłamać i pisać, w jak okrutny sposób banderowcy zabili mu ojca i jak on sam cudem przeżył napad na rodzinny dom? Jaki powód mógł mieć wybitny polski kompozytor Krzesimir Dębski – autor m.in. „Dumki na dwa serca” z filmu Jerzego Hoffmana „Ogniem i mieczem”, gdy opisywał okrucieństwo banderowców w swoim rodzinnym Kisielinie? Jaki powód mógł mieć polski pisarz Stanisław Srokowski, przedstawiając w taki sposób banderowców w swej powieści „Nienawiść”, czy Henryk Cybulski we wstrząsającej książce „Czerwone noce” o samoobronie Przebraża? Dlaczego tysiące potomków zabitych przez banderowców jest tak zgodnych w opisie sadystrycznych metod, którymi posługiwali się upowcy?

Nie mam zamiaru ciągnąć dalej tej niekończącej się ilościowo litanii książek, relacji i wspomnień ludzi, którym w okrutny sposób zabito najbliższych na Kresach dawnej RP. Nie mam zamiaru pouczać historyków i publicystów ukraińskich, jak mają pisać historię swego narodu. Od dziesięcioleci jestem człowiekiem pojednania polsko-ukraińskiego. Mam wielu przyjaciół Ukraińców. Bywam tam często. Sądzę, że znam i rozumiem historię Ukrainy oraz polskie i ukraińskie kon-

flikty, które targały naszymi społeczeństwami. Wiem, że trzeba konsekwentnie dążyć do wzajemnego zrozumienia. W tym dziele niezbędna jest wspólna troska przywódców obu narodów o wyjaśnienie tych faktów. Tam, gdzie było przestępstwo, trzeba to nazwać i potępić. Tam, gdzie był fałsz w historii, trzeba go zweryfikować i usunąć.

Podobnie tragicznie było niegdyś w stosunkach polsko-niemieckich. A jednak wyszliśmy z tej matni, poddając głębokiej analizie historię Polaków i Niemców w okrutnych latach wojny i nazywając po imieniu zbrodniarzy. Historia powinna być nauczycielką życia i powinien w niej obowiązywać kult prawdy. Staram się unikać w tej serii książek wątków, które mają piętno okrucieństwa, ale nie mogę ich zupełnie pomijać.

Omelian Nimec w swojej historii Kut wymienia z nazwiska kilkudziesięciu banderowców urodzonych, mieszkających bądź działających w Kutach. Swą książkę ilustruje ich fotografiami, na których wielu z nich jest w mundurach polskiej armii i w czapkach rogatywkach z orłem w koronie. Gdy patrzy się na te fotografie, nasuwa się pytanie, jak się oni zachowywali w czasie tych upiornych marcowo-kwietniowych nocy? Trudno nie myśleć, że przynajmniej niektórzy wymienieni w książce Omeliana Nimecia nie brali czynnego udziału w tym zabójstwach, i nie mają polskiej i ormiańskiej krwi na rękach.

Stanisław Sławomir Nicieja



Autor „Kresowej Atlantydy” na kirkucie w Kutach, 2014 (fot. Halina Nicieja)

Jan Goczoł

* * *

Nocne pół jawy, pół sny jedynie
są prawdziwe. Suchą stopą przeprowadzają bezpiecznie
na nowo z godziny na godzinę przez trzęsawiska
pamięci minionego dnia i wszystkich dni poprzednich
też jeszcze.

Żaden dźwięk, szmer żaden po bełkotliwych racjach
wczorajszych samozwańczych retorów nie dożywa
pierwszego piania koguta. Zaduchy rozkładających się znaczeń
bezsennie zalegające polityczne kalkulacje propagandowych redakcji
poczekalnie i gabinety przyjęć medialnych.

Na lutowym niebie wstaje wyraziste słońce.
Żadnej wokół niego dwuznaczności.

styczeń 2015



Fot. Tadeusz Parcej

Wojciech Chlebda

(Nie)zapomniany nauczyciel z Arnoldsdorf

Trzydzieści lat temu, 24 września 1983 r., w niemieckim mieście Jever we Wschodniej Fryzji zebrało się 540 mieszkańców sudeckiej wioski Arnoldsdorf, którzy, wspominając ziemię ojczystą, zastanawiali się nad nadaniem drodze wzdłuż rzeczki Goldbach imienia Roberta Streibla – Robert-Streibel-Weg. Nie byłoby w tym może nic szczególnie dziwnego, gdyby nie fakt, że ludzie ci nie widzieli wówczas swej wioski od niemal 40 lat, a swojego pomysłu nie mogli wcielić w życie choćby z tego powodu, że miejscowości Arnoldsdorf na współczesnych mapach nie ma. Wioska ta nazywa się dzisiaj Jarnołówkę, zgromadzeni w Jever ludzie zostali z niej wypędzeni w latach 1945–1946, a sam Robert Streibel, nie dożywszy wysiedlenia (lecz przeżywszy wypędzenie z własnego domu), pozostał na zawsze na jarnołówcekim cmentarzu. Kim był człowiek, którego postać jeszcze w 40 lat po jego śmierci chciano upamiętnić tysiąc kilometrów od miejsca jego zamieszkania, pracy i spoczynku?

Robert Streibel urodził się 130 lat temu, 7 czerwca 1885 r., w wiosce Laßwitz, Kreis Grottgau (w 1936 roku przemianowanej na Hóhendorf), czyli w Lasowicach, w dzisiejszej gminie otmuchowskiej powiatu nyskiego. Jego ojciec Franz Streibel, zmarły w r. 1906, był nauczycielem; na zachowanej fotografii jego grobu nad nazwiskiem wryty jest napis „der em. Hauptlehrer” (dokładnej daty śmierci jego żony Pauliny nie da się z fotografii wyczytać, ale muszą to być ostatnie lata wieku XIX). Trudno powiedzieć, gdzie i w jakim zakresie Robert Streibel się kształcił; z jego „Personal-Karte für Lehrer”, zachowanej w Archivdatenbank. Personaldaten von Lehrern und Lehrerinnen Preussen, wynika jedynie, że rok po śmierci ojca, 1 lipca 1907 roku, rozpoczął pracę w szkole wiejskiej w Arnoldsdorf, Kreis Neisse – szkole katolickiej, która swoją działalność rozpoczęła w roku 1664. Osierocony Streibel przyjechał więc do Arnoldsdorf jako człowiek młody, ledwo 22-letni, a przeżył tu lat 39.

Słowo „przeżył” ma tu podwójne znaczenie. Przeżył, czyli prze-

mieszkał – początkowo w budynku mieszkalnym dla nauczycieli połączonym wewnętrznymi drzwiami ze szkołą właściwą, potem, w latach 30., w skromnym domku z czerwono-żółtymi okiennicami, jaki wybudował niedaleko szkoły przy równoległej do Złotego Potoku drodze na podnóżu Biskupiej Kopy – przy tej drodze, którą później chciano nazwać Robert-Streibel-Weg. Ale „przeżył” znaczy też „głęboko doświadczył, doznał, uczynił własnym”. Arnoldsdorf stało się dla Streibla obiektem przeżyć szczególnie intensywnych i trwałych.

Ktokolwiek był w dzisiejszym Jarnołówku, wie, że, choć zakłócono jego harmonijną przestrzeń ciężkim budownictwem okresu Funduszu Wczasów Pracowniczych i nie zawsze udanymi współczesnymi domkami jednorodzinnymi, miejsce to wciąż zachowuje urok „małej Szwajcarii”, jak nazywano tę okolicę kilkadziesiąt lat temu. Jeszcze 70 lat po przyjeździe do Jarnołówka (wówczas – Jarantowic) siostra mojej Mamy, wtedy 16-letnia, wspominała: „Jechaliśmy razem z Dłużnicy (Bodzanów) przez Konradów furmanką. Mieliliśmy tylko swoje walizki z Myszkowa. Jak wyjechaliśmy na wzniesienie za Konradowem, zobaczyłam piękny widok. Dolina, domki w zieleni i kościół. Jak tu pięknie!!!”.

Wszystkie okoliczne wioski – Langenbrück (Mosz-



Szkoła w Arnoldsdorf. Fotografia R. Streibla z roku 1915 (parter budynku na pierwszym planie, który zajmowało mieszkanie Roberta Streibla, po roku 1945 stał się domem mojego dzieciństwa)



Robert Streibel w kuchni swojego domu za Złotym Potokiem (Arnoldsdorf, lata 30.)

czanka), Wildgrund (Pokrzywna), Dürer Kunzendorf (Konradów), Schönwalde (Podlesie) – były położone pięknie, gdyż naturalną scenografię stworzyła dla życia w nich przyroda: łagodne wzniesienia Gór Opawskich, pokrywające je lasy bukowo-świerkowe, liczne potoki i strumienie, krystalicznie czyste powietrze. Ale dla Arnoldsdorf natura uczyniła gest szczególnie: wioska leży w niewielkiej kotlinie ujętej z kilku stron rozgałęzieniami masywu Biskupiej Kopy, która, gdy jechać od Konradowa między dwiema lesistymi Czapkami, Małą i Dużą, dla wyłaniającego się zza zakrętu Jarnołtówka tworzy naturalny amfiteatr, jakby ogarniając wioskę ramionami, oceniając ją i dając poczucie bezpieczeństwa. Z jej stoków spływa Bystry Potok wpadający na granicy Jarnołtówka i Pokrzywnej do Złotego Potoku, płynącego od strony Czech i wyznaczającego główną oś wioski. To nad Złotym Potokiem turkotały koła młyna, stał tartak, kościół i szkoła.

Streibel musiał kochać to miejsce bez pamięci. Na zachowanych zdjęciach widać go przede wszystkim w terenie: koło leśniczówki Annahof, przy skoczni narciarskiej, na zboczu Bischofskoppe, na leśnych ścieżkach. Czego nie mógł sfotografować sam, ilustrował w swym albumie pocztówkami, nierzadko opatrując utrwalone widoki strofami wierszy. Swoich wierszy, był bowiem miejscowym poetą. Lotów może nie najwyższych, akurat na miarę Gór Opawskich, które wszak do najwyższych nie należą; lotów, powiedzmy, wystarczająco serdecznych, by gotyckie pismo i fioletowy (w albumie zaś – biały) atrament pozwoliły zachwytowi znaleźć ujście w spokojnym następstwie rymów. Mnie wiersze Streibla przypominają trochę te niemieckie rodzajowe pejzażyki z dokładnie odmalowanymi górami, chmurami i krowami na łące, jakie do dziś dnia można spotkać w wielu śląskich domach: nie przejmują do głębi, ale bez nich klimat tych domów byłby ubogi i bez duszy. Powracają w tych wierszach niezmiennie motywy: Silberkoppe, Annahof, Goldbach i przede wszystkim Bischofskoppe, potężna

i łagodna zarazem Biskupia Kopa, do której Streibel uparcie nawracał, jak Proust do Combray. Wiersz Streibla *Arnoldsdorf wie liegst du schön!* stał się wręcz czymś w rodzaju hymnu tej sudeckiej wioski – hymnu, a zarazem pieśni pożegnalnej, którą arnoldsdorferzy żegnali nie tylko samego Streibla nad jego grobem w kwietniu 1946 r., ale i swoją ojcowiznę, którą ostatni z nich opuścili dwa miesiące później. „Jarnołtówku ukochany / Tyś pod Kopą malowany / Która wierne trzyma straż / I od złego chroni nas”.

Po okolicy Streibel chadzał sam, z siostrami, z którymi mieszkał, i z dziećmi szkoły w Arnolds-

dorf. Uwielbiały go: nie krzyczał, był łagodny, grał na skrzypcach, zbierał i zasuszał miejscowe kwiaty i zioła, zabierał uczniów na wycieczki. Żył, jak się zdaje, spokojnie, bo niepełnosprawność (miał jedno oko szklane) uchroniła go przed poborem do wojska w czasie obu wojen światowych. W kancelarii szkoły swym staromodnym pismem zapełniał szkolną kronikę. Charakterystyczny dla Streibla fioletowy atrament pojawia się w niej po raz pierwszy w roku szkolnym 1928/29, potem, od roku 1936, ustępuje miejsca czarnemu pióru Maximiliana Shega, nowego kierownika szkoły i członka NSDAP (co podkreślił, malując na 211 stronie kroniki swastykę w czerwonym otoku). Pismo Streibla powraca w roku szkolnym 1940/41 (być może Maxowi Shega powierzono wówczas nowe obowiązki, skoro pewnego razu pojawił się w szkole w mundurze) i znika w 1944/45, choć samo nazwisko Streibla wymienione jest wśród nazwisk trojga nauczycieli, jacy rozpoczęli ten ostatni rok szkolny w Arnoldsdorf. Zapisy dotyczące tego roku obejmują strony 253–256, ale tylko na pierwszej z nich pojawiają się informacje „z życia szkoły” (np. o akcji zbierania kasztanów i jagód): na stronach 254, 255 i 256 wyrysowany jest schemat pochówku tych mieszkańców Arnoldsdorf i okolic, którzy, wcieleni w ostatnich tygodniach wojny do Volkssturmu, zginęli podczas walk i bombardowania wiaduktu kolejowego w Langenbrück i tam tymczasowo zostali pochowani. Na tym ołówkowym szkicu z marca 1945 roku zapisy *Schul und Gemeinde Chronik von Arnoldsdorf, Krs. Neisse* symbolicznie się urywają; kilkadziesiąt następnych kart tego foliału pozostało niewypełnionych.

W tym momencie historia Roberta Streibla, jego dawnego mieszkania i prowadzonej przezeń przez tyle lat kroniki szkolnej przecina się z historią mojej rodziny. Moi rodzice, Stanisław i Zofia Chlebdowie, nauczyciele z przedwojennym jeszcze stażem (byli członkami Związku Nauczycielstwa Polskiego od roku 1934), pracowali w szkołach publicznych Myszkowa i

okolic, w Myszkowie też w kwietniu roku 1939 wzięli ślub. Wojna rozdzieliła ich cztery miesiące później: Ojciec, porucznik 23. Pułku Artylerii Lekkiej w Będzinie, 21 września dostał się do niewoli po bitwie pod Tomaszowem Lubelskim i następnie 5,5 roku spędził w obozach jenieckich w Braunschweigu (Oflag XI B) i Woldenbergu (Oflag II C). Mama pozostała w Myszkowie, dorabiając pracą na drutach, pisaniem na maszynie w urzędzie, udzielając też lekcji w tajnym nauczaniu. Szczęśliwie odnaleźli się w styczniu 1945 r., już w lutym zgłaszając się do pracy w myszkowskiej szkole. Skierowani jednak zostali do pracy na tzw. Ziemiach Odzyskanych, skąd właśnie odchodziły pierwsze transporty wypędzanych stąd Niemców i gdzie na kolonistów polskich czekały opuszczone (a częściowo wciąż jeszcze zamieszkałe) domy, urzędy, zakłady pracy. Rodziców skierowano najpierw do Dłużnicy (dzisiejszego Bodzanowa), a po tygodniu do Jarantowic, które po zmianie nazw w roku 1946 zostały dzisiejszym Jarnołtówkiem. Tu czekała zapieczętowana szkoła i mieszkanie w tym samym „budynku mieszkalnym dla nauczycieli, połączonym wewnętrznymi drzwiami ze szkołą właściwą”, w którym wcześniej mieszkał Robert Streibel, a potem Maximilian Shega z żoną. W końcu sierpnia 1945 r. szkołę odpieczętowano i Robert Streibel przekazał klucze od kancelarii Stanisławowi Chlebdzie.

Od kilku lat próbuję sobie tę scenę wyobrazić, nie żyje bowiem już nikt, kto mógłby być jej świadkiem. Mama z siostrą zostały w nowym mieszkaniu; siostra, Alina Moczulska, pisała do mnie w liście dwa lata temu: „Twój Tato chodził z kierownikiem po szkole. Przyniósł nam kroniki szkoły i wsi ze zdjęciami z powodzi”. A więc Streibel oprowadzał Ojca po budynku – ale jak wyglądało ich spotkanie? Oto stanęli naprzeciw siebie: 60-letni Niemiec i 36-letni Polak. Czy podali sobie ręce? Dla Streibla ten niewysoki mężczyzna musiał być przedstawicielem hordy barbarzyńców, skoro niewiele wcześniej, 18 lipca, Streibel notował: „Ein schwerer Tag!!! Die 5 Invasion des Dorfes. Ziwile Polen kommen mit ihren Familien au”. W kronice parafii Arnoldsdorf jej wieloletni proboszcz Carl Schirmeissen pisał po latach ze zgrozą i bólem nie tylko o grabieżach i gwałtach rosyjskich, ale i o posepnym Bożym Narodzeniu roku 45., kiedy to Polacy pozwolili Niemcom zebrać się na Pasterce dopiero o 7 rano w pierwszy dzień świąt, wcześniej po pijanemu zanieczyściwszy kościół; musiał to być dla ostatnich arnoldsdorferów prawdziwy koniec świata. Może Streibel zapytał Ojca: „Sprechen sie Deutsch?”. I może mu Tato odpowiedział: „Ja, ich habe im deutschen Lager gelernt”. A może, jak nauczyciel z nauczycielem, przystąpili od razu do oceny stanu budynku i przekazywania kancelarii. Myślę jednak, że dla Roberta Strei-



Robert Streibel wśród uczniów szkoły w Arnoldsdorf (rok 1927)

bla oddanie w obce ręce kluczy od szkoły, której poświęcił 38 lat życia, było zamknięciem epoki. Klęską państwa, klęską życia.

W innych czasach, w innych okolicznościach może by się nawet polubili, może nawet, mimo różnicy wieku, zostali kolegami po fachu. Obaj nauczyciele z Bożej łaski, pedagodzy z przyrodzonym poczuciem misji wychowawczej, obaj – przyrodnicy z zamiłowania, obaj mający ucho do muzyki, obaj powściągliwi, skromni i pracowici, obaj z kaligraficznym piśmem starego chowu. Nawet obaj pod wąsem, choć różnego kroju. W innych czasach, w innych okolicznościach...

Ale czasy były, jakie były, i okoliczności innymi być nie chciały. Spotkanie było zapewne uprzejme, ale chłodne. I pełne starannie skrywanego dramatyizmu.

Nie wiem, czy się jeszcze kiedykolwiek spotkali. Streibel mieszkał niewiele ponad 100 metrów od szkoły (a więc i od swego starego, a naszego nowego mieszkania) i, jako gorliwy katolik, chodził, dopóki mógł, do kościoła położonego tuż przy szkole, ale może chodzenie utartą drogą („drogą Roberta Streibla”), przez przyszkolny mostek nad Złotym Potokiem, było dla niego zbyt bolesne i nadkładał drogi, idąc drugą stroną i przez drugi most. Nie wiem nawet, jak długo mógł do kościoła wychodzić z własnego domu, zapewne jesienią bowiem, najpóźniej zimą roku 45, został zmuszony do opuszczenia go i przeniesienia się – z tym, co zdołał unieść w rękach – do tzw. obozu przejściowego w nieistniejącym dziś budynku „Alte Brauerei”, skąd wywożono Niemców do Nysy i dalej. W tym budynku zmarł 18 kwietnia 1946 roku – nie tyle może z głodu i chorób, ile (tak sądzę) z rozpacz, że zawałił się jego świat. Został pochowany na cmentarzu w Arnoldsdorf/Jarantowicach, w miejscu, z którego zza bryły kościoła św. Bartłomieja ukazuje się oczom masyw Biskupiej Kopy. Niemieckie nagrobki na tym cmentarzu zniszczono w latach 60., grób Streibla ostał się tylko dlatego, że oznaczony był nie marmurem czy granitem, lecz zwykłym drewnianym krzyżem i że obroniły go mieszkające do dziś w Jarnołówku uczennice Streibla. Spoczywa tam do dzisiaj.

Ale to nie koniec tej opowieści i nie koniec zagadek. Dowiedziawszy się przypadkiem, że w szkole podstawowej w Jarnołówku zachowała się jej kronika, w latach 1945–1952 prowadzona przez mojego Oj-



Grób Roberta Streibla na cmentarzu w Jarnołówku (stan obecny). Fot. autor

ca, uzyskałem od kierownictwa szkoły pozwolenie na jej obejrzenie – to spory, porządnie oprawiony foliał ze stronami ponumerowanymi drukiem – i sfotografowanie. Przepisałem następnie te sfotografowane strony, odkrywając, że ich fabryczna numeracja zaczyna się dopiero od strony 75. Strony 75 i 76 są puste; kronika zaczyna się od strony 77. Na stronie 78 – drugiej stronie kroniki szkoły polskiej – Ojciec napisał: „Pierwsze jaskółki naszych osadników zjawily się 16 lipca. «18 VII Ein schwerer Tag!!! Die 5 Invasion des Dorfes. Ziwiile Polen kommen mit ihren Familien au» – pisze były kierownik niemiecki Streibel w kronice gminno-szkolnej”. Jeszcze wtedy nie wiedziałem o istnieniu takiej kroniki; natychmiast napisałem do Państwowego Archiwum w Opolu z pytaniem, czy w jego zbiorach znajduje się „kronika gminno-szkolna” z Arnoldsdorf, z której musiał pochodzić cytat. Udostępniono mi dużą brązową księgę prowadzoną przez 47 lat – od roku 1898 do roku 1945, ale – jak już wspominałem – tylko do marca tego roku; dalsze karty foliału są puste. Tymczasem Streibel zapisał swoje „ein schwerer Tag” 18 lipca! Musiała więc istnieć druga kronika, może równoległa wobec pierwszej, może bardziej od niej osobi-

sta, prowadzona pewnie od roku 1944, kiedy Streibel przestał wypełniać oficjalną kronikę szkoły, do lata roku 1945. A kiedy miesiąc po owym „ein schwerer Tag” Streibel przekazywał mojemu Ojcu klucze od kancelarii, wraz z dokumentacją przekazał też zapewne obie te kroniki – skoro, niepytana o to, 70 lat później siostra mojej Mamy użyła odruchowo liczby mnogiej: „Twój Tato przyniósł nam kroniki szkoły i wsi”. To z tej drugiej kroniki musiał Ojciec przepisać bolesne zdania Streibla o „polskiej inwazji” na wieś – i to właśnie ta druga kronika Streibla leży po dziś dzień w kancelarii szkoły podstawowej w Jarnońtówku. Tyle że bez pierwszych 37 kart, tj. pierwszych 74 stron: rozpoczęta w roku 1945 kronika polska zaczyna się, powtórzą, od strony 77. Tyle wydedukowałem, pojechałem jednak specjalnie jeszcze raz do Jarnońtówka, by uważnie przyjrzeć się foliałowi z bliska. Nie ma żadnych wątpliwości: plik pierwszych 37 kartek został z niej usunięty.

Czy zrobił to mój Ojciec? Sam czy z nakazu kontrolujących szkołę inspektorów? Może zrobił to któryś z kolejnych kierowników tej szkoły? Jeżeli to mój Ojciec, nie wierzę, by te kartki po prostu zniszczył, skoro pierwszą kronikę, *Schul und Gemeinde Chronik von Arnoldsdorf*, przekazał do archiwum, a przez dziesięciolecie przechowywał w domu album z prywatnymi zdjęciami Roberta Streibla, który pewnie przekazał mu ktoś, kto po śmierci nauczyciela z Arnoldsdorf sprzątał po nim dom. Jeśli tych 37 kartek gdziekolwiek istnieje, ich treść jest dokumentem bezcennym: musiał to być sporządzany na żywo, emocjonalnie, notowany w ukryciu domowego gabinetu zapis schyłku epoki, „zmięzchu bogów” i zarazem rozpadu społeczności, która żyła tam siedem wieków, tworząc własną tradycję, własną obyczajowość, własny dialekt. Ale może być i tak, że jedynym śladem po istnieniu niejawnej kroniki Arnoldsdorf, jedynym ocalałym jej fragmentem są tylko te trzy zdania, które wypisał z niej mój Ojciec: „18 VII Ein schwerer Tag!!! Die 5 Invasion des Dorfes. Ziwiile Polen kommen mit ihren Familien au”.

W prywatnym albumie zdjęć Roberta Streibla, który gromadzi 80 fotografii i widokówek od roku 1915 do początku lat 40., wojny zza horyzontów Zuckmanteler Bergland nie widać. Żaden cień nie przesuwają się nad Bischoffskoppe. Ciotka Ottilia pochyla się nad robotką. Dzieci na drewnianym koniku pozuja w ogrodzie. Siostry Streibla w głębokich kapeluszach z uśmiechem wędrują przez pole. Nie widać, by ciszę tej błogosławionej krainy naruszyło echo choćby jednego wystrzału. Dopiero 18 lipca roku 1945 słychać huk eksplozji: „Ein schwerer Tag!!!”.

Od śmierci Roberta Streibla minie wkrótce 70 lat. Dzięki dystansowi, jakie tworzą, spokojniej patrzymy na wielowarstwową, jak palimpsest, historię miejsc naszego urodzenia. Perspektywa siedmiu dekad ośmiela nas też do stawiania zmarłym pytań, na które nie usłyszymy już odpowiedzi, choć sama istota tych pytań odpowiedzi potrzebuje. Czy, decydując się w roku

1944 na prowadzenie zapisków własnych (założmy, że tak było), Robert Streibel uświadamiał sobie z karty na kartę, że on, jego siostry, Pfarer Schirmeissen i Bürgermeister Giltisch, ich sąsiedzi i jego uczniowie, tak mało w istocie dla świata znaczą i że wszystkich ich porwało koło historii, które sami wprawili w ruch? Że są tylko niedostrzegalnymi pyłkami w kurzu, jaki koło to wzbilo w całej Europie i po całym świecie? Czy, leżąc w barłogu, przyszłym łożu śmierci, na podłodze „Alte Brauerei”, pytał sam siebie, siostrę Liesel, wujka Paula, rodzinę Kleineidam – ich imiona wypisują z leżącego przede mną albumu zdjęć Streibla – co zrobili nie tak, kiedy i dlaczego wzięli ten zakręt, zza którego dało się teraz zobaczyć już tylko pożogę i pustkę bez odwrotu? Czy, mając pewnie świadomość, że wszystko skończone, czyniąc resztkami sił bilans swego życia, odczuwał utratę mienia i domu, zagładę małej ojczyzny i hańbę ojczyzny wielkiej jako niezawiniony przez siebie cios Opatrzności, którego sens da się pojąć dopiero po tamtej stronie? Pisał wszak w swoim ostatnim wierszu *Die schwere Bitte*, powstałym zapewne zimą roku 1946 w „Alte Brauerei” i szczęśliwie ocalałym, że kiedy nadeszły godziny ciężkie i budzące trwożę, „kiedy serce krwawi, a dusza płacze, kiedy jasny dzień wydaje się nocą”, nie mógł zrozumieć wyroków Wszechmogącego i zaczął wątpić w Jego sprawiedliwość – i tylko wiara nakazała mu – „mimo że moje serce trawi ból i udręka” – oddać się w ręce Boga, aby się wypełniła wola Jego. „I tak powoli uciszam się”.

Chciałbym jednak wierzyć, że bolesna droga, jaką przez powojenne dziesięciolecie przechodzili Niemcy w procesie rewizji własnej historii i przepracowania własnej zbiorowej pamięci, zaczęła się już tam, w opłotkach Arnoldsdorf, w momencie, gdy ścieżką, która się jego imienia nie doczekała, Robert Streibel odchodził ze swojego domu na zawsze.

Wojciech Chlebda

Korzystałem m.in. z następujących opracowań: *Schul und Gemeinde Chronik von Arnoldsdorf / Krs. Neisse*, oryginał w Archiwum Państwowym w Opolu (nr arch. 45, nr zespołu 100/14); J. Graw, *Arnoldsdorf / Wildgrund. Geschichte und Leben eines oberschlesischen Dorfes*, Oldenburg 1984; J. Graw, *Arnoldsdorf / Kreis Neisse. Untersuchungen zur Sozialstruktur und Mentalität einer oberschlesischen Dorfgemeinschaft 1920-1950*, Verlag Runge, Cloppenburg 1996; [Chlebda S.], 1945-1952, *Kronika* [Publicznej Szkoły Powoszechnej w Jarantowicach / Jarnońtówku], oryginał przechowywany w kancelarii Publicznej Szkoły Podstawowej SRW w Jarnońtówku; I. Jakóbczak et al., *Nie zagubić w czasie*, Pokrzywna-Jarnońtówek 2007.

Dziękuję Paniom Joannie Turek, Irenie Jokiel, Emilii Wojtczak i Panom Tomaszowi Wielgowi i Jarosławowi Bogackiemu za pomoc przy gromadzeniu materiałów do niniejszego tekstu.

Joanna Filipczyk

Droga do siebie

Obrazy Krzysztofa Buckiego (1936–1983)

„Malarstwo Krzysztofa Buckiego wzbogaca sztukę polską o nowe oryginalne wartości” – napisał Alfred Ligocki w opracowaniu dotyczącym plastyki opolskiej w zbiorach Muzeum w Raciborzu¹. W Opolu Bucki jest do dziś artystą wielkim bezsprzecznie, chociaż chyba nikt głębiej nie zastanawiał się nad powodami tej wielkości. „Uznany artysta” to często pojawiający się w lokalnej retoryce frazes, zastępujący potrzebę rzetelnego studium przypadku.

Trudno oprzeć się wrażeniu, że Bucki na skutek decyzji zamieszkania w Opolu sam skazał się na zapomnienie. „Gdyby żył i mieszkał w Krakowie czy Warszawie, zapewne obrzeża jego twórczości – bo żaden artysta nie maluje wyłącznie arcydzieł – wyglądałyby inaczej. Prawdopodobnie też inaczej oceniano by tę część jego dzieła, która zaświadcza o Buckim jako o malarzu wybitnym. Ale to są prawa rynku, prawa giełdy, w czym Bucki nigdy nie brał udziału”² – zauważał w pośmiertnym wspomnieniu Tadeusz Nyczek.

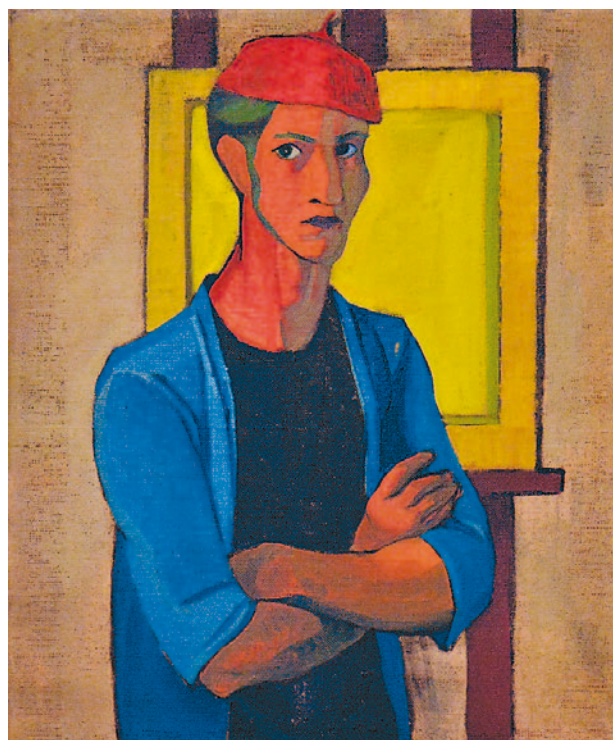
Artysta doskonale zdawał sobie sprawę ze swojej sytuacji w świecie sztuki. Wiedział, że żyje na prowincji, jednocześnie był przekonany, że nie może pracować nie pozostając w łączności z tradycją malarską, a za swoją powinność uważał ciągle otwarcie na nowe doświadczenia i zmieniające się sytuacje. Pod koniec życia zapisał: „Jeśli sztuka jest wielką rzeką, to ja jestem małym zakolem [...]. Lęgnię się w nim sporo narybku, ptaki wiją sobie gniazda w jego szuwarach. Kijanki przepoczwarzają się w żaby i wieczory napęlniają swoją przedziwną muzyką. To zakole żyje bujnym życiem, ale po pewnym czasie może stać się zatęchłym bajorem, cuchnącym grzęzawiskiem – jeśli nie dopuścimy zdrowego przepływu wód z głównego nurtu [...], aby zakole było drożne”³.

Incipit tej, jakże znaczącej, notatki dał tytuł wystawie „Jeśli sztuka jest wielką rzeką, to ja jestem małym zakolem. Krzysztof Bucki (1936–1983)” prezentowanej w dniach 21 listopada 2014 – 28 lutego 2015 w salach wystaw czasowych Muzeum Śląska Opolskiego. Ekspozycja miała charakter retrospektywny, nie roz-

cząc sobie jednak pretensji do ukazania całego *oeuvre* artysty, a raczej zaznaczając jego najbardziej istotne elementy. Poprzez dokumenty, fotografie i archiwalne nagrania chcieliśmy też przypomnieć postać artysty, od którego śmierci minęło już przeszło trzydzieści lat.

Krzysztof Bucki był jednym z najwybitniejszych malarzy czynnych po ostatniej wojnie w Opolu. Jest jedynym dotąd opolaninem, który otrzymał nagrodę im. Jana Cybisa (1974).

Urodził się i dzieciństwo spędził w Pińczowie, w 1945 roku wraz z rodziną przeprowadził się do Świnoujścia, gdzie ukończył liceum ogólnokształcące. Po studiach na krótko osiadł w Świnoujściu, od 1961 roku do śmierci mieszkał i tworzył w Opolu. Pracował jako nauczyciel malarstwa w Państwowym Liceum Sztuk Plastycznych w Opolu, następnie był zatrudniony na stanowisku docenta w Filii Uniwersytetu Śląskiego w Cieszynie. Był też aktywnym działaczem Okręgu Opolskiego Związku Polskich Artystów Plastyków. Po studiach artysta podejmował próby z abstrakcją geometryczną, od połowy lat 60. zaczął malować ekspresyjne kompozycje figuratywne. Bohaterowie jego obrazów są malowani drapieżnie, ze wszystkimi ułom-



Krzysztof Bucki, „Autoportret”, ok. 1958 (?) r., wł. Muzeum Śląska Opolskiego (fot. Romuald Jeziorowski)

¹ A. Ligocki, *Plastyka opolska w zbiorach Muzeum w Raciborzu*, mps, archiwum Muzeum w Raciborzu, s. 19.

² T. Nyczek, *Bucki, czyli o malarzu prawdziwym*, w: *Krzysztof Bucki 1936–1983* [katalog wystawy pośmiertnej w Biurze Wystaw Artystycznych w Opolu, Poznaniu, Łodzi, Kielcach, Krakowie i Warszawie], Opole 1984, nlb.

³ Niepublikowane zapiski Krzysztofa Buckiego, Muzeum Śląska Opolskiego w Opolu, SzPW 149/09.

nościami, na pograniczu groteski. Bliskie tym kompozycjom są liczne portrety, wnikliwie charakteryzujące modela. Obok tych obrazów w twórczości malarza wiele jest pejzaży, szczególnie chętnie wracał Bucki w malarstwie do widoków z rodzinnego Pińczowa. Pod koniec życia podejmował też tematykę religijną. Całą twórczość artysty cechował doskonały warsztat i twórcze wykorzystanie malarskiej tradycji.

Na wystawie oglądać można było prace ze zbiorów Muzeum Śląska Opolskiego, ale także z wielu innych placówek: Muzeów Narodowych w Warszawie, Krakowie, Poznaniu i Szczecinie, Muzeum Ziemi Lubuskiej w Zielonej Górze i Muzeum w Raciborzu. Wykorzystano także obrazy ze zbiorów prywatnych. Na wystawie po raz pierwszy publicznie zaprezentowano, nieznanne dotąd, wczesne prace Krzysztofa Buckiego, które w 2012 roku, jako dar wdowy po artyście, trafiły do zbiorów Muzeum Śląska Opolskiego. Cały zespół zawiera 79 płócien, w większości z okresu studiów w krakowskiej akademii (1953–1959), w tym wiele prac o charakterze ćwiczeniowym – studia martwych natur, aktów itp. Znajdują się w nim także autoportrety (także rozbudowane treściowo, skomponowane we wnętrzu pracowni) i portrety (m.in. Wiesława Dymnego). Zbiór przynosi wiele istotnych informacji o najwcześniejszym okresie twórczości artysty – czasie kształtowania się osobowości twórczej i dobierania indywidualnych środków wypowiedzi.

Wczesne obrazy Buckiego przez wiele lat przechowywane były przez samego artystę w formie rulonów – płócien zdjętych z krosien, w dodatku zwiniętych warstwą malarską do wewnątrz. Sposób przechowywania spowodował ich trwałą deformację, dlatego pokazanie tych prac na wystawie wymagało wielkiej pracy konserwatorów. Wszystkie obrazy z tego zespołu poddane zostały kompleksowej konserwacji w Pracowni Konserwacji Zabytków Muzeum Śląska Opolskiego pod kierunkiem dr Beaty Wewiórki. Najpoważniejszym wyzwaniem było wyprostowanie płócien. Posłużono się komorą do nawilżania, po opuszczeniu której płótna były powoli prostowane na stole dublażowym. Czynności te powtarzano kilkakrotnie w stosunku do każdego obrazu. Należało postępować szczególnie ostrożnie, ponieważ nie było wiadomo, w jakiej kondycji jest warstwa malarska ukryta wewnątrz rulonu. W trakcie konserwacji odkryto, że wiele płócien było kilkakrotnie przemalowanych. Po zabiegu prostowania obrazów wykonano rutynowe czynności konserwatorskie: obrazy oczyszczono, odspojenia warstw technologicznych podklejono, wykonano impregnację, przyklejono krajki i naciągnięto obrazy na nowe krosna. Płótna zawerniksowano i oprawiono w ramy. Dopiero tak przygotowane mogły zawisnąć na wystawie.

Studenckie obrazy Buckiego pokazują, że „wchłanianie tradycji malarskiej”, na łączność z którą malarz powoływał się wielokrotnie, dotyczyło w tym czasie



Krzysztof Bucki „Sucha grusza”, wł. Muzeum Śląska Opolskiego (fot. Romuald Jeziorowski)



Krzysztof Bucki, „Portret kobiety”, ok. 1955–1959, wł. Muzeum Śląska Opolskiego (fot. Romuald Jeziorowski)

przede wszystkim różnych sposobów malarskiej ekspresji. Wśród jego krakowskich płócien odnajdziemy echa formalnych rozwiązań postimpresjonistów, kubistów, fowistów, ekspresjonistów, a nawet – choć w zdecydowanej mniejszości – obrazy malowane w manierze bliskiej kapistom. Zwracają uwagę płótna przywodzące na myśl obrazy Andrzeja Wróblewskiego, z którym zresztą Bucki, studiujący od 1953 roku, miał możliwość bezpośredniego zetknięcia się w krakowskiej akademii. Wszystko to pokazuje, jak bardzo uważnie, *propria manu*, poznawał młody adept historię malarstwa, poszukując sposobu obrazowania, który odpowiadałby jego osobowości.

Kolejne części wystawy, będącej z konieczności subiektywnym wyborem prac, prezentowały okres abstrakcji geometrycznej i związku artysty z tzw. nową figuracją – przede wszystkim na przykładach autoportretów i portretów.

Abstrakcyjne prace Krzysztofa Buckiego mogą budzić zdziwienie wśród widzów, kojarzących go przede wszystkim jako malarza ludzi i pejzaży. Warto jednak pamiętać, że na początku lat 60. XX w. Bucki intensywnie kontynuował, rozpoczęte już pod koniec studiów, poszukiwania w zakresie abstrakcji geometrycznej. Powstały wówczas kompozycje, także przestrzenne, oparte na wyliczeniach matematycznych, które doprowadzić miały do znalezienia modułu, a wykonane z zestawiania różnych dostępnych wówczas materiałów: drewna, poliwinylu, celuloиду, sznurka, metalu

itd. Wydaje się, że Bucki odrabiał w nich lekcję konstrukttywizmu. Obiekty przestrzenne, znane dziś tylko ze zdjęć, budzą skojarzenia z niektórymi poszukiwaniami Katarzyny Kobro. Kompozycje płaskie (będące w istocie rodzajem reliefów) cechuje natomiast pewne podobieństwo do powstających kilka lat później owoców poszukiwań polskich conceptualistów. Tadeusz Nyczek nazwał nawet tę zbieżność „przygodą Buckiego z prekonceptualizmem”⁴. Ten nurt twórczości porzucił Bucki około 1964 roku, przechodząc, a w zasadzie powracając, do malarstwa przedstawiającego.

„Zajmowałem się abstrakcją matematyczną. Realizowałem koncepcje w drewnie, w metalu i tworzywach sztucznych. W 1964 roku wróciłem do palety. W obrazach apeluję do sfery uczuciowej człowieka, nie lękając się naiwności. Odpowiada mi realizm spotęgowany poprzez zwięzłą i jasną koncepcję kompozycyjną – formy sprzeczne: dramat i lirykę obok siebie, przenikające się nawzajem”⁵ – mówił Bucki o swojej drodze twórczej i jej podstawowych zasadach. Przykłady twórczości tego rodzaju stanowiły ostatnią część wystawy – począwszy od znakomitej, pełnej gwałtownej ekspresji *Nocy Świętego Bartłomieja* (1965) ze zbiorów Muzeum w Raciborzu, za którą Bucki otrzymał nagrodę na Festiwalu Malarstwa Młodych w Sopotcie, a w konsekwencji został zakwalifikowany na konkurs IV Biennale Młodych w Paryżu, aż po budowany ściszoną, odrealnioną gamą barwną *Autoportret przed szlabanem* (1981), prezentowany na ostatniej za życia



Krzysztof Bucki „Rafał Urban jako św. Sebastian”, wł. Muzeum Śląska Opolskiego (fot. Romuald Jeziorowski)

⁴ T. Nyczek, *op. cit.*, nlb.

⁵ *Rozmowa z Krzysztofem Buckim*, rozm. D. Nowicka, 1973, Archiwum Radia Opole, A1663.



Krzysztof Bucki, „Portret mężczyzny”, ok. 1955–1959, wł. Muzeum Śląska Opolskiego (fot. Romuald Jeziorowski)

wystawie artysty, na przełomie 1981 i 1982 roku, w mrocznych okolicznościach stanu wojennego i w obliczu nadchodzącego przedwcześnie kresu życia.

Mówiąc o zwrocie Buckiego ku realizmowi, Jerzy Beski skomentował tę – bardzo nietypową wśród malarzy lat 60. – postawę: „surrealizm był wtedy takim *memento*, każdy bał się wejść w realizm, żeby zaraz nie pojawił się soc, to był straszak, a on w to wszedł”⁶. Piotr Piotrowski, pisząc o grupie „Wprost” (zaznaczyć trzeba, że z członkami tej grupy łączyła Buckiego, oprócz znacznych podobieństw postawy artystycznej, także przyjaźń, a Jacek Waltoś – jeden z wprostowców – od lat konsekwentnie upomina się o pamięć o Buckim, przypisując mu duże znaczenie w kształtowaniu postaw własnego środowiska⁷), pytał: „jakie znaczenie miała decyzja o uprawianiu twórczości figuratywnej w sytuacji, gdy środowisko artystyczne poddawane było presji partyjnych deklaracji oraz – jednocześnie – sztukę niefiguratywną kojarzyło się z oporem wobec tej presji”⁸. Identyczne pytanie należałoby postawić w przypadku Buckiego, zwłaszcza w kontekście jego decyzji o porzuceniu sztuki niefiguratywnej. Wydaje się, że w środowisku opolskim decyzja ta nie była aż tak polityczna, a odbiorcy przyjęli ją z pewną ulgą, a nawet zachwytem – Bucki powrócił do znacznie bar-

ziej czytelnego dla nich kostiumu malarstwa. Jeśli nawet nie byli zdolni do zobaczenia wszystkich niuansów tej sztuki, to pozostawała zawsze zrozumiała warstwa przedstawiająca. Jedną z konsekwencji tego wyboru mogło być zatem sprowadzenie Buckiego do pozycji malarza ładnego pejzażu i brzydkich ludzi – tak zresztą poniekąd się stało.

W swoim czasie – latach 60. i 70. XX wieku – był Krzysztof Bucki artystą programowo niemodnym. Na pewno był jednak malarzem konsekwentnym i znakomicie umiejącym uzasadnić swoje artystyczne wybory. Miał świadomość swojej odmienności i dość często komentował wynikające z niej poczucie obcości. Pisał: „niezbyt dobrze czuję się w społeczeństwie sztuki współczesnej. Gdy zastanawiam się nad tego przyczyną, myślę, że może zbyt oddaliłem się od ogólnych postulatów, które ona głosi. Przede wszystkim chodziłoby tutaj o postulat wyrażania (za wszelką cenę) treści podstawowych, będących przed jednostkowym zabarwieniem kolorytem lokalnym”⁹. Wiedział również, że przyjęta przez niego konwencja malarska nie pozwala mu schować się za obrazami. Moment całkowitego odsłonięcia się, jakiego wymagała, był dla Buckiego trudny. Komentował to: „trochę zawsze czuję treść, jak biorę udział w wystawach [...] ogólnych, w tych wielkich wystawach zbiorowych, ogólnokrajowych czy zagranicznych, bo konfrontacja moich rzeczy z innymi, właśnie tymi współczesnymi [...] dla mnie jest czasem żenująca. Dlatego że [...] człowiek się uzewnętrznia [...]. Za tamtymi stoją kryteria sztuki współczesnej, które są takim woalem dla nich. A ja jakoś pokazuję się na zewnątrz i wstydzę się po prostu za te obrazy [...]. To jest pewnego rodzaju odwaga, że nawiązuję chyba jednak do polskiego malarstwa dziewiętnastowiecznego, na które wszyscy na ogół wybrzydząją”¹⁰.

Cena, jaką Bucki płacił za programową niemodność, była znaczna, należał jednak do twórców, którzy prawdę i uczciwość uznają za podstawowe normy moralne artysty. Przez całe życie Krzysztof Bucki walczył nie o rozgłos, ale o własne miejsce w wielowiekowym pocście malarzy. Czuł łączność z tradycją, będąc jednocześnie wyrazistą indywidualnością. Chciał być malarzem tradycyjnym, nawet jeśli taka postawa okazać się miała – jak pisała Małgorzata Kitowska-Łysiak o innym *outsiderze* polskiej sztuki Adamie Hoffmannie – *un peu démodé*¹¹, bo pozostawało to w zgodzie z jego – niezależną od nikogo i niczego – postawą artystyczną.

Joanna Filipczyk

⁶ Rozmowa autorki z Jerzym Beskim, 30.10.2008.

⁷ „Bez więzi przyjacielskiej nie byłoby zaufania, które do siebie mieliśmy, przy różnicy zainteresowań”. Z Jackiem Waltosem rozmawiają Grzegorz Bednarski, Małgorzata Kitowska-Łysiak, Krzysztof Nosal, w: *Świat przedstawiony?...*, s. 226.

⁸ P. Piotrowski, *Znaczenia modernizmu. W stronę historii sztuki polskiej po 1945 roku*, Poznań 1999, s. 100.

⁹ Niepublikowane zapiski Krzysztofa Buckiego, MSO, SzPW 148/09.

¹⁰ *Rozmowa z Krzysztofem Buckim...*

¹¹ M. Kitowska-Łysiak, *Un peu démodé. O Adamie Hoffmannie*, w: *Figury i figuracje. Materiały LIV ogólnopolskiej sesji naukowej Stowarzyszenia Historyków Sztuki, Lublin 20–22 października 2005*, red. M. Kitowska-Łysiak, R. Kasperowicz, M. Lachowski, L. Lameński, Warszawa 2006, s. 305.

Andrzej Hamada

Opolska Junona w Paryżu

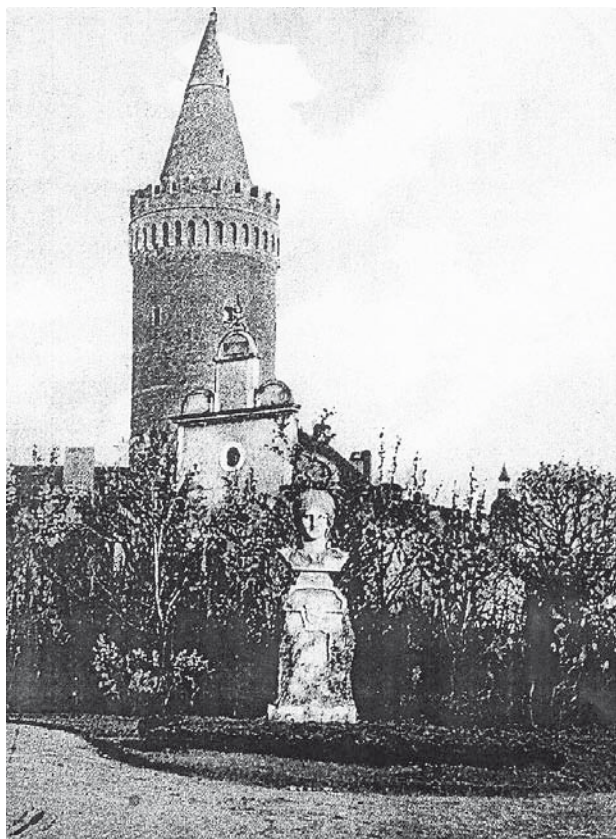
Pośród licznych eksponatów na Światowej Wystawie w Paryżu 1867 szczególną uwagę zwracała przywieziona z Opola rzeźba: popiersie Junony, greckiej bogini urodzaju. Zwracała uwagę, bo była nietypowym eksponatem w dziale materiałów budowlanych: rzeźba wykonana w betonie z cementu.

Tak reklamowała się powstała w 1857 roku opolska cementownia Grundmann. Wykonane w 1865 roku popiersie Junony było wiernym odwzorowaniem słynnej rzeźby marmurowej znajdującej się w rzymskim pałacu Villa Ludovisi, gdzie popiersie było ustawione na pięknie kanelowanej greckiej kolumnie doryckiej.

Usytuowana tuż za stacją kolejową w Opolu cementownia Grundmann zapoczątkowała powstanie i szybki rozwój przemysłu cementowego, co wraz z dotarciem do Opola w 1844 roku kolei stało się ważkim czynnikiem ekonomicznego rozkwitu w XIX wieku i bogactwa Opolszczyzny. Stale zwiększająca produkcję cementownia poszukiwała europejskich rynków zbytu, co umożliwiła doprowadzona niedawno do Opola linia kolejowa. Subtelnie odlana w betonie głowa Juno-



Junona w rzymskim pałacu Villa Ludovisi



Junona przed Zamkiem Piastowskim w Opolu

ny miała świadczyć o wyjątkowej jakości opolskiego cementu.

Opolska rzeźba zyskała poklask na wystawie; wyróżniona nagrodą powracała do Opola w chwale i splendorze laureata. Wystawiono więc Junonę po drodze we Wrocławiu, by mogli ją podziwiać także mieszkańcy tej wielkiej śląskiej metropolii.

W Opolu Grundmann podarował Junonę miastu. Zdecydowano o lokalizacji na placu Rejencji (Regierungsplatz, dzisiaj plac Wolności), przed najbardziej okazałym i ważnym budynkiem w Opolu, gmachem Rejencji, ale nieprzewidziane przeszkody, powódź i wojna w 1870 r., odwlekały tę realizację. W końcu postanowiono ustawić Junonę na cokole na placu przeddworcowym, dokładnie przed wejściem głównym do równie okazałego, nowego gmachu poczty. Odsłonięcie nastąpiło w lutym 1871 roku; w miejscu bardzo uczęszczanym, drugim co do ważności po Rynku i placu Rejencji w Opolu. Junona prezentowała się tu znakomicie, w otoczeniu nowo posadzonych drzew akacjowych (Akatienwaeldchen, Lasek Akacjowy – nazywano ten niewielki gaik, dzisiaj są tam jeszcze tylko trzy takie akacje).



Widok na synagogę

Przed pocztą posąg-popiersie będzie stał przez prawie trzydzieści lat, do 1903 roku, kiedy to przeniesiono go do udostępnionego wtedy mieszkańcom Opola parku zamkowego na Ostrówku. Stanie tutaj przy głównej alei spacerowej i – obok fontanny, mostku i strzeżonej przez dwa ogromne jelenie groty stalaktytowej – będzie główną atrakcją parku. Junona wzbogacała, niejako nobilitowała ten piękny zakątek Opola.

A na miejscu po Junonie, przed pocztą, ustawiono duży kamień pamiątkowy ku czci Bismarcka, pierwszego cesarza zjednoczonych Niemiec. Odsłonięty uroczysto w 1903 roku otoczono półkolistym kamiennym obramowaniem, które zachowało się do dziś wokół budek telefonicznych.

Z czasem piękna Junona podzieli, należący już do tradycji w Opolu, los wędrujących pomników¹. Nadejdą lata dwudzieste ubiegłego wieku, rozbiórka totalna piastowskiego zamku i likwidacja parku; pomnik Junony przeniesiono wtedy do nowo utworzonego na Pasiecy, nad brzegiem Odry parku nadodrzańskiego (wtedy nazywano go Waeldchen, czyli Lasek). Ten do dzisiaj zachowany park był w przedwojennych czasach, podobnie jak i w pierwszych latach powojennych, bardzo uczęszczany; było to więc równie godne miejsce dla zasłużonej cementowej Junony.

Ostatnia wojna przyniesie, wraz z zupełnym zniszczeniem zabytkowego śródmieścia, także kres licznym poniemieckim pomnikom, pośród nich i naszej

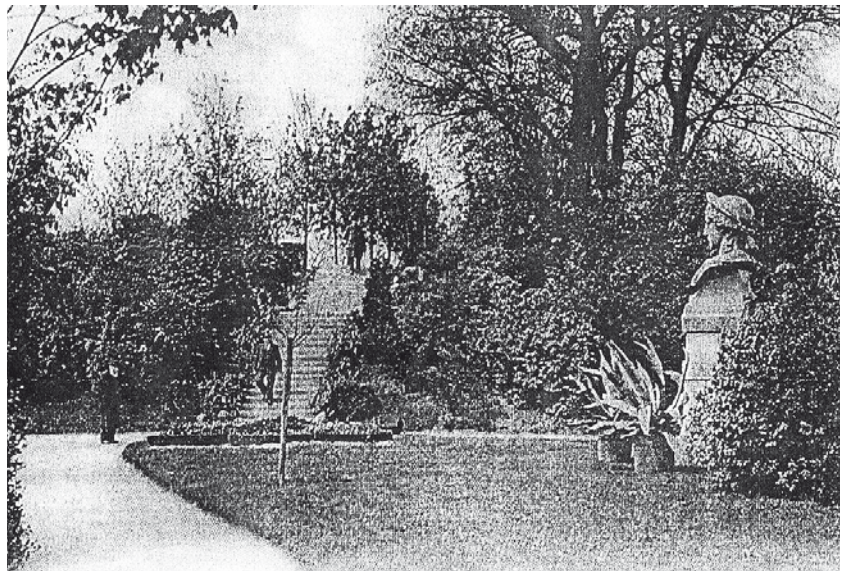
¹ Na przykład barokowe XVIII-wieczne figury św. Jana Nepomucena, których jest w Opolu cztery, ale żadna nie stoi na swoim pierwotnym miejscu; i też większość z nich dwukrotnie zmieniała lokalizację.

pięknej, owianej legendą Junonie. Naturalnym odruchem było wtedy niszczenie wszelkich pozostałości niemieckich, zwłaszcza napisów i pomników, najpierw przez sowieckich żołnierzy, a potem także przez już naszych przybyszów ze wschodu. Niepolskie pomniki były ostrzeliwane (także dla zabawy podchmielonych żołdaków), a potem jeszcze obrzucane kamieniami². Po rzeźbie Junony pozostał tylko zdewastowany cokół-postument, popiersie zniknęło bezpowrotnie. Wraz z nim odeszła w zapomnienie pamięć o chlubnej przeszłości tej zasłużonej, nagrodzonej w Paryżu opolskiej figury³.

W ostatnich latach zbudowano nad Odrą bulwar spacerowy wzdłuż nabrzeża wyspy Pasieki, jednocześnie poddano pełnej renowacji park nadodrzański. W ramach modernizacji odbudowano częściowo także secesyjny postument Junony, według wzoru z parku przyramkowego. Stoi on teraz, jak dawniej, pośród drzew w środkowej części parku.

Czeka na powrót Junony.

Andrzej Hamada



Parkowa alejka

² Wyjątkowe szczęście miała wielopostaciowa, i bardzo piękna, zabytkowa rzeźba fontanny na placu Daszyńskiego – że nietknięta dotrwała do naszych czasów.

³ W latach dwudziestych ubiegłego wieku rzeźbił w betonie Thomas Myrtek, kilka jego dzieł znajduje się dziś w Opolu, a już w naszych czasach opolskie tradycje rzeźbienia w tym materiale podtrzymał Jan Borowczak, tworząc słynną Nike (pomnik Bojownikom o Polskość Śląska Opatowskiego) na placu Wolności.

Adam Wierciński

Za szybkie pisanie (35)

Martwił się jeszcze nie tak dawno Stanisław Lem: *Pękła nad Polską bania z poezją najmłodszą, tylko że w dziewięćdziesięciu pięciu procentach nie ma ona żadnych odwołań do przeszłości, nic nie powstaje jako kontynuacja albo nawet opozycja. Zupełnie tak, jakby przestała istnieć literatura Dwudziestolecia, a potem komunistycznego czterdziestolecia, nie mówiąc o epokach wcześniejszych* (Stanisław Lem, *Rasa drapieżców. Teksty ostatnie*, wybór i posłowie Tomasz Fiałkowski, Kraków 2006, s. 240).

Minęło trochę czasu, przybyło kilka roczników z łątwą maturą prawie dla każdego, odzwyczajonych od książki, z dyplomami bez pokrycia, przybyło też naukowców z tytułami, ale bez nazwisk. Rozpanoszyła się popkultura ponad miarę. A tu jeszcze prezentyzm, globalizacja, przyspieszona laicyzacja. I tabloidyżacja prasy. Byle jaki, strywializowany język publiczny. I tyle grzechów zaniechania w kulturze. Ograniczanie nauki historii w szkołach, tu i tam zanik świadomości historycznej. Coraz krótsze listy lektur. Coraz niższe nakłady ambitnych czasopism („Twórczość” – 1080 egz.!, „Dialog” – 1650, „Nowe Książki” – 2700, „Odra” – 2000, „Lampa” – 1200, „Literatura na Świecie” – 1700, „Znak” – 2100).

Prawie nikt już nie powtarza za Norwidem: *Prze-szłość – jest to dziś, tylko cokolwiek dalej...* A uczonej pani jeszcze tego za mało: *No i miejmy na uwadze ten nasz wspólny ideał, jakim jest – powiedzmy sobie szczerze – detradycjonalizacja Polski. Żeby ona jakoś wyszła z tego idiotyzmu życia ojczyźnianokatolicko-wiejskiego (Mieszczanin lemingiem. Z Agatą Bielik-Robson rozmawia Tomasz Kwaśniewski, „Duży Format” 2014, nr 50, s. 26).*

Przy postępującym analfabetyzmie historycznym i literackim myśleć jeszcze o *detradycjonalizacji Polski*. I powtarzać za Karolem Marksem i Fryderykiem Engelsem naiwne slogany o *idiotyzmie życia wiejskiego*. Marzyć – niczym Filippo Tommaso Marinetti – o zerwaniu z przeszłością. Przestrzegął Norwid: *Wiedz, że to przez tr adycję, wyróżniony jest majestat człowieka od zwierząt polnych, a ten, co od sumienia historii się oderwał, dziczeje na wyspie oddalonej i powoli w zwierzę zamienia się. Ale kto by dziś czytał dawnych poetów. Próbowali już manipulatorzy z różnych parafii ideowych przyspieszać procesy historyczne. Czasem piórem, czasem naganem. Huxley i Orwell w swoich antyutopiach mówili o tym, czym grozi pozbawienie społeczeństw pamięci historycznej. Czym grozi zerwanie z dorobkiem przeszłości. O pustych rajach popkultury pisali inni. O beznadziejnej ucieczce od historii. O*

ludziach znikąd i bez wczoraj. Jerzy Stempowski pisał z przejściem o powojennej wędrownicy ludów, o wykończonych nie z własnej winy (w *Dzienniku podróży do Austrii i Niemiec*, Rzym 1946): *Być sobą, być sobą – „this above all”, mówi Poloniusz – można, zdaje się, tylko w jakiejś więzi, konkretnej czy idealnej, ze swoją rzeką, z krajobrazem swojej ściślej ojczyzny, rodzony czy przybranej.*

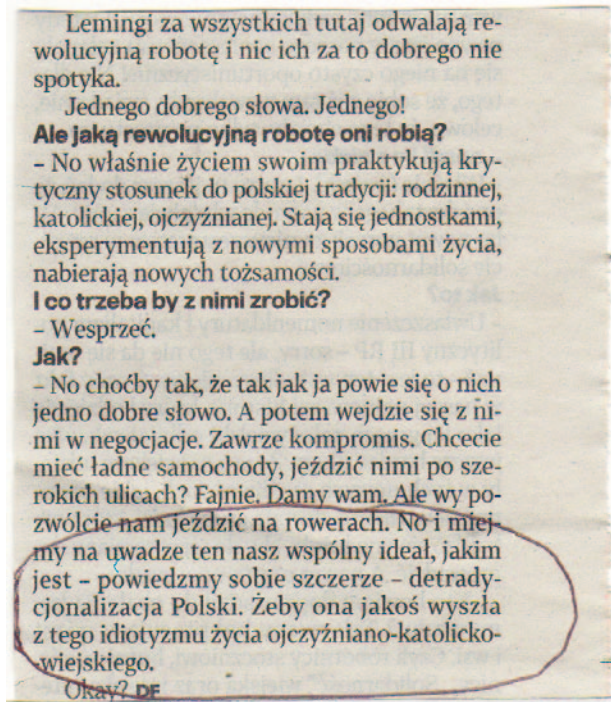
Czym będą miliony dusz wygnanych z ojcowizn przez mocarstwa lub zamienionych – jak gniadosz na bulanka – w barbarzyńskich wymianach ludności? Będą dążyły z powrotem do miejsc pochodzenia, lub przestaną być sobą i – ku uciesze eksperymentatorów społecznych – stworzą plastyczną masę, podobną do tej, jaką Robert Ley wypełnił fabryki i obozy Rzeszy.

Poszukiwanie analogii (w tekście o domorosłych politykach, którzy zwrócili się z prośbą do obcej ambasady; prosili, żeby na ich region nie kierować, o święta naiwności!, raket z głowicami jądrowymi): *Przez cały wiek XIX [sic!] namiestnicy Kraju Nadwiślańskiego [sic!] wzywali na pomoc wojska rosyjskie, gdy Polacy próbowali wybić się na niepodległość* (Leszek Szumowski, *Śląska prowokacja*, „Najwyższy Czas!” 2014, nr 50, s. XVII).

Nie przez cały wiek XIX rządili w Królestwie Polskim namiestnicy; panowali przez kilkadziesiąt lat, i to z przerwami. Po śmierci pierwszego – gen. Józefa Zajączka, nie było następcy (przez kilka lat rządili ks. Konstanty i Nowosilcow), ostatnim namiestnikiem był gen. Teodor Berg; po jego śmierci nie mianowano już nowego, zastąpili go kolejni generał-gubernatorowie. *A Krajem Priwislińskim zaczęto nazywać Królestwo Polskie (i to nieoficjalnie) po powstaniu styczniowym dopiero, od roku 1874.*

Krzysztof Magowski w rozmowie z Bożeną Chodyniecką o Czesławie Niemenie, wspominał o jego krewnych: *Szybko odkryłem, że ta rodzina dzieliła losy czterech milionów [sic!] Polaków, którzy ze wschodu po wojnie wrócili do Polski* („Przegląd” 2014, nr 48, s. 31).

Z dawnych województw wschodnich II Rzeczypospolitej nie przyjechało aż tylu Polaków do Polski w nowych granicach. W latach 1944–1948 przybyło zza Sanu, Buga i Niemna 1 517,6 tys. osób, w latach 1955–1959 ponad ćwierć miliona. Szacuje się, że z dawnych województw kresowych i ze zsyłek w głąb Rosji przy-



„Duży Format” 2014, nr 50, s.26
Naiwne to i dziecinne

jechało do kraju ponad dwa miliony obywateli polskich narodowości polskiej i żydowskiej (zob. *Polska diaspora*, red. naukowa Adam Walaszek, Kraków 2001, s. 307–308).

Spis ludności z 1950 roku ujawnił, że na terenie Polski znalazło się 2 136 tys. osób mieszkających w 1939 roku na Kresach. Łącznie z późniejszymi przesiedleńcami z lat 1955–1959 przybyło po wojnie do kraju ponad 2,3 mln osób z dawnego polskiego Wschodu (zob. Andrzej Maryański, *Współczesne wędrówki ludów. Zarys geografii migracji*, Wrocław 1966, s. 120–121).

Ziemie przyłączone po wojnie do republiki ukraińskiej opuściło wtedy około 90% Polaków, na pograniczu litewsko-białoruskim natomiast, w szerokim pasie między Niemnem a Dźwiną, gdzie utrudniano wyjazdy ludności wiejskiej, co najmniej połowa ludności polskiej została na miejscu. W niektórych powiatach i gminach po stronie litewskiej i białoruskiej Polacy jeszcze dziś stanowią większość bezwzględna wśród mieszkańców.

Mnożenie zagadek o Marii Konopnickiej: *Biografia poetki, Maria Szypowska, zwraca uwagę na fakt, iż we wszystkich dokumentach, dotyczących Józefa [ojca Marii z Wasiłowskich Konopnickiej – A.W.], można znaleźć wzmianki sugerujące jego szlacheckie pochodzenie, a mianowicie: „urodzony”, czy „stanu szlacheckiego”, podczas gdy żaden polski herbarz nie wspomina o Wasiłowskich. Jest to bodaj pierwsza niejasność związana z Konopnicką* (Iwona Kienzler, *Maria Konopnicka. Rozwydrzona bezbożnica*, Warszawa 2014, s. 12).

Można wymienić wiele polskich nazwisk szlacheckich, o których głucho w herbarzach (polskie herbarze to często wydawnictwa bardzo kapryśne i niekompletne, czasem urwane na końcowych literach). O niektórych, pominiętych w poważnych pracach heraldycznych rodzinach wspominają Wiktor Wittyg i Stanisław Dziadulewicz (zob. *Nieznana szlachta polska i jej herby*, Kraków 1908). Sławny herbarz Kaspra Niesieckiego (*Korona Polska...*, t. 1–4, 1728–1843; wznowienie z uzupełnieniami Jana Nepomucena Bobrowicza, t. 1–10, Lipsk 1839–1846) próbował też uzupełnić o nazwiska podlaskie i mazowieckie Ignacy Kapica Milewski (*Herbarz Ignacego Kapicy Milewskiego [Dopełnienie Niesieckiego]*, Kraków 1870).

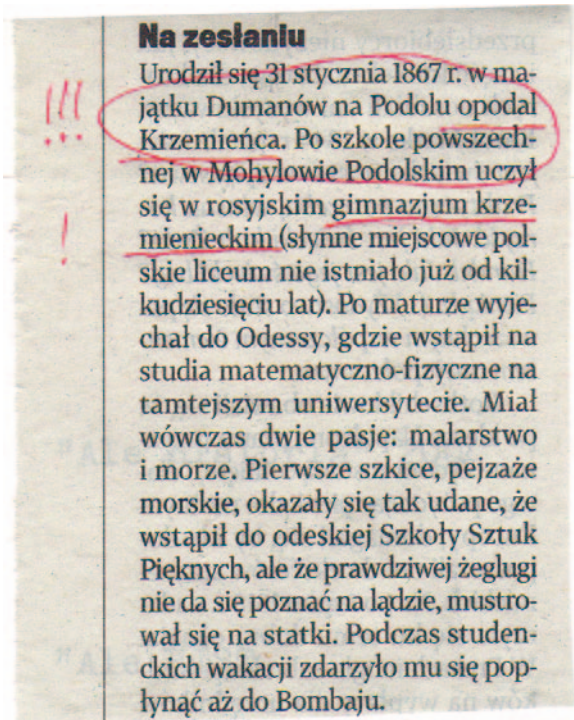
Było kilka rodzin szlacheckich noszących nazwisko „Wasiłowski”. *Wasiłowscy* (piszący się też – *Wasiłowscy*) herbu Korwin, *Wasiłowscy* herbu Drzewica; *Wasiłowscy* alias *Wasiłowscy* h. Korwin siedzieli kiedyś na Wasiłach (stąd pochodzi odmiejscowe nazwisko), w powiecie przasnyskim. Wspominają ich dawne *Konstytucje* z XVII i XVIII w. I Jerzy Seweryn Dunin-Borkowski w swoich pracach genealogicznych. Kto ciekaw, może też zaglądnąć do *Spisu szlachty Królestwa Polskiego...*, Warszawa 1851 (tam wzmianka o Wasiłowskich h. Drzewica i o Wasiłowskich h. Korwin).

Znowu ktoś myli Wołyń z Podolem, a Krzemieniec, miasto Słowackiego, z Kamieńcem Podolskim. O Mariuszu Zaruskim (1867–1941), sławnym żeglarzu, taterniku (był pierwszym naczelnikiem Tatrzańskiego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego), kawalerzysty, pisarzu i malarzu, można było przeczytać w dodatku historycznym: *Urodził się 31 grudnia 1867 r. w majątku Dumanów na Podolu opodal Krzemieńca [sic!]. Po szkole powszechnej w Mohylowie Podolskim uczył się w rosyjskim gimnazjum krzemienieckim (słynne miejscowe polskie liceum nie istniało już od kilkadziesiątu lat). Po maturze wyjechał do Odessy...* (Paweł Smoleński, *Harnaś, ulan, wilk morski*, „Ale Historia” 2015, nr 1, s. 11).

Zaruski urodził się koło Kamieńca Podolskiego, do Krzemieńca na Wołyniu było stamtąd dość daleko; uczył się w gimnazjum kamienieckim, nie – krzemienieckim; sławna szkoła w Krzemieńcu (1805–1831) powstała jako Gimnazjum Wołyńskie, na Liceum Krzemienieckie zostało ono przemianowane w roku 1818.

Po co zaczynać książkę od wzmówienia? Po co przypisywać Nietzschemu zdanie pochodzące sprzed dwóch tysięcy lat: „*Ulubieńcy bogów umierają młodo*” – powtarzał na krótko przed śmiercią Zbyszek Cybulski i ten cytat z Fryderyka Nietzschego [sic!] mógłby być właściwym mottem tej książki (Sławomir Koper, *Stracone pokolenie PRL*, Warszawa 2014, s. 10).

Nietzsche nie był autorem tych „skrzydlatych słów”, powtarzanych zresztą w kilku wersjach, m.in.: *Uko-*

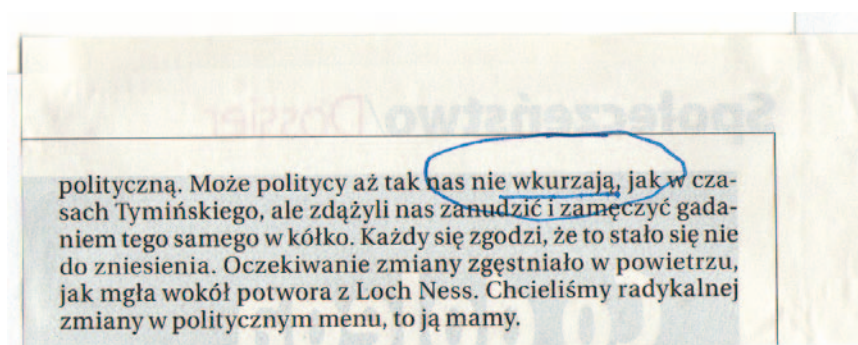


„Ale Historia” 2015, nr 1, s. 11

Znowu ktoś myli Kamieniec Podolski z Krzemieńcem na Wołyniu

chani przez bogów umierają młodo czy Wybrańcy bogów umierają młodo. Komediiopisarz grecki Menander (ok. 342 – ok. 291 p.n.e.) to napisał, a spopularyzował w łacińskim tłumaczeniu Plaut (w komedii *Bacchides*): *Quem di diligunt, adolescens moritur, dum valet, sentit, sapit – Kogo bogowie kochają, umiera młodo – właśnie gdy jest zdrowy, mężny, mądry* (zob. Zbigniew Landowski, Krystyna Woś, *Słownik cytatów łacińskich. Wyrażenia. Sentencje. Przysłowia*, Kraków 2002, s. 461).

Pisał Jerzy Stempowski w jednym ze szkiców: *czytelniczy, którzy dla odświeżenia wyobraźni nie czytawali, prócz produkcji bieżącej, także Lukiana, Ariosta czy Gracjana, przywykają do gry w obrębie jednej konwencji i tracą poczucie nieskończonych możliwości za-*



„Polityka” 2015, nr 5, s. 17

Nawet w poważnym tygodniku opinii trudno się obejść bez wulgarne eufemizmu

wartych w przeszłej i przyszłej literaturze (Jerzy Stempowski, *Po powodzi*, [w:] idem, *Po powodzi. Eseje i dzienniki podróży*, wybór, opracowanie i wstęp Magdalena Chabiera, Paryż-Kraków 2015, s. 275).

W *Wykazie osób, postaci mitologicznych i biblijnych* dziwaczne objaśnienia edytorów: *Gracjan, cesarz rzymski* (s. 337). Tylko tego brakowało, żeby cenionego przez Stempowskiego pisarza i moralistę hiszpańskiego, sławnego Baltasara Graciána y Morales (1601–1658), pomylić z Flaviusem Gratianusem, cesarzem rzymskim z IV wieku. A powszechnie znanego kompozytora rosyjskiego, Piotra Iljicza Czajkowskiego, utożsamiać z polskim pisarzem – Michałem Czajkowskim (ss. 10, 336). I jeszcze mylić rosyjskiego leksykografa, Władimira I. Dala (Dahla), z angielskim pisarzem Roldem Dahlem (s. 336).

Pisarz i znawca literatury zapowiada powrót do Żeromskiego: *właśnie nabyłem w tanim antykwariacie „Wiatr od morza”, „Ludzi bezdomnych”, trochę opowiadań czy też ogólnie nowelistyki, a także trzytomowe „Popioły” ze zdjęciami z filmu Wajdy na okładce, co mnie ekscytuje – może nawet obejrzę znów „Popioły” po wielu latach. Czy zachwycę się postacią Olbromskiego w wielkiej roli młodego i pięknego Olbrychskiego?*

Plany owe składam na karb jakiejś pomroczości swojej, bo jako żywo parę tygodni wyjmie mi to z normalności, ale ktoś się musi za Polskę i jej literaturę poświęcić, padło na mnie. Czuję się jak szwoleżer z „Popiołów” szarżujący na armaty, może przeżyję, może zwyciężę. A jeśli zginę, to pamiętajcie, że walczyłem z brawurą (Krzysztof Varga, *Prymat pupy nad Polską*, „Duży Format” 2015, nr 1, s. 3).

W *Popiołach* Żeromskiego nikt nie szarżuje na armaty, Somosierrę dopisali przecież filmowcy. Powieściowy Olbromski różni się od filmowego. W powieści byli lansjerzy z pułku Konopki, w filmie wystąpili również – szwoleżerowie gwardii.

Maria Rodziewiczówna знаła dość dobrze realia żmudzkie, na Żmudzi umieściła akcję dwóch znanych do dziś powieści – *Dewajtisa* i *Szarego prochu*. Znajomość tamtejszych obyczajów, tamtej geografii, a nawet języka (Marek z *Dewajtisa* rozmawia ze służbą w jej języku, pisarka przytacza też fragmenty pieśni ludowych) zdumiewała historyków literatury, niektórzy z nich przypisywali pisarkę do Żmudzi, tam szukali nawet miejsca jej urodzenia. Artur Hutnikiewicz napisał w pod-

ręczniku akademickim, że powieściopisarka: *Urodziła się na Żmudzi [sic!], lecz większość życia spędziła na kresach wschodnich, w majątku Gruszowa [powinno być: Hruszowa – A.W.] na Polesiu (Artur Hutnikiewicz, Młoda Polska, w serii Wielka Historia Literatury Polskiej, Warszawa 1994, s. 321). W encyklopedii szkolnej autor hasła poświęconego Rodziewiczównie też utrzymuje, że pisarka urodziła się we wsi Pieniuha na Żmudzi (Encyklopedia szkolna. Literatura i nauka o języku, Warszawa 1995, s. 659).*

Litewscy autorzy książki o Miłoszu wspomnieli również o pisarce: *Najpopularniejszymi na Litwie utworami Rodziewiczówny są właśnie powieści „Dewajtis” i „Szary proch” – w obu znajdują się nawiązania do Litwy, do Żmudzi, w polski tekst wplecione są liczne litewskie frazy, autentyczne fragmenty dajń i pieśni ludowych [...]. Pisarka zmarła w 1944 roku (urodziła się w 1863), ale nie udało się jednoznacznie ustalić, skąd pochodziła: z Grodzieńszczyzny czy ze Żmudzi (Viktorija Daujotyte, Mindaugas Kvietkauskas, Litewskie konteksty Czesława Miłosza, Monografia, tłumaczenie Joanna Tabor, Sejny 2014, s. 127).*

Tłumaczka nie rozwiała wątpliwości, nie opatrzyła tych zdań (w przypisie) uwagą, że Maria Rodziewiczówna urodziła się w majątku Pieniuha niedaleko Wołkowyska, w ówczesnej guberni grodzieńskiej, a Żmudź znała z wypraw krajoznawczych i z lektur.

Rodzina przyszłej pisarki związana była z dawnym powiatem oszmiańskim w województwie wileńskim. Jadwiga Skirmunttówna przytoczyła we wspomnieniach stosowne wypisy z dokumentów: *O przodkach Marii Rodziewiczówny i ich zjawieniu się w Pińszczyźnie takie szczegóły opowiedziały przechowane w Hruszowej dokumenty:*

Ród Czertwanów Rodziewiczów, początku XV wieku sięgający, w Oszmiańskim był osiadły i ledwo roku 1613 do dalekiej Pińszczyzny się prze-

siedlił. A jako że dziad pradziada Rodziewiczówny, Seweryn, przybyły do Pińszczyzny, nie chciał być jako intruz w kole szlacheckim powitany, przywiózł z sobą polecenia przez brać Oszmiańską do braci pisane, pieczęciami herbowymi i podpisami nie lada dygnitarzy i karmazynów stwierdzone i poręczające, że „familia, krwi szlacheckiej, panów Rodziewiczów, za pierwszych Królów Ichmościów Panów naszych, za których pospolite ruszenia bywały, zawsze pod chorągwią Chorążego Oszmiańskiego, przy nas szlachcie ze swej majątności, jako prawi szlachcice, według zwykłej powinności konno, zbrojno stając, powinności swej dosyć czynili, w rejestrach hetmańskich snadnie o tem pewne świadectwo się znajdzie...” (Jadwiga Skirmunttówna, Pani na Hruszowej. Dwadzieścia pięć lat wspomnień o Marii Rodziewiczównie, Warszawa 2012, s. 5–6).

Adam Wierciński



Rys. Leszek Ołdak

Zbigniew Górniak

Kto dziś czyta dla przyjemności?

Przed wyjątkowo długą świąteczno–sylwestrową–trójkrólewską dziurą, jaką w uniwersyteckim kalendarzu wyrwał unikatowy układ dni wolnych, zaleciłem studentom dziennikarstwa, aby przeczytali wybrany artykuł z któregoś ze świątecznych albo noworocznych wydań tygodników i dzienników. Jeden jedyny...

Zaleciłem, gdyż nakazywać to się może dzieciom w podstawówce, a studia to przecież wybór wolny, osobisty i podbity ambicjami. Oczywiście, najciekawsze przemyślenia po lekturze miały być premiowane plusikami, a te liczą się u mnie do oceny na semestr.

Artykuł miał być solenny, raczej z części publicystycznej niż newsowej – jakiś wywiad, reportaż, esej, publicystyczna rozprawka. Zadanie niezbyt czasochłonne, bo przynajmniej szczerze, polska prasa to nie moskiewskie „tołstyje żurnaly” i ileż tu znaków może pomieścić najbardziej nawet długasny artykuł? Osiemnaście tysięcy ze spacjami? Dwadzieścia? Ile zatem czasu zajmuje przeczytanie takiego tekstu, nawet z namysłem?

Musicie wiedzieć, nęciłem przyszłych wyrobników i mistrzów mediów, że Boże Narodzenie to najbardziej płodny i najciekawszy czytelniczo okres w prasie. Gazety i magazyny są zazwyczaj grubsze – podmawiałem – a redakcje chomikują na tę okazję co lepsze teksty co lepszych autorów. Czeka was zatem intelektualna, jedyna w roku uczta, którą ja na przykład cenię nie mniej niż uciechy świątecznego stołu – kusiłem. I miałem cichą nadzieję, że wielu z nich sprawię swymi rekomendacjami frajdę.

Do wyboru dałem świąteczne lub noworoczne wydania „Gazety Wyborczej”, „Rzeczpospolitej” („Plus Minus”), „Nowej Trybuny Opolskiej” (patriotyzm lokalny zobowiązuje), „Do Rzeczy”, „Polityki”, „Tygodnika Powszechnego”, „Wprost”, „Newsweeka” i „W Sieci”. Tytuły, których zawartość nie przekracza intelektualnych zdolności polskiego inteligenta, choćby i takiego z obniżoną przez telewizję poprzeczką aspiracji.

Jak sądzicie, ilu studentów przeczytało przez 20 dni cokolwiek? Jedna osoba. Reszta nie wzięła w tym czasie do ręki gazety. Nie weszła też na gazetowe portale, żeby przeczytać zalecone teksty w sieci. Zapytałem o książki. Milczenie.

Dociekałem powodów tego nieczytania i wtedy najczęstszą odpowiedzią był brak czasu. Jedna pomagała mamie przy sprawianiu karpi (przez 20 dni?), innemu wypadła zmiana w pracy (także w Boże Narodzenie, sylwestra i Nowy Rok?).

Piłkarz nie chce Ligi Mistrzów

Ktoś powie, że widocznie nie mam posłuchu jako nauczyciel. Być może, ale pozwolę sobie zauważyć, że ja nie zaleciłem przecież studentom szuflowania śniegu albo zbierania kamieni, w których kupę zamienia się powoli nasze państwo, lecz odniosłem się do czynności, która w ich zawodzie oraz przy ich aspiracjach społecznych, wyrażonych przecież wyborem studiów, wydaje się naturalna. To tak, jakbym piłkarzowi pierwszoligowego klubu (bo przecież uniwersytety to pierwsza liga) polecił obejrzenie finału Ligi Mistrzów albo początkującemu lekarzowi zaliczenie któregoś z odcinków „Doktora House’a”. A oni nie byłiby tego ciekawi.

A przecież, pominiawszy wynikający z przyszłego zawodu obowiązek, ci studenci powinni się na te świąteczne gazety rzucić z samej tylko ciekawości. Oraz dla przyjemności, jaką, sądziłem, potrafi dawać jeszcze czytanie cudzych słów i myśli.

Ja nie piszę tych słów z pozycji dziadzi, który wyrzeka, że „za moich czasów...” – i tak dalej. Za moich czasów też nie było idealnie, ale było dużo lepiej. Nie chcę z tych studentów kpić, piętnować ich, wyszydząć, choć mógłbym to zrobić bezkarnie, mając pewność, że skoro nie przeczytali tamtych tekstów, to nie przeczytają i tego. Nie chcę ich nazywać durniami, bo nimi nie są.

Przecież każdy z nich z osobna, w prywatnej lub półprywatnej rozmowie, to mniej lub bardziej bystry, ale nieodmiennie miły młody człowiek, który na ogół orientuje się w świecie i wie, czego w życiu chce. A nad moim pokoleniem ma taką praktyczną przewagę, że podczas gdy my mogliśmy bujać się przez pięć lat na garnuszku mamy, do którego wpadało czasem wcale niemałe stypendium, o tyle oni zasuważą na swoje utrzymanie. W pocie czoła i na śmieciowych umowach zaiwanają po tych wszystkich sieciowych naleśnikarniach, korporacyjnych kotleciarniach, supermarketach i innych bastionach gospodarczego postkolonializmu, traktując to jako normalny stan rzeczy, a często jeszcze dziękując za niego Bogu. O ile nie zapomnieli o Nim po przyjeździe ze swoich wsi i miasteczek (ale chyba

nie zapomnieli, o czym świadczył tegoroczny adwentowy tłum u jezuitów koło kampusu UO).

Pożegnajmy tę dygresję i dotknijmy sedna problemu, który moim zdaniem zawiera się w takim oto twierdzeniu: zanika czytanie dla przyjemności. Czytanie jako źródło satysfakcji intelektualnej, ale i estetycznej. Jako czynność będąca czystą frajdą umysłową.

Coraz mniej osób konsumuje dziś książki, tak jak konsumuje się łąkość lub delikates, albo jak słucha się któregoś z brawurowych koncertów Mozarta. Dla samego smaku i dla urody. Smaku słowa i frazy, urody myśli. I także po to, aby zdumiewać się zadzierzystością poglądów lub zachwycać doskonałością stylu.

Badania boleśnie parzące

Znajomi często pytają mnie, dlaczego ja wszędzie chodzę z plikiem gazet, dlaczego wszędzie te gazety kupuję i ciągle je czytam. I zanim zdążę otworzyć usta, odpowiadają za mnie: no, tak, taki masz zawód, musisz wiedzieć i już.

Przyznam, że przez długi czas też się tak samooszukiwałem, tłumacząc tym przed sobą wcale niemałe wydatki i papierowy bałagan w domu. Że muszę. Bo tego wymaga moja zawodowa racja stanu.

Użyło dopiero wtedy, uświadomiłem sobie, że ja nie muszę, lecz chcę. I że mi to najnormalniej w świecie sprawia frajdę. Poniedziałkowy pakiet tygodników opinii od lewa do mocnego prawa, środowa „Polityka”, czwartkowy „Duży Format”, piątkowe magazyny NTO i „Wyborczej” plus Urbanowe „Nie”, to nasze polskie „Charlie Hebdo”, tyle że nie taką siekierą ciosane. No i sobota z ukochanym „Plusem-Minusem”. Każdy dzień to pełen satysfakcji rytuał: kawa, noga na nogę, czytanie. Tak, czytam, bo lubię! Czytam, bo mi to sprawia przyjemność.

Niestety, dziś czytanie wynika nie tyle z pragnienia obcowania z pięknem, co albo z chęci praktycznego ułożenia sobie życia (stąd powodzenie niezliczonych poradników: od psychoterapii po rzeźbienie mięśni brzucha w kaloryfer), albo z chęci nadążania za źle pojmowanym trendem (stąd wzięcie tych wszystkich wywiadów-rzek, które nieodmiennie rwą do morza banału i pustej celebry). O ile w ogóle ktoś czyta!

Jak wykazały gorące (bo świeże, ale i parzące boleśnie) badania Biblioteki Narodowej, w 2015 roku aż 19 milionów Polaków nie miało w rękach ani jednej książki, a 10 milionów nie ma ani jednej w domu. I tu moja mała kolejna dygresja. Czy zauważyliście, że z katalogów firm meblarskich zniknęły w ostatnich latach regały na książki? Owszem, można je jeszcze trafić w Ikei (to nie jest lokowanie produktu!), ale wejdźcie do pierwszego lepszego tzw. salonu z meblami, a przekonacie się, że dziś w mieszkaniu przeciętnego Polaka rządzi asceza: sofa, szklany stolik i jak największy telewizor. Całkiem zniknęły regały na książki. I stojaki na gazety. Ale wróćmy do liczb.

Według raportu Biblioteki Narodowej, w większości krajów europejskich czytelnictwo przekracza 50-procentowy próg, a w sąsiednich Czechach (niektórzy lubią dodawać „bratnich”) osiąga rekordowe 86 procent. Skąd u rodaków Szwejka takie rozczytanie? Nie mnie odpowiadać.

Nieczytający Polacy to zwykle (w trzech na pięć przypadków) mężczyźni. Najrzadziej po książkę sięgają emerytowani rolnicy i można by tu zażartować, więc żartuję, że oni mają za to swoją książeczkę wyborczą, a w niej kartę tytułową, więc po co im normalne książki. Aż 19 milionów Polaków (od 15. roku życia) nie przeczytało w 2015 roku nawet fragmentu książki. Ale co najbardziej przeraża i jakoś koresponduje z moim świątecznym doświadczeniem studenckim, ponad 6,2 miliona Polaków znajduje się poza kulturą pisma. To straszne sformułowanie oznacza, według badaczy z BN, że w ciągu roku te 6,2 miliona rodaków nie przeczytało nie tylko żadnej książki, ale też żadnego artykułu z prasy papierowej lub internetowej, i że w ciągu ostatniego miesiąca przed badaniem nie mieli do czynienia z jakimkolwiek dłuższym tekstem. Dłuższym niż 3 strony, co stanowi mniej więcej połowę tekstu, który teraz czytacie.

Czytamy, ale inaczej?

Przy okazji zdechł też lansowany namiętnie przez zwolenników nowych mediów mit, że odwrót od papieru jest rekompensowany żarłocznym wchłanianiem tekstów elektronicznych. Nic bardziej mylnego!

Jak oznajmia „Wyborcza”, badacze Biblioteki Narodowej po raz pierwszy przyjrzeni się bliżej temu, jak na nasze nawyki czytelnicze wpływa wykluczenie cyfrowe, czyli brak dostępu do Internetu. Okazało się, że jedno z drugim niewiele ma wspólnego. Samo korzystanie z Internetu nie zachęca nas do czytania online. Dłuższe teksty czytają w Internecie przede wszystkim osoby sięgające też ochoczo po książki i prasę tradycyjną. Wniosek jest taki, że najbardziej zaangażowanymi czytelnikami online są ci, którzy odebrali, jak wspomina raport, „tradycyjne książkowe wychowanie”.

Ale pojawiają się też inne opinie. W zeszłym roku własne badania na temat czytelnictwa przeprowadził Ośrodek Przetwarzania Informacji, państwowy instytut badawczy. Według badaczy ośrodka, narzekanie, iż Polacy nie czytają, jest niesprawiedliwe. Czytają, tyle że w inny sposób. – Mamy czas powszechnego pisanie i czytania – portale społecznościowe, wiadomości tekstowe aktywizują nas czytelniczo – przekonuje dr Artur Czesak, językoznawca z Uniwersytetu Jagiellońskiego, komentujący dla „Wyborczej” wspomniane badania. – Blogi bywają literaturą ambitniejszą od kupowanych na dworcu czytań, ale uważamy, że kulturalniej jest mówić wyłącznie o rozkoszowaniu się XIX-wieczną powieścią realistyczną lub aktualnie promowanym hitem.

Badanie OPI uwzględniło różne formy czytania. Wzięto w nim pod uwagę nie tylko książki, ale również „inne teksty”, do których autorzy zaliczyli: SMS-y, tweety, jednozdaniowe wpisy, artykuły w gazetach i wiadomości w Internecie: na blogach, forach, stronach portali, maile, reklamy, komunikaty informacyjne, a nawet napisy na murach, ulotki i gazetki promocyjne. No, jeżeli gazetki reklamowe z filetemi z dorsza i superokazyjnym nawozem do chryzantem plus kupon rabaty są dziś traktowane na równi z książką, to ja się z takiego czytelnictwa wypisuję.

Kto czyta, ten wie i... ma

Ciekawa jest też według naukowców OPI zależność między czytaniem a szczęściem. Osoby zadowolone ze swojego statusu materialnego znacznie częściej sięgają po książkę niż te nim sfrustrowane, wynika z badań. Być może dzięki czytaniu książek, dostępie do światów i wydarzeń nieosiągalnych w życiu realnym potrafimy optymistyczniej spoglądać na swoje życie – brzmi hipoteza badaczy. Pozwolę sobie tu na własną interpretację.

Owszem, książka daje perspektywę, ten widok z góry, co pozwala czasem popatrzeć na swoje sprawy z dystansem. Jednak zależność między zadowoleniem z życia a czytaniem bierze się, moim zdaniem, z czegoś innego. Czytanie wyrabia intelektualnie, czyni człowieka mądrzejszym, bardziej umysłowo zaradnym. Konsekwencją tego jest sprawniejsze radzenie sobie w pracy, wyższe zarobki, lepszy status społeczny i zawodowy, a co za tym idzie – zadowolenie z życia. A zatem trzeba tę relację odwrócić: to nie jest tak, że osoby zado-

wolone z sytuacji życiowej częściej sięgają po książkę, lecz jest tak, że to osoby czytające częściej odnoszą życiowe sukcesy. Typowy spór, co było pierwsze: jajko czy kura, w tym przypadku zostaje rozstrzygnięty jednoznacznie i bezapelacyjnie: pierwsza była książka!

A jeżeli któryś z moich studentów przeczyta jednak niniejszy tekst, to poczęstuję go na koniec taką oto wienką z tortu, która może studenta pocieszy, choć na logikę – nie powinna.

Otóż głośny ostatnio reżyser Borys Lankosz, autor filmowej adaptacji prozy głośnego pisarza Zygmunta Miłoszewskiego, oświadczył ostatnio w wywiadzie dla „Wyborczej”: „Z przykrością stwierdzam, że wielu moich kolegów po prostu nie czyta, a część jest nawet z tego powodu dumna”.

Zbigniew Górniak



Rys. Leszek Ołdak

Znaczkki czasu

Od stycznia tego roku w zbiorach Muzeum Uniwersytetu Opolskiego można obejrzeć plakietki okolicznościowe przekazane przez **Marka Roga**, długoletniego pracownika Wyższej Szkoły Pedagogicznej i Uniwersytetu Opolskiego. Zbiór obejmuje 16 unikatowych plakietek pochodzących z lat 1970–1980. Są wśród nich m.in. plakietki informujące o działalności studenckiego klubu „Skrzat” znajdującego się wówczas w domu studenckim „Mrowisko”, działającego pod egidą Zrzeszenia Studentów Polskich, w tym czasie najliczniejszej organizacji studenckiej. Warto przypomnieć, że w klubie „Skrzat” odbywały się najważniejsze imprezy kulturalne skupiające młodych twórców oraz wybitne osobistości ze świata kultury oraz reszcie studentów.

Ta wyjątkowa kolekcja przywołuje wspomnienia „Piastonaliów”, bali otrzęsinowych dla studentów pierwszych lat studiów, Ogólnopolskiego Przeglądu Studenckich Teatrów Debiutujących, Dni Kmicica... Plakietki upamięniają także początki funkcjonowania studenckiej rozgłośni „Radio-Sygnaly”.



Plakietka Rady Mieszkańców DS „Mrowisko”



Takie plakietki obowiązywały na „Piastonaliach” w 1975 r.

Znaczkki informacyjne i okolicznościowe przykuwają uwagę barwną, pomysłową szatą graficzną. Wykonane z plastiku i metalu, tłoczone z uprzednio grawerowanych

matryc, charakteryzuje wysoka jakość i niepowtarzalność. Każdy z nich przynosi informacje o rodzaju imprezy, organizatorach oraz roku, w którym zdarzenie miało miejsce. To nie tylko nośniki treści, ale i ciekawe symbole przywołujące magię tamtych lat.

Katarzyna Mazur-Kulesza



Swojego znaczka doczekała się także dyskoteka w legendarnym klubie „Skrzat”



„Mrówkonalia 1976”



W 1975 r. na opolskiej WSP zorganizowano Ogólnopolski Przegląd Teatrów Debiutujących



Kolejne, z 1978 r. „Piastonalia”



Te plakietki z 1977 r. informowały o balu otrzęsinowym



Maciej Siembieda

Przyjemny aromat stęchlizny

Gryzę ołówek, bo laptop średnio się do gryzienia nadaje, szukając pomocy w spełnieniu prośby Basi Stankiewicz: „Napisz coś. O swoich studiach”.

Parę dni później dołożył się Zbyszek Górniak, że napisać trzeba, bo „Indeks” się teraz czyta. „Czyta się”. Jak kiedyś, kiedy gazety nie były produktami, czytelnicy targetem, a teksty kontentem. Jak w czasach, gdy mawiano: „napisz coś”, a „coś” nie wymagało briefowania i czelendźu. To mnie uwiodło, przywołując przyjemny aromat stęchlizny sprzed 35 lat.

35 lat temu Uniwersytet Opolski miał inną pleć. Był Wyższą Szkołą Pedagogiczną, a środowisko akademickie raczej nie uznawało Wyższej Szkoły Pedagogicznej za damę – ani pod względem urodzenia, ani intelektu. Niemal wszyscy z mojej klasy maturalnej – w mieście odległym o 150 kilometrów od stolicy dawnej i 150 kilometrów od obecnej – studiowali na Uniwersytecie Jagiellońskim albo Warszawskim. Zanim zaczął się pierwszy semestr dowiedziałem się, że WSP to Wyższa Szkoła Podstawowa i że los surowo mnie ukarze za ekscentryczny pomysł pójścia na polonistykę w jakimś Opolu. Przez pewien czas żyłem w przygnębiającym przekonaniu, że wyjdę z tego pieca z naukowym zakalcem i na zawsze pozostanę niedopieczony.

Preludium do studiów na WSP w roku 1980 nie pomagało w korekcie tego poglądu. Pierwszym kosztem uzyskania przychodu w postaci tytułu magistra była praktyka w krapkowickiej fabryce obuwia „Otmęt”. Z polonistyką związane to było umiarkowanie, a bodaj nawet wcale. Przez miesiąc „wyciągaliśmy kopyta”, czyli rozpaczliwie staraliśmy się zsunąć skórzaną formę butów z drewnianych prawideł, na których je uprzednio umieszczono. Czynność nie należała do łatwych, bo buty trzymały się prawideł niczym ówczesna Polska socjalizmu, zatem ściąganie form odbywało się za pomocą specjalnego urządzenia hydraulicznego, znacznie ułatwiającego proces. Prawidło nasadzało się na specjalny bolec, maszyna sapała, a wtedy jednym zręcznym ruchem można było zdjąć makabrycznie ciężki but z drewnianej stopy.

Niestety. Urządzenie było dostępne tylko dla proletariatu. Majster – łączący w sobie pasje zażartego

komunisty i racjonalizatora – opatentował technologię polegającą na tym, aby studentom wsparcie hydrauliczne wyłączać. Generowało to same korzyści: „Otmęt” oszczędzał na kosztach energii elektrycznej, a przyszli absolwenci WSP mogli udoskonalić mięśnie przedramion i zyskać klasową świadomość, jak mozolne życie mają ludzie pracy i że w tej sytuacji warto przykładać się do nauki.

Po fitnessie robotniczym przyszedł czas na aerobik ideologiczny. Ten miał postać tak zwanego obozu adaptacyjnego urządzanego w zamku w Dąbrowie Niemodlińskiej przez Socjalistyczny Związek Studentów Polskich. Poza nietaktem przebywania w pałacu pod nieobecność właścicieli, adaptacja miała swoje przyjemne strony. O ile praktyka w Krapkowicach służyła wsparciu miejskiej klasy robotniczej, o tyle obóz miał pożytki dla środowiska wiejskiego w postaci znacznych przychodów do miejscowego sklepu Gminnej Spółdzielni „Samopomoc Chłopska”, a szczególnie jednego z jego popularnych stoisk.

Robotniczo-chłopskie otrzęsiny gwarantowały dawkę zmęczenia, która wykluczała rozważania o wyższości uniwersytetu nad WSP. Podczas immartykulacji fałszowaliśmy *Gaudeamus* nie gorzej niż na Sorbonie i do głowy nam nie przyszło sprawdzać, czy grono staje naszego rektora są prawdziwe. Zresztą uczelniany apartheid szybko zweryfikowało życie: kiedy moi uniwersyteccy koledzy ze zdumieniem stwierdzili, że uczą się z paru podręczników autorstwa moich profesorów z Instytutu Filologii Polskiej WSP w Opolu, komentarze straciły rację bytu.

Po kilku miesiącach okazało się, że kameralna szkółka pedagogiczna w jakimś Opolu ma więcej wspólnego ze studiowaniem niż uniwersyteckie wytwórnie absolwentów. Rok liczył 28 osób, grupa ćwiczeniowa od 7 do 10. Nie dało się nie przeczytać lektury, nie przygotować, przetrwać zajęcia w kącie sali. Byliśmy uczestnikami procesu obróbki wiedzy, a nie jego przedmiotem. Podczas zajęć konwersatoryjnych każdy z uczestników miał dla siebie średnio 10 minut „czasu antenowego”. Spróbujcie mówić przez 10 minut o czymś, o czym nie macie pojęcia.

Czytaliśmy tony tekstów, a każda linijka odkładała się w banku podświadomości na lokacie procentującej nie tylko odczytaniem, ale obyciem z językiem. Nigdy więcej nie zgromadziłem więcej kapitału, za który udało się kupić bilet do dziennikarstwa.

Otoczenie polonistyki było dość interesujące. Poza filologiami: obowiązkową rosyjską i pożądaną angielską, Wyższa Szkoła Pedagogiczna produkowała świetnych historyków, ale również nauczycieli wychowania technicznego nazywanych karmnikami, bo skonstruowanie punktu poboru paszy dla sikorek oraz jego metodyczne opisanie w kontekście rozwoju edukacyjnego zdolności manualnych dzieci i młodzieży – wystarczały do obrony tytułu magistra. Na WT studiowała wyjątkowo młodziem męską o ustalonej reputacji.

Sporo egzotyki wnosili kierunki ekonomiczne. Już sama nazwa brzmiała podejrzanie. Uczelnia: Wyższa Szkoła Pedagogiczna. Wydział: Filologiczno-Historyczny. Kierunek: ekonomika produkcji przedsiębiorstw albo: ekonomika obrotu, handlu i usług. Proroczno uczono tam robienia pieniędzy, co za parę lat miało się naprawdę przydać w przestrzeni wolnego rynku, gloryfikując dziesiątki absolwentów opolskiej ekonomiki za biurkami poważnych firm i instytucji życia gospodarczego.

Tymczasem w 1980 roku – również na polonistycę – obowiązkowo uczyliśmy się ekonomii politycznej socjalizmu, która tym się różniła od ekonomii normalnej, czym krzesło od krzesła elektrycznego. Wystarczyło opanować i stosować jej zasady, aby zamordować każdy biznes. Przedmiotu nauczał profesor Jagas. Mężczyzna zasadniczy, podkreślający swoje poglądy uderzeniami protezy ręki w blat katedry oraz będący bohaterem soczystych legend, pewnie spreparowanych nie gorzej od ekonomii politycznej socjalizmu. Bez wątpienia otwierał poczet WSP-owskich oryginałów.

Zamykała go kadra Studium Wojskowego. Bardzo nie po dżentelmeńsku byłoby odegrać się teraz na obywatelach pułkownikach za kaliber ich intelektu i kultury, dlatego kwituję temat milczącym salutem. Jednej historii mimo to nie odpuszczę, bo jest to najpiękniejsza przypowieść o rekonstrukcji, jaką kiedykolwiek przeżyłem.

Studenci polonistyki, kierunku stanowczo sfeminizowanego, uchodzący za coś w rodzaju gender, uczęszczali na zajęcia wraz z prawdziwymi mężczyznami z Wyższej Szkoły Inżynierskiej, których gościliśmy w naszym Studium Wojskowym. Na zajęcia przychodziło kilkudziesięciu młodych facetów, którzy nie byli szczególnie zainteresowani zgłębianiem doktryny obronnej państw Układu Warszawskiego oraz taktyką walki w terenie lesisto-jeziornym. Ów karygodny brak zainteresowania generował oburzenie obywateli pułkowników, a ono z kolei – zimną wojnę.

Nic też dziwnego, że któregoś dnia, tuż przed rozpoczęciem zajęć „z wojska” pewien szczególnie nielubiany oficer LWP, stanowiący fundament kadrowy Studium, wszedł do sali wykładowej i osłupiał. Na tablicy, kredą, ktoś napisał jego nazwisko i dodał do niego pewien bardzo brzydki rzeczownik rodzaju męskiego, prawidłowo zapisany przez ce-cha. Pułkownik zaczerwienił się jak piwonია, próbował coś artykułować – ale odebrało mu mowę, zatem wykonał regulaminowy w tył zwrot i wypadł z sali.

Pobiegł do sąsiedniego gabinetu kierownika Studium Wojskowego, meldując podniesionym głosem o zajściu, ale kierownik akurat rozmawiał przez telefon, więc przepędził go gestem dłoni, odpowiadając, że zaraz przyjdzie dokonać wizji lokalnej.

Nasz pułkownik wpadł z powrotem do sali wykładowej, ale tymczasem napis na tablicy zniknął – wytarty suchą gąbką. Oficer, w najwyższym stadium wzburzenia, niewiele myśląc, pochwyił kredę i pieczołowicie odtworzył inskrypcję: swoje nazwisko i paskudny rzeczownik, prowadząc kredę wzdłuż ledwie widocznego śladu po poprzednim napisie oraz zachowując pisownię przez „ch”.

Skończył, otrząpiał dłonie i w tym momencie wszedł kierownik Studium. Wszyscy zerwali się z miejsc, prężąc się w postawie zasadniczej. Kierownik spojrział na tablicę i ryknął poligonowym basem:

– Który to napisał?

Sala zameldowała zgodnym chórem, wskazując palcami wojskowego wykładowcę z dłońmi ciągle białymi od kredy:

– Pan pułkownik!

Kierownik Studium popatrzył na podwładnego złym wzrokiem, spiorunował go pytaniem „To po co mi dupę zawracasz?” i opuścił salę krokiem zalecanym piechocie w natarciu. Nasz pułkownik po raz wtóry doświadczył paraliżu strun głosowych na skutek silnych emocji, co uniemożliwiło przeprowadzenie działań obronnych.

Mimo że rekonstrukcja nie przyniosła pocziwemu oficerowi pożytku, dziś bez wahania oddałbym wiele za odtworzenie klimatu WSP roku 1980. Ręczę, że nie chodzi o odmłodzenie. Raczej o 35-letni urlop dziekański, po którym można by choć na krótko powrócić w tamten wymiar. Ręcznie ściągać buty z opornych prawideł, przeżyć trochę indoktrynacji i uczyć się, że „zdrobienie” nazywa się „deminutywną derywacją podstawy słowotwórczej”.

Byle znów zbudować kolekcję wydarzeń i zjawisk, które sprawiają, że po 35 latach, na prośbę Basi Stankiewicz: „Napisz coś o swoich studiach” – mam co napisać.

Elżbieta Dąbrowska

Podróż – rozpoznanie – poznanie

„Ogromnych spustoszeń dokonała literatura przewodnikowa – to inwazja, epidemia” – pisze Olga Tokarczuk. „Bedekery zniszczyły większą część planety na Zawsze. Wydane w milionach egzemplarzy, w wielu językach, osłabiły miejsca, przyszpiliły je, nazwały i zatarły kontury” (*Bieguni*). Przeciwwagą dla owej niszczącej siły na pewno jest literatura podróżnicza, której znaczącą wartością jest zdecydowanie inny przekaz z podróży: nie tylko doświadczanej bezpośrednio, ale też nacechowanej indywidualnym, osobistym stylem narracji. Nade wszystko zaś tym, że na prekór turystycznym przewodnikom prowadzi swego czytelnika nietypowymi szlakami, wiedzie przez mniej uczęszczane ścieżki i – jak Andrzej Stasiuk – nierzadko dociera do miejsc zapomnianych przez Boga i ludzi. To inne źródło wiedzy o świecie byłoby zarazem próbą innej – bardziej otwartej i nieokreślonej – formy poznawania świata; byłoby tropem podróżnym nie poddanym „przewodnikowemu” trasowaniu i tresowaniu turysty (rejestracja miejsc, które obowiązkowo trzeba zobaczyć, dodatkowo wzmocniona przypisaną im turystyczną skalą wartości).

Ci, którzy niechętnie poddają się standaryzacji – chcą doświadczeń niebanalnych, niepowtarzalnych i autentycznych – zbaczają z wyznaczonego kursu, idą nierozpoznanymi jeszcze ścieżkami w stronę światów peryferyjnych, do miejsc omijanych przez zwykłego rekreacyjnego turystę. Można powiedzieć, że stąd powstałe narracje podróżne – kształtowane przez jedyne w swoim rodzaju życiowe peregrynacje – nie mają nic marketingowego. Nie dbałość o spełnianie oczekiwań turysty mają bowiem na względzie, ale przeciwnie, sprowokowanie go do uczestnictwa w zupełnie innej podróży. Takiej, która tożsama z doświadczeniem egzystencji, niczego nie obiecuje, nieustannie natomiast stwarza przestrzeń do przemyśleń nad korzyściami podróżowania, z nadzieją rozpoznania jego sensu: „Błąkałem się z nadzieją, [...]. Że sens w końcu się objawi, ponieważ sens istnieje. Dlatego każdego roku wypuszczałem się w podróż coraz dalej i dalej.” (Stasiuk, *Dziennik pisany później*). Chodzi więc o podróż jako prze-żywanie świata i siebie w drodze, rodzaj doświadczenia „ruchomej” biografii i geografii, poznawania różnych miejsc i pejzaży rzeczywistości (kultur, ludzi, zdarzeń, sytuacji). Wówczas też „myśl podróżująca” może otworzyć się na rzeczy i sprawy donioślejsze niż tylko te oglądane na wierzchu widoku, odsłonić niewidoczne strony i okolice, podskórnie pulsujące treści i znaczenia. „Na mojej starej poklejonej mapie – mówi Andrzej Stasiuk – nazwy miejscowości są zapi-

sane po rumuńsku, węgiersku i niemiecku [...]. Nikt nie pomyślał, by zapisać je też w romani. Myślę, że najmniej zainteresowani są tym sami Cyganie. Ich geografia jest ruchoma i nieuchwytna. Bardzo możliwe, że przetrwa naszą” (*Jadąc do Babadag*).

Andrzeja Stasiuka doświadczenie podróży wyróżnia szczególny styl relacji, szczególna, osobista dykcja opisu, jego emocjonalna tonacja. Działa na wyobraźnię mocą sugestywnej wizualizacji, przenikaniem słowa i rzeczywistości, skutecznym wciąganiem czytelnika/widza do środka obrazu. To właśnie ów styl sprawia, że i my doświadczamy emocji autora, odbieramy jego fascynacje i negacje, niemal fizycznie doznajemy uczuć, które wyraża. Narracje podróżne tego autora (*Jadąc do Babadag*, *Dziennik pisany później*) to niezwykle pole doświadczeń, jakie wynosimy ze spotkania z Drugim, z wejść, które na te spotkania otwiera i pozwala być wśród wielorakich kultur, ich przeszłych i teraźniejszych obecności, wieloźródłowych nawarstwień, osobnych albo przenikających języków i własności (moje/ cudze/obce). Z różnorodności widoków i widzenia tworzy Stasiuk złożony obraz Środkowej Europy, doświadcza jej z bliska, a rozpoznane fragmenty nakłada na swą prywatną mapę podróży, dokleja i wkleja coraz to nowe części. Zmienia i przekształca zastany pejzaż schodzeniem w głąb etnicznych i kulturowych krajobrazów, wiąże doświadczenia z drogi w „małe narracje”, po to, by doświadczone się unaocznilo i nabrało wagi swego istnienia.

Również my, w podróżach ze Stasiukiem, idący jego ścieżkami, odmieniamy swoje patrzenie i widzenie rzeczywistości, inaczej ją „zachodzimy”, więc też w innym świetle oglądamy własne i cudze tradycje, jawiące się miejscami, jako zupełnie inne a nawet obce. Poprzez oświetlenie siły stereotypów – pokazanie ich dobrej i złej „woli” działania – jesteśmy zmuszeni zobaczyć, jak językowe automatyzmy, bezrefleksyjna mowa, rządzi naszym nawykowym myśleniem o Innych (inne języki, kultury, zwyczaje, obrzędy, religie). Wtedy też zaczynamy pojmować kłopoty z komunikacją, nie tyle z powodu obcego języka i kultury, ile z powodu zakłóceń w odbiorze cudzych znaków i cudzych słowników, zwłaszcza zaś źle zakodowanych i źle zakotwiczonych w naszych głowach znaczeń. Gdy nic „nie jest takie, jakie wydaje się na pierwszy rzut oka”, gdy – jak o tym mówi Stasiuk – „wszędzie tkwią zadry znaczeń, o które myśl zaczepia się jak gacie o kolczasty drut. Nie można zwyczajnie, ot tak sobie napisać, że granicę w Serecie przekroczyliśmy w nocy na piechotę, a rumuńscy strażnicy, którzy trzymali w szachu

całe przejście [...], nas po prostu puścili, śmiejąc się rubasznie i dobrodusznie. Po drugiej stronie była tylko noc. Czekaliśmy aż od Ukrainy coś nadjedzie i nas weźmie [...]. Dziwnie jest znaleźć się w obcym kraju po północy, gdy za cały widok ma się tylko ciemność” (*Jadąc do Babadag*).

Język Stasiuka sprawia, że niemal razem z nim doświadczamy emocji podróży, przekraczamy granice państw i kultur, poznajemy zachowania Innych, codzienne „przypadki istnienia” i odświętne rytuały mniejszych czy większych społeczności. To wszystko bowiem składa się na jego Europę, na jej „rucho-my obraz” tworzony z rozmaitych widoków „wyrwanych z krajobrazu”, z drobiazgów i szczegółów, „z parosekundowych zdarzeń przypominających filmowe etiudy”; „z migotliwych skrawków, które wirują [...] jak liście na wietrze i przez tę zawieję epizodów prześwieca mapa i prześwieca pejzaż”. To właśnie tak zwielokrotnione rzeczywistości (słowne i pozasłowne) uwypuklają „płaską przestrzeń mapy”, są jej wersją wielowymiarową i nieobliczalną, jak nieobliczalne może być doświadczenie drogi. Geografia więc nie historia podpowiada tutaj kierunki podróży, może dlatego, jak tłumaczy Stasiuk, że „jej wielkim, półmartwym i nadpsutym cielskim żywiliśmy się w naszych stronach tak długo. Geografia natomiast została nam dana niczym objawienie, i jest to jedna z niewielu rzeczy, jakiej nie udało nam się spieprzyć” (*Jadąc do Babadag*).

Te próbki Stasiukowego stylu doskonale oddają emocyjne tonacje jego wypowiedzi, ale służą również wartościująco strojonym komentarzom do rzeczywistości: albo już opowiedzianej (historia), albo teraz przeżywanej, a potem opisanej. W przekonaniu auto-

ra, to opis daje pewność istnieniu rzeczy opisywanej: „Być może wyrusza się w podróż po to, by nieść ocalenie faktom, by podtrzymywać ich wąty, jednorazowy błysk”.

Nie jest to jednak zwykły „błysk” aparatu fotograficznego, bo nie o turystę kolekcjonera (zbieracza pamiątek z podróży) tutaj chodzi, ale o ten rodzaj doświadczenia, które razem z podróżą nabiera owej dodatkowej wartości, jaką jest rozpoznawanie i poznawanie własnej kondycji i kondycji człowieka w scenarii współczesnego świata. To przesłanie zawsze towarzyszy podróżom Stasiuka, zwłaszcza widać je w języku narracji, ale też w rozmaitych rytmach drogi; nagłych zbliżeniach albo rozciągniętych w czasie widokach. Nierzadko oglądanych w „prześwitach” między realną a odrealnioną rzeczywistością, poprzez „rozsuwanie widzialności” między fizycznym a metafizycznym błyskiem: „kilometr po kilometrze, hektar po hektarze, gmina po gminie, wymieniając te wszystkie nazwy jak zaklęcia, jak modlitwy, jak litanie, arko przymierza, domie złoty”; „Moc i chwała rzeczywistości. [...], ale wyobraźnia sięgała dalej.” (*Dziennik pisany później*).

Nagromadzone w opisach szczegóły sprawiają, że stajemy się bardziej uważni, że z wielokulturowych lekcji Stasiuka wychodzimy nie jak zwykli turyści, oglądacze rekwizytów innej kultury, ale Ci, którzy to, co zobaczone potrafią przekształcić w to, co przeżywane, co zjawia się w postaci wiedzy o Innym, co przychodzi po spotkaniu z Innymi. I jeśli jest tak, że świat objęła w posiadanie „kultura planetarna”, to z pewnością tego rodzaju relacje ze świata różnorodności będą zarazem ujawniać wielorako złożone związki: al-



Nad Dniestrem, w pobliżu wsi Uściczko na Ukrainie (fot. Tadeusz Parcej)

bo wzajemnie wzbogacających się społeczności, albo skłóconych ze sobą obcych światów i języków. Jednak podzielając przekonanie, że „widzieć to wiedzieć”, możemy z doświadczenia podróży czerpać motywacje do rozmowy, podejmować próby zastąpienia obco brzmiących kulturowych monologów, komunikacyjnie skutecznym dialogiem: „powitaniem różnicy, aby się z niej nauczyć”.

Do tych interakcji odsyła Olga Tokarczuk, która jak podróżną mantrę powtarza frazę „Celem mojej pielgrzymki jest zawsze inny pielgrzym” i stale dopełnia treści tego – idącego przez narracje zdania – doświadczeniem miejsca i okoliczności podróży. Stąd rozmaite punkty na mapie (graficzna część książki) rozpisuje w czasie i przestrzeni, wiąże zdarzenia przeszłe i teraźniejsze, kultury muzealne i aktualne, ogólne i poszczególnie fakty ludzkiej egzystencji. Z perspektywy swistej „psychologii podróży” interpretuje dane, widzi zależności człowieka od języka i miejsca, a nawet pory dnia i klimatu. Mówi, że „ludy osiadłe wołają przyjemność czasu kolistego, w którym każde wydarzenie musi wrócić do własnego początku, zwinąć się w embrion i powtórzyć proces dojrzewania i śmierci. Lecz nomadzi [...], gdy wyruszają w drogę, muszą wymyślić dla siebie czas inny, który lepiej odpowiadałby podróży. To czas linearny, bardziej użyteczny [...]. Każdy moment jest inny i nigdy się nie powtórzy, sprzyja więc ryzyku [...]” (*Bieguni*).

Wracające raz po raz motywy Pielgrzymy i pielgrzymki wywołują także znaczące odniesienia do europejskiej tradycji podróżowania, jako „duchowego odrodzenia”, ale także poznawania „innej rzeczywistości niż ta, w której się żyło i pracowało na co dzień” – „poznawania kultury, tradycji i obyczajów innych nacji” (Bratuń, 2003). W tym praktykowaniu wędrowki, pielgrzymowanie było dla większości Europejczyków jedynym sposobem odkrywania zewnętrznego świata. Nie bez powodu ruch staje się więc kluczowym słowem, a zarazem wykładnią doświadczenia podróży. Skoro zło – jak twierdzili Bieguni (odłam prawosławnych starowierców), ma największą moc, gdy człowiek stanie w miejscu, jedyną formą ratunku przed złem okazuje się zatem podróż, ruch. Z kolei kakofonia i dysonans naszego doświadczenia świata byłyby – jak mówi Olga Tokarczuk – z jednej strony świadomością jego chaosu, rozpadania się i niemożliwości ujednolicenia, z drugiej jednak stale aktualnej potrzeby „ponownego tworzenia nowych konfiguracji” (*Bieguni*).

Przypisany podróżnikowi, wędrowcowi, pielgrzymowi i turyście charakter postaci niestrudzonej, zawsze gotowej „pójść, pojechać, dowiedzieć się i natychmiast rozgłosić to światu” przypomina w tym Herodota, z którym podróżuje Ryszard Kapuściński (*Podróże z Herodotem*). Reportera fascynuje ów starożytny człowiek ogarnięty „żądzą, bzikiem, manią poznania”, który nie tyle zwiedzał inne kraje, co poznawał i przekształcał zobaczone w poznawczy efekt podróży. Dopiero bowiem przez pryzmat własnego i

cudzego doświadczenia można odkryć sferę „mojości” i „inności”, uchwycić podobieństwa i różnice, bliskości albo odległości kultur, ich osobne albo zmieszane formy, „obrysowane” albo „rozmyte” granice wielojęzycznej mowy (Chlebda 2003).

Reportaże Ryszarda Kapuścińskiego doskonale te sytuacje odsłaniają, a przy tym mają tę przewagę nad medialnymi newsami, że zmuszają czytelnika do znacznie dłuższej reakcji na rzeczywistość niż sama o niej informacja (Bauer 2001). To skutek autorskich intencji i pisarskich strategii, wykraczania słowa poza zwykłe komunikowanie o faktach, wywoływania stylem opisu wartości słowa etycznego. Tak pisane relacje z podróży dają do myślenia, prowokują do poznawczych penetracji. Kapuściński, Stasiuk, Tokarczuk, każdy z przywołanych autorów podsuwa własne tropy i strategie podróżowania, ale łączy ich przeświadczenie o konieczności wyjścia „ja” poza własne granice, otwarcia się na Innego, w tym, na wiedzę o różnorodności świata. Nie lepszej czy gorszej jego części, ale właśnie innej i różnorodnej.

Na koniec rekomenduję wszystkim wędrowcom, pielgrzymom i turystom słowa Ryszarda Kapuścińskiego: „Tak naprawdę nie wiemy, co ciągnie człowieka w świat. Ciekawość? Głód przeżyć? Potrzeba nieustannego dziwienia się? Człowiek, który przestaje się dziwić, jest wydrażony, ma wypalone serce. W człowieku, który uważa, że wszystko już było i nic nie może go zdziwić, umarło to, co najpiękniejsze – uroda życia”. Stąd zdecydowanie bliżej do Herodota, owego „ruchliwego, zaabsorbowanego, niestrudzonego nomady, pełnego planów, pomysłów, hipotez. Ciągłe w podróży. Nawet kiedy był w domu [...], to albo właśnie wrócił z wyprawy, albo już przygotowuje się do następnej. Podróż jako wysiłek i dociekanie, jako próba poznania wszystkiego – życia, świata, siebie” (*Podróże z Herodotem*).

Jak pisał Edward Stachura: „Komu w drogę temu teraz”.

Elżbieta Dąbrowska

Źródła

Andrzej Stasiuk, *Jadąc do Babadag*, Wołowiec 2004; *Dziennik pisany później* (Fotografie D. Pawelec), Wołowiec 2010, *Moja Europa. Dwa eseje o Europie zwanej Środkową* [A. Stasiuk - J. Andruchowycz], Wołowiec 2001; Olga Tokarczuk, *Bieguni*, Kraków 2007; R. Kapuściński, *Podróże z Herodotem*, Kraków 2006; *Ten Inny*, Kraków 2006.

Literatura

Bauer Z., *Antymedialny reportaż Ryszarda Kapuścińskiego*, Warszawa 2001.

Bratuń M., *Ars Apodemica. Narodziny, rozwój, zmierzch*, w: *Wędrować, pielgrzymować, być turystą. Podróż w dyskursach kultury*, red. P. Kowalski, Opole 2003.

Chlebda W., *Objazd granic przestrzeni własnej*, w: *Wędrować, pielgrzymować...*

Kowalski P., *O podróżach, znakach podróży i metaforyzowaniu jej sensów*, w: *Wędrować, pielgrzymować...*, Opole 2003.



Kościół św. Anny w Wilnie

Adam Wierciński

Miasto

Można by zacząć tak: dwie rzeki (trzecia podziemna, mało kto dziś o niej pamięta), wzgórz kilka, tych większych, pagórków i wzniesień bez liku: las wokół, pola, niezbyt ostre granice między wsią a miastem. Podmiejskie, półwiejskie domy witały podróżnych. Tak było kiedyś. Ale i dziś wiele tam jeszcze rzeczy na ludzka miarę, i dziś las wchodzi między wyszukane budowle, przyroda – jak dawniej nie pozwala architektom panoszyć się zanadto. Miasto gęsto zabudowane, na pierwszy rzut oka bez ładu i składu, raj dla zakochanych i natur obdarzonych łaską przeżywania sztuki: można błędzić dzień w dzień godzinami, odkrywać pojawiające się zniemacka kościoły, cerkwie, zaułki, podwórza ukryte, arkady. Miasto ciasne, zatłoczone, z długim wczoraj.

Ileż czasem trzeba pomysłowości, ile szczęścia, by znaleźć wreszcie miejsce, skąd można zobaczyć najlepiej i najwięcej. To samo inaczej: co rusz zmienia się widok w zależności od tego, czy się wznosimy krętymi uliczkami, czy schodzimy w dół. Są budowle, niekiedy rzadkiej piękności, które, by zobaczyć w pełnej krasie, trzeba oglądać z określonego miejsca, tak na przykład,

by móc zachwycać się i cieszyć pięknem kościoła św. Ducha, barokowego, z rzymską kopułą, należałoby nań patrzeć z okien dawnego Pałacu Biskupiego.

Tam nawarstwiały się style, epoki nie kończyły się zgodnie z kalendarzem, było inaczej, style współistniały, zazębiały się różne czasy; rzeki i wzgórza ograniczały kiedyś rozwój miasta, stąd natłok wartościowej architektury, obok, razem, wyżej i u stóp; powstaje z tego czasem kompozycja nie do przewidzenia. Tak dzieje to wszystko splątały, jakby ktoś ustawiał dekoracje czy myślał o malarzach z jutra i coraz to inne panoramy tworzył. Gdyby tam mniej palono i grabiono, gdyby XVII wiek nie był tak straszny, gdyby maruderzy historii nie plądrowali tak często, nie niszczyli kruchego piękna, nie zacierali tak bezmyślnie tyłu śladów, nie ścierali znaków. Wśród wzgórz leży jak Rzym; porównywano je do gniazda, nazywano „miłym miastem”, kochano cicho i nieśmiało, próbowano – bez większego powodzenia – opisywać, ciągle na nowo, ciągle od początku, w coraz to innych językach. Niebo tam wysokie, chmury wiszą często, płyną dostojnie, pyszną się bielą. Uliczki kręte, wąskie, uskoków

tam, załomów, arkad, nagłych skrętów bez liku. Tara-sy, wzgórze, obniżenia, pozornie tak blisko tam wszędzie, długie drogi – okaże się – łączą małe odległości.

I wieże, tyle wież, tak różnych – ostrych, kopulastych, cerkiewnych, kościelnych; rosną, znikają, zmieniają miejsce. Najwyższa Świętojańska, przyciężkawa jak stołp – dzwonnica, pozostałość po Zamku koło Katedry, piękne u Misjonarzy i u św. Katarzyny, po dwie smukłe, lekkie, koronkowe, bodące niebo, wyciągające się jak najwyżej, tęskniące do chmur obłych i jasnych.

Trzy góry, las w mieście, przyroda narzucająca swą wolę niedysyjszym budowniczym, wspomagająca w zamysłach; zmuszała do pokory i ciągłych poszukiwań. Kościelne miasto „śpi cicho jak gołąb” – pisał Poeta. Wieże i kopuły. I krzyże – na kościołach, na cerkwiach, na bramach, panujące niegdyś Miastu z Katedry i Góry Trzykrzyskiej. Bieleły tam tyle lat, bieleją po długiej przerwie znów.

Brak tam ostrych przedziałów między wczoraj a dziś, wystarczy zmienić kilka rekwizytów, może nawet nie zmieniać, odsłonić tylko, pozwolić, by się ujawniło to i tamto, i można było wracać w inny czas. Cmentarze tamtejsze nie budzą grozy, rozrzucone wokół miasta, pięknie położone, godzą ze śmiercią, odbierają jej grozę; mogiły w dole, groby na górze, krzyże, krzyże. Napisy wielojęzyczne, epitafia naiwne i wyszukane, nazwiska z tyłu herbarzy i ksiąg miejskich, o źródłosłowach polskich, litewskich, ruskich, niemieckich, szwedzkich, hebrajskich, tatarskich; rdzeń polski zdobi często końcówka ruska, rdzeń litewski i ruski – polska... Kondratowicze leżą obok Tyszkiewiczów, Jocher koło Kochanowskiego, Čiurlionis i Sokołowski, Oskierko i Spitznagel, Pietraszkiewicz i Korzeniowski, Burchardt i Jamontt. I imiona z tyłu kalendarzy.

Miasto nie oszołamia, nie uprawia od razu w zachwyty, do podziwu nie zmusza; jak twarz o rzadkiej urodzie, wymaga trudu odkrycia, wie – jak starzec pewien swej mądrości, czy dziewczyna świadoma swego wdzięku – że prawdziwe wartości zostaną dostrzeżone, że dokładniejsze poznanie nie rozczaruje, ale zauroczy trwale.

Tam przyrodę odbiera się prawie bezpośrednio, jej wszechobecność wpływa na ludzi, uczy pokory, zmusza do zadumy nad urodą i tajemniczością świata. Tam piękno zazwyczaj nie pyszne, częściej nieśmiałe, fiołek czy bratek raczej, niż róża... O surowości nieba – przecież to już północ – trzeba pamiętać; tym bardziej wzrusza ta włosko-polska enklawa. Pisał kiedyś Kazimierz Wierzyński, że cegła architektury Miasta wypalała się na słońcu śródziemnomorskim. I przestrzeń. Otwarta i zamknięta. Świat oswojony, tak znany, przybyszom pozornie sam się narzuca, nie muszą zbyt często pytać o starożytności tamtejsze, wystarczy chodzić, nogi same zaniosą na placyk przed kościołem św. Anny, może to najpiękniejszy zakątek? A kiedy oczy nasycą się czerwienią gotyckiego cacka, i zaczną dostrzegać płomienie i rybie pęcherze z cegły, i krusze, misterne wieże, później dostojne mury kościoła Ber-

nardynów, lekkość tam i potęgą, wystarczy odwrócić się od Bernardynów, by natknąć się na wszechobecny tam późny barok. Jakże inny. Wszystko niby znane, z innych miast, z innych przestrzeni, a jednocześnie wszystko inne, samoswoje, tak twórczo przetworzone i wzbogacone. Tamtejszy barok, tamtejszy klasycyzm.

A z Góry Zamkowej stare miasto jak na dłoni, wstęgi rzek, doliny, parowy, wieże, wieże, dachy czerwone i rude, dwie potężne kopuły – św. Ducha i św. Kazimierza z mitrą księżącą. Miasto budowane jak dawny dwór polski, dobudówki, przybudówki, przybudówki do budowl; współistniały tam style, gotyk z barokiem, barok z klasycyzmem. Pańskie dziady – mawiano tak w XIX wieku o wysadzonych z siodła, tych, którzy próbowali zachować choćby resztki dawnej świetności, uparczywie trzymać się formy; w tym mieście wiele biednej pańskości, nie pysznej czy sadzącej się, ale dumnej, nie pozornej, ale wstydliwie skrywanej, trzymającej się kurczowo wartości, wiernej swemu powołaniu.

Trudno poznać to na pozór otwarte miasto. Trzeba by było zedrzeć kilka par butów, być tam w różnych porach roku, podziwiać bujną zieleń, ona to rdzawym i czerwonym dachom tłem służy, deptać złote liście na Górze Zamkowej w Cielętniku, palić świeczki na Rosie, i na cmentarzu Bernardyńskim, i Antokolskim, doczekać chwili, kiedy rozdzwonią się dzwony, kiedy zapełnią dźwiękami wąwozy ulic, zagubione dziedzińce i zaułki, aż stanie się gęsto od zderzeń tyłu dźwięków. I słuchać długiego wyciszania. Na chmury patrzeć, te letnie, te jesienne, w noc, rankiem – patrzeć i patrzeć do bólu, do łez.

Tyle zrobili dla poznania miasta Władysław Zahorski, Juliusz Kłos, Stanisław Lorentz, Marian Morelowski, Jerzy Remer, ileż by mógł zrobić, gdyby pisać mógł więcej – Jerzy Orda, ostatni Mohikanin dawnego Miasta, któż jak on zrozumie kiedyś wnętrze kościoła św. św. Piotra i Pawła z jego ukrytymi znaczeniami, któż je spróbuje odczytać bez pomijania kart tyłu, trzeba by długo ogrzewać grzbietem posadzkę i podziwiać białe płaskorzeźby, dotrzeć do wpisanej tam baśni czy poematu.

Dużo murów powstało tam przez wieki, barbarzyńcy nie poradzili wielości, zjawiali się tam i znikali, Miasto odradzało się z gruzów ciągle, nawarstwiało, przybierało nowe formy; tyle ksiąg różną czcionką tam wydrukowano, tyle pięknych postaci wzrosło. Któż odda sprawiedliwość temu Miastu, tak pięknie kochanemu długo i tak brzydko i zachłannie pożadanemu przez ostatnie sto lat. Ileż miłość potrafi usprawiedliwić i uwznioślić, ile skamielin przełamać. I popsuć tyle, kiedy dąży do wyłączności.

W Mieście wielość była od dawna, to ona wpłynęła na kształt budowli i na dźwięk dzwonów zwojujących na modlitwę; Wschód naśladował Zachód, Bizancjum Rzym i na odwrót, trzecia jakoś się kształtowała powoli, tak inna, tak różna, tak rozpoznawalna i nie do podrobienia. Ciągnęli tam ludzie z daleka, od dawna na głównej kiedyś ulicy była strona kościelna i cerkiewna,

później przybywały zbory, synagogi, meczet; ciągnęli z tyłu stron, by brać i dawać, wypędzano ich stamtąd falami w ostatnich wiekach. Rozpraszeni ciągle i wywożeni, zmuszani do ucieczki, nosili tę jeszcze jedną polską, litewską i żydowską Jerozolimę po obu Amerykach i za Uralem, wieszali na ścianach Ostrobramską i rycinę z frontonem Katedry, i modlili się z książek Adama Mickiewicza; nocami wybierali się nieśmiało na Zakret, na Zwierzyniec, Śnipiszki, błędzili wzdłuż Wilenki, przez Zielony Most przechodzili na Kalwaryjską, potem znów na drugą stronę – na Górę Zamkową i Trzykrzyską, by widzieć więcej, i na Bekieszową.

Miasto rozrosło się w ostatnim czasie, rozsiało, wypełniło sobą – niesobą wszystkie możliwe obniżenia i zaczęło się piąć tarasami, wchłonęło tyle wioszczyń o zabawnych nazwach i otoczyło budowlami bez znaku, zamieszkanymi czasem przez ludzi o krótkiej pamięci. A gdzieś tam, w tyłu krajach, daleko od ujścia Wilenki do Wilii, zanika powoli typ ludzki przez Miasto ukształtowany, tak wyrazisty, rozpoznawalny; świadczył o Mieście wszędzie i tak długo. Ileż dobroci serdecznej w tych ludziach i liryzmu skrywanego głęboko, maskowanego szorstkością, ile pięknej prostoty, tak ludzkiej i ciepłej, tak wstydlivej. Ile rozrzutności, umiejętności i chęci dawania, gotowości do ofiar, i niechęci do targowisk próżności, bębnow, wrzawy, tumultu.

Język. Miła dla ucha, wzruszająca melodia, czasem przez obcych odbierana bez należytej powagi – jako zabawna, nieco egzotyczna i tak swojska zarazem; język grzeczny, ciepły, archaizmów w nim i staropolskich zwrotów wiele, i poezji, pełen zdrobnień i słów samoswoich, i słów obcych tak udatnie przyswojonych; najpiękniej brzmiał w ustach staruszek o dobrych twarzach i wielkookich dziewczynin, pod ich brwią jasną, często ubogą, dziwiły się światu szare i niebieskie oczy. Ile nie policzonych przez nikogo łez wypłakali w ostatnim wieku ludzie stamtąd, ileż zmarowano tam piękna i dobra. Tyle niespełnień. I trwa Miasto w rzeczywistości, dla dużej części dzisiejszych mieszkańców nieco egzotyczne, obce prawie i niezrozumiałe, często drażniące swoją chwałą i niepojętym pięknem, przez część kochane drapieżnie, zazdrośnie, zachłanną miłością, i trwa drugie, idealne – w duszach ludzkich porzrzucanych w dalekim świecie, ciągle fascynujące i zagadkowe.

Czesław Miłosz narzekał kiedyś, że każdy opisywacz tego miasta musi właściwie zaczynać od nowa, wiele w tym prawdy, zbyt często tam się rwało wszystko, dobre dla Miasta okresy trwały krótko i nikt nie zdążył opisać dokładnie i w pełni; ciągłości nie można niczym zastąpić, lat długich trzeba, ludzi twórczych, długich rodów, by było do czego nawiązywać, dbać o wspólną pamięć, a tam przez dwa ostatnie wieki szybko gaszono świece i zacierano ślady, kilka lat kwitnienia i długie dziesiątki lat życia utajonego. Jałowienie mimo woli, bylejaczenie tragiczne. To pewnie dlatego tyle tam kontrastów, obok natur bogatych, rozrzut-

nych, twórczych i pięknych, pańskich i dumnych, istniał i drugi typ ludzki – mały chytrus, który bał się własnego cienia, gotów w każdej chwili przycupnąć, zszarzyć, uciec w nijakość.

O błogosławieństwach pogranicza kultur, wiar, ras i języków rozprawia się często, łatwo sypnąć długą litaniją nazwisk ludzi nieprzeciętnych, utalentowanych nadzwyczaj. Styki narodów wiar bywają bogate w talenty, to prawda, przenikanie, osmoza kultur wpływa na wyobraźnię, otwiera tyle światów innych, uczy szacunku dla odmienności, pewnie dlatego rzadziej się wspomina o przekleństwie kresowości, walkach o dusze, często bezlitosnych, ciągłej groźbie utraty własnej tożsamości, o wiecznych wyborach, codziennych plebiscytach nie tylko we własnym imieniu dokonywanych wyzwaniach.

Wielokulturowość świetnie wpływa na jednostki uzdolnione, skrzydeł im dodaje, wzbogaca, uczy wrażliwości, uczy rozumienia ludzkiego losu, zmusza do szukania tego, co łączy, służy porozumieniu ludzi różnych mową, wyznaniem i pochodzeniem.

Ciśnienie wielu kultur bywa też nie do zniesienia, wpływa często na rozwój postaw brzydkich, sprzyja zamykaniu się we własnych tylko kręgach, szukaniu zła w tym, co inne i obce, przyjmowaniu agresywnych zachowań, zdarza się, że sprzyja rozplywaniu w innym kręgu, a czasem i nijaczeniu. Powstaje wtedy żalony typ ludzki, niewiele wie o sobie, nie pyta o wczoraj, żyje bez głębszych refleksji, pozostaje mu tylko krótkie dziś. I żadna ze stron się do niego nie przyzna, nikt go nie zaprosi do serdecznej wspólnoty. Jeśli się tkwi głęboko i pewnie w jakiegokolwiek kulturze, wtedy inne można poznawać i podziwiać, porównywać ze swoją, przyswajając różne elementy, poszerza to widzenie świata i ludzi, rozwija osobowość, uczy szacunku dla innych; jeśli ktoś zostanie wrzucony do tygła, a nie zdążył uprzednio wybrać, odnaleźć swoje i bliskie, nie wzbogaci go inność, jedność z wielością nie wyniknie, zostanie bytowanie na marginesie, gorsze miejsce przy stole, ciągła niepewność, ciągłe odrzucenie.

Tajemnicą Miasta pozostanie umiejętnie niegdys łącznie tylu różnych elementów w całość, zgoda na współistnienie, umiejętność bycia obok i osobno, często razem i osobno tylu zróżnicowanych społeczności powiązanych upartą miłością do tego miejsca na ziemi. Znać to w architekturze tamtejszej, i w literaturze tworzonej przez pisarzy stamtąd się wywodzących, skazanych na liryzm, tak wrażliwych na przyrodę, obdarzonych zmysłem historycznym, tak świetnie czasem rozumiejących innych. Świadczy o tym sztuka, świadczą imiona. Jeden ze znanych Tatarów z Wielkiego Xięstwa nazywał się Olgierd Najman Mirza Kryczyński, przywiązanie do tatarszczyzny łączył bez przeszkód z wiernością Rzeczypospolitej, wiązał tyle wątków; imię nosił litewskie, przydomki z Krymu rodem, nazwisko na polską i szlachecką modłę utworzone od ruskiej wsi, darowanej jego przodkom przez miłośniczynie panujących na Wawelu królów Obojga Narodów.

Zwierzał się Miłosz w „Toaście”:

*Nie spotkałem już nigdzie takiego baroku,
Takich wód przezroczystych i takich obłoków
A także takich dziwactw i staroświecczyny,
Która tam uchodziła za symbol ojczyzny.*

Późniejsze dopowiedzenie:

*Na pewno mamy wiele ze sobą wspólnego
My wszyscy, którzy rośliśmy w miastach baroku
Nie pytając jaki król ufundował kościół
Mijany co dzień, [...].
A jednak coś nam zostało: predylekcja do linii krętej,
Wysokie spirale przeciwieństw, płomieniopodobne.*

(„Rodowód” z tomu „Kroniki”, 1987)

Wzruszało to miasto, rozczulało i śmieszyło po trosze, tyle tam kontrastów, ciepłej zwyczajności i tyle piękna zakłętego w mury, tyle wspomnień, tyle upokorzeń i tyle chwały, tyle nie spełnionych marzeń i snów nieprześlanych, i tęsknot, i tajemniczych, zamgłonych zapowiedzi. Przeczuwanych jedynie. Tyle pięknych postaci stamtąd, tylu twórców przypisanych do kilku kultur, do tylu źródeł nawiązujących, którzy nie zawsze mogli się wypowiedzieć w pełni, zostawili tylko okruchy swoich pieśni nad pieśniami. Zapowiedzi dla spadkobierców.

Miasto tak przez literaturę i legendę oswojone, że jako tako odczytany przybysz czuje się w nim jak u siebie, w miejscu skądś tam już znanym, jakby już kiedyś tam był: nie potrzebuje wielu wskazówek, by odnaleźć tamtejsze cacka architektury, tamtejsze sanktuaria, tamtejsze najważniejsze drogi. Od kaplicy nadbramnej, gdzie Matka Miłosierdzia o łagodnym spojrzeniu wciąż pochyla głowę i krzyżuje opiekuńczo piękne dłonie, jakby chciała uchronić od zła, do Katedry z potężnym portykiem, po drodze barok św. Teresy, św. Kazimierza, św. Jana; od katedry, spod doryckich kolumn, do gotyku Bernardynów i św. Anny, stamtąd krętymi i wąskimi zaułkami do św. Ducha, ukrytego wśród gęstej zabudowy i smukłej św. Katarzyny. Ukaże się wtedy raz jeszcze Uniwersytet z tyloma dziedzińcami, ze Świętojańską dzwonnica. I powrót na ważną ulicę, gdzie tyle znaków do odczytania, tyle śladów.

Ulica o trzech nazwach, trzy w jednej, raz wąska, gdzie indziej naśladowająca plac, rozciągnięta od ostatniej, istniejącej jeszcze, bramy miejskiej, do placu Katedralnego, ileż zdarzeń z nią związanych, ile głośnych postaci tędy przechodziło, ile się ich mogło z sobą zetknąć. Aż gęsto od nich na tej wielkiej scenie. Tu rozdził się w wyobraźni uwięzionego poety – Conradus, niedaleko wygłaszał oracje ks. Baka, ten sam, który w wolnych chwilach układał groteskowe, straszne, z pozoru tylko rubaszne, wiersze o „złości grzechowej”; tu porywał słuchaczy Leleweł, a w sto lat po nim Ma-

rian Zdziechowski próbował odgadnąć oblicze końca; tu kazania wygłaszał Skarga, tu, w kościele św. Jana, pięknie uhonorowano Sarbiewskiego, w tymże kościele kilkanaście lat później organistował Moniuszko; tu w niebo patrzył ze swojego obserwatorium Poczobut-Odlanicki; tu malowali Smuglewicz z Rustemem, poprzednicy Ruszczyca, Sleńdzińskiego i Hoppera; tu mówił z rozrzewnieniem o „miłym mieście”, wysniony przez wieszczów karmazyn rozkochany w szarości, stąd wyszło w ostatnich dwóch stuleciach kilka plejad poetów, ich największe dzieła powstaną w Paryżu i za Wielką Wodą. Tam powstanie tyle pożegnań Miasta.

Miasto leży w dolinie o kilku odgałęzieniach, jakby ktoś olbrzymią dłonią odcisnął ślady, rozsunął wzgórza i złagodził ich stoki, by tarasami mogły się pięć domy wyżej i wyżej; bujna przyroda i kruche piękno obok siebie, ogromne przestrzenie naokół widziane ze wzgórz, i zagęszczenie budowli wzdłuż dolin rzeki i rzeczulki, pnące się domostwa, tyle wież ciągle zmieniających położenie; gubią się, chowają za siebie i za wzniesienia: ustawiają się wciąż do nowych panoram jak strojne panny do zbiorowej fotografii. Kilkadziesiąt wież tam stało – wieże białe, kremowe, szare, czerwone; zwieńczone, koronkowe, toporne, kopulaste, ciężkie, przysadziste i sięgające nieba, pojedyncze i bliźniacze. Wieże, wieże i wzgórza, podciągające się nawzajem, uzupełniające tak udatnie, zazdrosne o strzelistość, tęskniące do chmur. W zieleni, w czerwieni, w niebieskościach.

A wszystko samoswoje, twórczo przekształcone, i takie jak w Krakowie, i takie jak w Rzymie czy Florencji. I takie jak nigdzie indziej, tylko tam istniejące, tam ukształtowane. Od razu rozpoznawalne. Nie do podrobienia. Ze swojej szkoły. Fasady o licznych załamaniach, po to, by jak najdłużej zatrzymać biel, wykorzystać nawet odrobinę światła. Tyle tam arkad, kładek dla setek Romeów, zaułków-niespodzianek, tyle ukrytych miejsc widokowych. Nakładały się tam style, zazębiały epoki, widać źle tam znoszono sztuczne podziały czasu, tyle rzeczy kończono później. Oswajano style powoli, poszukiwano cierpliwie własnego wyrazu, stąd tyle twórczych dopowiedzi, pozornie tylko spóźnionych. Jak te piękne świątynie odbudowane po siedemnastowiecznych zniszczeniach. Miasto żyło własnym czasem, rytmem spowolnionym, dostojnym. Nieczuli na urodę miasta prześmiewcy, pokpiwali z jego anachronizmu, wyszukiwali z upodobaniem śmieszności, twierdzili, że w tym baśniowym i groteskowym mieście czas się zatrzymał, miejscowi z pobłażaniem znosili docinki i odpowiadali żartem, że czas tam chwilami się tylko zatrzymywał (w gwarze tamtejszej „zastanawiał”), by ludzie mogli pomyśleć najpierw, przemyśleć to, co przeszło, by ludzie i sprawy z różnych epok mogły się zetknąć z sobą raz jeszcze.

Ileż uroku miał ten stop staroświecczyny i współczesności, wyrafinowanego piękna i prostoty, ile niewymuszonego wdzięku, ile osiągnęto przez zaskakujące zestawienia, niektóre pewnie nieświadome. Nauka wspomagała budowniczych i uczyła umiaru, wymusza-

ła nowe pomysły, oswajała ludzkie twory. Ludzie tamtejsi posiadli dar odczuwania przyrody i dar intensywnego, bardzo osobistego, uczuciowego przeżywania historii; skoro wokół tyle kamieni mówiących, tyle świadectw wczorajszych, tyle powiązań długiej pamięci, pomieszczenia czasów, nawarstwień. I tyle przerw mimowolnych, tyle prób unieważnień, zacierania tropów, stad waga domowego przekazu, powroty ciągle do stron nie odczytanych do końca, tych z wczoraj i przedwczoraj.

Miejsce zgodnego współżycia (oczywiście, w miarę zgodnego, może to niebo północne wpływało na łagodność, uczyło tolerancji, przez wieki stały tam na jednej ulicy kościoły i cerkwie, blisko siebie modlili się katolicy rzymscy i Grecy, i prawosławni, trzy różne świątynie tuż obok) tylu wiar różnych, kultur i języków, szczęśliwe miejsce spotkania wielości tak twórcze, stało się przed wiekiem jabłkiem niezgody. Jakże pięknym i pożądanym, budzącym miłość i nienawiść, nienawiść głupią i złą, małostkową i jałową, jaka zdarza się czasem między ludźmi kochającymi to samo. Miasto święte dla kilku narodów, kilka stolic duchowych, kilka Jerozolim w jednej, najtrwalej i najpiękniej istniejące w literaturze polskiej i malarstwie. Kiedyś łączyło tyle skrajności, uczyło życia razem i osobno, szacunku dla innych, trudnej zgody na różność i wielość. Miasto kościelne i cerkiewne, jeszcze niedawno również miasto zborów i synagog. Obdarzone tajemną siłą przyciągania, budzące tyle tęsknot i trwałych miłości, tak twórczo działające na wyobraźnię artystów przez tyle wieków. Tak dobrze pamiętane. Tak swoje i jakby nie z tego świata.

Juliusz Kłos, uczonec i twórca (szczęśliwe, choć tak rzadkie połączenie), rozkochany w Mieście, traktujący je jako dzieło sztuki, autor sercem pisanego przewodnika, tłumaczył swoje zauroczenia: „Kogo nie łączy ze sztuką stosunek głębokiego umiłowania, tego nie łączy ze sztuką nic w ogóle, dla tego sztuka pozostanie na zawsze dziedzina nieznaną pomimo największej nawet uczoności i erudycji, będącej tylko *mędrca szkiełkiem i okiem*”.

Pisał ze wzruszeniem o pieśni dziejowej Miasta, o sztuce przechowującej duchowość sprzed lat, łączącej czasy i ludzi:



Wilno

„Narzędziem muzycznym, tę tajemniczą pieśń wieków wydzwanianą, są mury, budynki i gmachy miasta w ich kształcie i wyrazie architektonicznym. One to jedynie przetrwały koleje losu, one to posłuszne woli swego twórcy, zawarły w sobie mocą jego talentu w kształt artystyczny ujęte walory duchowe, które ustawicznie z nich promieniają; one to wreszcie w swych przemianach i zniekształceniach, dają widoczną miarę klęsk i nieszczęść, jakie na miasto spadły. Patrząc na budynki nie pod kątem utylizacji, nie tylko jako na siedziby tych czy innych osób lub instytucji, na miejsca do odprawiania tych lub innych nabożeństw, lecz jako na dzieła sztuki, posiadające swój charakter stylowy, odczujemy ich bezpośredni związek z przeszłością duchową miasta, przejmujemy się ich wymową kamienną, rozszerzymy dusze nasze, wchłaniając ich wielkość i wzniosłość”.

Adam Wierciński
Fot. Tadeusz Parcej



Roman Hlawacz

Okna na świat

(fotografie z Palermo
i Amsterdamu)





Irena Wyczółkowska

Transparenty, śmieszny pieseczek – i muzyka Bacha

Już w starożytności... I to wcale nie jest ot, powiedzonko, jakaś ozdobna bujda, bo już wtedy, i nadal, i pewnie w odległej przyszłości będzie się prowadzić dyskusje, czym jest wolność, jaka być powinna jej natura, dyktowane normy.

Ostatnie, tak tragiczne wydarzenia w Paryżu, zaogniły dyskusję. Niełatwo w niej wziąć udział – to zadanie dla mędrców, filozofów.

Moja wypowiedź może się więc wydać ogromnie naiwna. Dla mnie właściwe pojmowanie treści tego WAŻNEGO POJĘCIA wiąże się ze sprawą empatii. A o niej jeszcze i w Biblii mowa: *Kochaj bliźniego swego jak siebie samego*. Czy to nie jest właśnie nauka współodczuwania, żądanie, by nie zadawać bólu, nie sprawiać przykrości? Dlatego wbrew powszechnej tendencji, może i modzie?, nie nosiłabym transparentu „Je suis Charlie”. Oburza mnie wyśmiewanie religii i tradycji, choćby były mi obce.

Jak to wygląda w praktyce niby banalnie codziennej: jeżeli siwa jak gołąbek staruszka powie mi, że sęk w jej płocie wygląda jak wizerunek Świętej Osoby, nie będę się śmiała. Cierpliwie wysłucham, w stosownym momencie zmienię temat. Zdarzyło mi się także wysłuchiwać istnych herezji na temat innych narodów, wiadomo jakich, ale ci, którzy je wypowiadali, to skądinąd przyzwoici ludzie, muchy by nie skrzywdzili. Wtedy zabawiałam się w rozkoszne głupiątko, przerywając rozmowę wtrąceniami typu: „Ojej, popatrz na drugą stronę ulicy, tam po prawej taki śmieszny pieseczek, ale go zabawnie ostrzyżono!” i temu podobne. Oczywiście mówię tu o nieprovokowaniu, niewdawaniu się w dyskusję, która i tak żadnej ze stron nie przekona, niewynajdywaniu argumentów-szpilek.

Zaznaczam bardzo stanowczo: nie dotyczy to sytuacji dramatycznych, ekstremalnych, kiedy zgodnie z wpojonymi zasadami trzeba wziąć kogoś w obronę lub sposobić się do odparcia ataku.

Jeszcze o wolności w małym, pospolitym wymiarze. Było to dobrych kilkanaście lat temu. Od podwórka podjeżdża pod mój dom samochód. Młody kierowca gramoli się powoli, zostawia w aucie drzwi otwarte, wybucha muzyka, nie znam się na tym – może to *heavy metal, na full*, jak mawia młodzież, oj, na straszliwy *full*, hałas nie do opisania, cud, że mizernych drzew nie połamał ten huragan dźwięków. Z okna wychyla się starszy pan: „Proszę ściszyć, wytrzymać nie można!”. Młody człowiek stoi w rozkroku, ręce trzyma na biodrach: „A cooo, zabronisz mi, dziadu? Mamy wolność, no nie? Wolność!”. Jakież panie także próbują protestować, bez skutku. I nagle nawiedza mnie natchnienie, najprawdziwsze natchnienie! Nie, nie piszę manifestu protestacyjnego ani sonetu, który by oplakiwał bolesną udrękę. W czasach, kiedy się jeszcze niewiele mówiło o happeningu, wpadam na pomysł nowatorski. Otóż za firanką, w otwartym oknie, stawiam magnetofon, wkładam kasetę z jedną z Pasji Bacha. A magnetofon był dobry, oj, dobry, jak ZABRZMIAŁO, ach, chyba na końcu miasta było słycać!!! O dziwo, sąsiedzi nie protestowali, natomiast młodzian wił się jak tłusty robal: „Dość tej pogrzebowej muzyki, zwariować można!”. Miałam wrażenie, że sąsiedzi zrozumieli intencje anonimowego miłośnika klasyki – nikt nie miał pretensji. Młodzieniec wsiał do auta, trzasnął drzwiami z impetem, a ja natychmiast wyłączyłam magnetofon... (O wielki Janie Sebastianie, wdychałam ze skruczą, wybaczyć, że tak niegodnie wykorzystałam twoją muzykę...). A następnego dnia dwie sąsiadki, które z przejściem szeptały coś sobie na korytarzu, spytały: „Słyszała pani, co się wczoraj działo na podwórku? Ktoś sobie poradził z tym z samochodu, no z tym, co zawsze taką głośną muzykę puszcza!”.

Bartłomiej Kozera

Drapie się ten, kogo swędzi

Niemal każdego roku mam jakiś nowy przedmiot do wykładania, do którego muszę się psychicznie także przygotować. Rodzi to sporo nie zawsze sympatycznych emocji. W semestrze zimowym miałem wykład dotyczący „Poszukiwania sensu życia”. Na wykładach był nadkomplet studentów. Po pierwsze, wiem, że to temat, a nie ja, wywołałem tak żywą reakcję. Po drugie, domyślałem się, że z sensem życia studentów jest coś nie tak. Drapie się ten, kogo swędzi.

Kto, pytam w trybie przypuszczającym, interesować się może sensem życia? Po pierwsze, sens życia staje się problem dla tych, którzy przeżywają chwile trudne w życiu. Takie trudne chwile to na przykład poważna choroba, dojmujące cierpienie. Mam podstawy przypuszczać, że studentów to nie dotyczy. Na ogół są to ludzie młodzi i zdrowi. Ich cierpienia nie mają zwykle wymiaru egzystencjalnego.

Po drugie, problemem sensu życia zaczynają się interesować ci, których życie jest nieciekawe albo to monotonne, albo jałowe. Ludzie wtedy pytają o sens, gdy doświadczają bezsensu dnia codziennego. Mam podstawy przypuszczać, że i ten przypadek nie wchodzi w grę w odniesieniu do studentów, wiodących raczej ciekawe życie. Wnoszę to na podstawie urywków zasłyszanych na korytarzach opowieści o przypadkach zdarzających się żakom.

Po trzecie, sensem życia interesujemy się wówczas, gdy widzimy, jak inni dają sobie radę z tym życiem, jak potrafią wykorzystać okazję, jak umieją się dostosować, wycwanić. A z nami jest jakby inaczej. I wydaje mi się, że ten przypadek dotyczy właśnie studentów. Że dręczy ich pytanie, czy żyć zgodnie z tym, co wszczepiali rodzice, szkoła, czy raczej zgodnie z tym, co pokazują media, a więc jak rzeczywiście żyją niektórzy ludzie. Bo przecież nie czeka ich po studiach nic dobrego. Nie zbudowaliśmy świata dla młodych.

Od czasów Sokratesa ważne jest pytanie: być czy mieć? W każdej epoce w innej nieco wersji. Obecnie jest to pytanie o to, czy dążyć do celu, czy korzystać z życia? Być kimś czy mieć coś? I student jest zagubiony. Nieszczęście polega na tym, że ja nie wiem, jak odpowiedzieć na to pytanie, bo sensowne życie jest zarówno wtedy, gdy

dążymy do celu, jak i wtedy, gdy korzystamy z życia, gdy go używamy. W młodości winno być więcej dążenia, to prawda, ale nie wolno odkładać używania na później, bo możemy nie zdążyć. A poza tym, to dokładanie prowadzi do mediatyzacji życia, gdy wszystko staje się środkiem do czegoś innego. Ja nadto mam zakodowaną myśl Seneki o tym, że być może szczęśliwi są ludzie prości, ale nikt im tego szczęścia nie zazdrości.

Ponoć studenci znów wybrali ten przedmiot. Będę miał okazję przeżyć od nowa z nimi poszukiwania zarówno kierunku naszego życia, jak i radości aktualnych chwil.



Joachim Piecuch

Pożytki z Adonisa

Mit i logos (*mythos i logos*) – oto dwa filary, na których wspiera się nasze zachodnie myślenie. Który z nich jest nam bliższy, w którym się lepiej odnajdujemy? W naszej stechnicyzowanej kulturze, gdzie tryumfy święcą nauki przyrodnicze, zdecydowanie wyżej ceni się myślenie logiczne od jakichś osobliwych opowieści. W dziejach myśli zachodniej logice zawsze przysługiwało szczególne miejsce. Czyż nie stała się dla nas wzorcem i przewodnikiem dla naszego myślenia, rękojmnią jego poprawności, gwarantem chroniącym nas przed błędami i pomyłkami poznawczymi – przynajmniej od strony formalnej?

U wielu uczonych, zwłaszcza tych związanych z naukami ścisłymi, jak również u tych bezkrytycznie zanurzonych w tradycji oświeceniowej, zrodziło się przekonanie, że tylko logika naprawdę zdaje się być ugruntowana w rozumie. Kierowanie się jej zasadami – oto najwyższy wyraz naszej rozumności, oto pełne zanurzenie w logosie. Wszelkie inne refleksje ją pomijające muszą się odtąd liczyć z tym, że będą podejrzane o irracjonalność, że sprowadzą nas na manowce i każą nam błądzić

Czyż w duchu tak pojętej struktury myślenia mit nie wydaje się być co najmniej problematyczny i trudny do przyjęcia? Wszak zawiera elementy fantastyczne i baśniowe, opowiada nam o bogach oraz herosach, a także o niezwykłych zdarzeniach – a do tego domaga się jeszcze od nas wiary. Nie, myślenie logiczne i mitologiczne są ze sobą nie do pogodzenia. Mit mógł uchodzić za możliwą formę wyjaśniania świata, kiedy człowiek jeszcze nie nauczył się właściwie korzystać ze swego rozumu, nie znał możliwości swojego logosu. Kiedy się jednak logos ów obudził, mit został nieuchronnie przez niego wyparty.

Rozwój, który doprowadził do powstania pierwszych filozoficznych projektów w starożytnej Grecji w VI wieku p.n.e., jest opisywany przez wielu autorów właśnie jako przejście od mitu do logosu. W roku 1940 Wilhelm Nestle filolog klasyczny

pierwszy użył zwrotu „od mitu do logosu” (*Vom Mythos zum Logos*) i tak też zatytułował swoją programową książkę traktującą o tym zagadnieniu. Zdaniem niemieckiego uczonego, powstanie filozofii należy uważać za proces emancypacyjny rozumu, w którym uwalnia się on od mitycznych obrazowych modeli interpretacyjnych świata i ich powiązań z kultem i rytym.

Przeciwstawienie logosu mitowi jest myślą dawną. Jej początków – wprawdzie jeszcze niewyraźnych – możemy już doszukać się u Ksenofanesa, prezentującego stanowisko sceptyczne w kwestii możliwego poznania Boga. W każdym razie antropomorficzny obraz Boga czy bogów przekazywany w mitach uważa on za subiektywny, a zatem fałszywy.

Z klarownym przykładem przeciwstawienia mitu logosowi spotykamy się u Platona w dialogu noszącym tytuł: *Sofista*. Począwszy od Platona i jego ucznia Arystotelesa zarzut mitologizowania stał się ulubionym narzędziem stosowanym do dyskredytowania poglądów ideowych przeciwników i poprzedników, czyli myślicieli dostarczających nam przedfilozoficznych form wyjaśniania świata. Uważano bowiem, że ich argumentacja opiera się na opowiadaniach, które nie tylko pozbawione są ścisłego charakteru cechującego ujęcia podane w formie zasady, ale do tego jeszcze pozostają względem siebie sprzeczne. Są więc pełne niezgodności. Ponadto bazują na antropomorfizujących pojęciach i obrazach zaczerpniętych z życia ludzkiego, dokonują więc niedopuszczalnej personifikacji obecnych w świecie sił.

Już zatem w starożytności, wraz z postępującą racjonalizacją myślenia, nienaruszalny u początków myślenia autorytet mitów starających się przybliżyć nam jakąś prawdę o świecie, zaczyna się chwiać i upadać.

Ale czy to znaczy, że mity nie mają nam już nic do powiedzenia? Czy w świecie dominującej racjonalizacji i logicyzacji my-

ślenia musi być uznany za obrazę rozumu? Czy tylko pojęciowa argumentacja może sobie rościć prawo do odkrywania prawdy, a forma obrazowego opowiadania już nie? Czy nie rodzi się w kontekście tych pytań również i u logików jakaś niepewność, iż logika nie jest wystarczającym narzędziem służącym opisywaniu zawłości ludzkiego losu i szukaniu wglądu w ludzką naturę. Czy aby w tej kwestii nie posłuchać lepiej tego, co ma nam do powiedzenia mit? Ile bowiem z prawdy o człowieku, o sensie jego dziejów potrafi nam powiedzieć logika?

A może przeciwstawienie sobie tych dwóch modeli myślenia – mitu i logosu – jest zbyt radykalne, a tym samym nie do końca uzasadnione i prawomocne? W analizie mitów niekoniecznie rezygnuje się zupełnie z zasad myślenia logicznego. Może mit i logika to dwie różne płaszczyzny refleksji, przy czym trudno się oprzeć przekonaniu, że mit sięga głębiej w próbach zgłębienia zagadki bycia człowiekiem i wyraża coś bardziej podstawowego o świecie i o nas, aniżeli jakakolwiek czysto racjonalna i abstrakcyjna wypowiedź na ten temat? Czy naprawdę można stwierdzić, że mit to tylko produkt irracjonalnej fantazji?

Platon, jak wiadomo, nie cenił zbyt wysoko literatów i poetów oraz ich opowiadań i poematów. Autorom dzieł poetyckich nie szczędził ostrej krytyki i zarzutów, że są kłamcami, a ich twórczość jest niemoralna, przyczyniająca się jedynie do deprawacji człowieka. A jednak sam niejednokrotnie wplatał w swe wywody elementy mistyczne albo je wręcz wymyślał. Za ich pomocą próbował swoim niejednym przemyśleniom nadać charakter naoczności, a tym samym sugestywniej wyrazić złożoność podejmowanego przez siebie problemu. Przykładem niech nam służy chociażby słynna metafora jaskini.

Nie, mity to nie tylko czysty produkt fantazji, lecz jakaś wieczna struktura prób rozjaśnienia zagadki ludzkiego życia i poznania tajemnic świata. Tajemnice te, dochodząc do głosu w naszym życiu, zdają się bowiem nasze życie bardziej określać niż to dopuszczamy do naszej świadomości. Nieraz stoimy przed jakimś wydarze-

niem i nie wiemy co z nim począć, jak sobie z nim poradzić. I zaskoczeni pytamy o jego przesłanie, o jego sens.

Po dziś dzień Syzyf, Antyгона i inne postacie mityczne służą takim myślicielom, jak Hans Blumenberg czy Judith Butler do opowiedzenia czegoś istotnego o dzisiejszym człowieku i sposobach jego zagadkowego uwikłania w życie. Twórczości niektórych współczesnych pisarzy nie sposób w ogóle zrozumieć bez znajomości mitologii greckiej. Chociażby dzieł A. Camusa, które stulecie urodzin niedawno obchodziliśmy. Adonisy, Prometeusze, Ikary, Narcyzy żyją pośród nas, a może i w nas samych. Mityczni bohaterowie i ich losy to nie tylko sensacyjne pojedyncze wydarzenia z zamierzonych czasów, to historia o nas, to nasza historia.

Zwykle zastanawiamy się, czy mity są nam intelektualną pomocą w zrozumieniu i poznaniu siebie samego. Czy nie należałoby jednak zmienić perspektywę rozważań i zobaczyć, że nie opowiadamy sobie ich tylko w ustnym czy pisemnym przekazie, lecz tworzymy je nadal historią naszych osobistych, społecznych i kulturowych doświadczeń życiowych. Opowiadając je dziejami naszego życia, nie tylko je ożywiamy i czynimy wiecznymi, lecz nadajemy im nowy kształt, nową postać i nową historię. Tak do końca nie wiadomo, czy to mity służą nam, czy my mitom. Czy to my mamy władzę nad nimi, czy też one mają ją nad nami? Czyż nieprzerwanie nie zawłaszczają naszego myślenia? Paul Veyne, francuski badacz mitów twierdzi, że istota mitu nie polega na tym, że go wszyscy znamy, ale na wierze, że jest godny poznania.

Chciałbym Państwa zaprosić w kolejnych felietonach do krótkich analiz kilku klasycznych mitów greckich. Być może mamy o nich mglistą wiedzę, być może uważamy, że niewiele znaczą dla naszej stechnicyzowanej umysłowości, ale, o dziwo, może się okazać, że kiedy nawet ich nie znamy, one znają nas – również w naszym nowoczesnym świecie, naznaczonym wysiłkiem realizowania projektu postmoderny.

Anna Pobóg-Lenartowicz

Czy Piastówna mogła nosić imię Estera?

O księżnych i księżniczkach opolskich pisano do tej pory niewiele. Trzeba jednak przyznać, że przynajmniej dwie z nich zwróciły uwagę badaczy. Były to: Wiola, tajemnicza żona księcia Kazimierza I opolskiego oraz ich wnuczka, córka młodszego syna tej księżęcej pary – Władysława I. Jeśli chodzi o Wiolę, to dyskutowano zwłaszcza na temat jej pochodzenia. Władysław Dziewulski wysunął bowiem hipotezę, że była Bułgarką, pojawiły się też opinie, że mogła być księżniczką ruską lub co najwyżej węgierską. Bułgarskie pochodzenie późniejszej księżnej opolskiej wzmocniła teza Mikołaja Gładysza o udziale Kazimierza I w V wyprawie krzyżowej. Wiola dała się poznać jako osoba stanowcza i przedsiębiorcza, głównie po śmierci swego męża, kiedy to skutecznie walczyła o władzę dla swych synów: Mieszka i Władysława oraz dbała o rozwój gospodarczy księstwa. Dzieło rodziców, po przedwczesnej śmierci brata Mieszka II Otyłego, kontynuował ich młodszy syn – Władysław. Nazywany przez badaczy „ojcem miast górnośląskich” rzeczywiście zasłużył się dla księstwa opolskiego jako bardzo dobry gospodarz, którego zaradności i umiejętnej polityce swoje lokacje zawdzięcza przynajmniej kilkanaście miast i wsi. Umiejętna polityka gospodarcza i finansowa (książe przeprowadził też niezwykle nowoczesną jak na owe czasy reformę pieniężną) zaowocowała także wzrostem aspiracji opolskiego władcy na arenie ogólnopolskiej. Efektem tego była próba opanowania Krakowa w 1273 r., zakończona wszakże niepowodzeniem. To przypuszczalnie sprawiło, że starzejący się książę zdecydował się scedować własne aspiracje polityczne na swoje dzieci. Z małżeństwa z księżniczką wielkopolską Eufemią książę posiadał czterech synów: Mieszka, Kazimierza, Bolesława, Przemysława oraz jedną córkę, co do imienia której trwają spory w polskiej historiografii. O istnieniu córki księżęcej pary dowiadujemy się z formularza dokumentu z tego okresu, w którym jest mowa o zawarciu sojuszu pomiędzy Władysławem I a jego zięciem, księciem wrocławskim Henrykiem IV Prawym (Probussem). Opolski władca obiecuje wspierać swego zięcia w walce o

Kraków i koronę królewską, pod warunkiem że gdyby Henryk tę koronę zdobył, wówczas na polską królową ukoronowana zostanie jego córka, nieznana z imienia, żona Henryka. Wiemy, że Henryk IV w 1289 r. opanował Kraków, że rozpoczął także starania o pozyskanie korony, przerwała je jednak jego przedwczesna śmierć (w 1290 r.). Tyle tylko, że w tym czasie córka Władysława I nie była już żoną wrocławskiego księcia. Według części badaczy została ona odesłana do Opola w niewyjaśnionym czasie i okolicznościach, według innych – zmarła, na pewno przed rokiem 1287, bowiem w tym czasie Henryk IV miał już drugą żonę (Matyldę). Wszystkie te wydarzenia sprawiły, że starano się rozstrzygnąć, jak miała na imię niedoszła królowa Polski i co się z nią w końcu stało. W literaturze przyjmuje się do tej pory dwie możliwości odnośnie imienia opolskiej księżniczki: niektórzy twierdzą, że miała na imię Grzymisława, inni – że Konstancja. Oba te imiona „płaczą się” bowiem po współczesnych źródłach i nie wiadomo, której z księżniczek lub księżnych opolskich je przyporządkować. Jedną z nich, Grzymisławę, wymieniona jest w nekrologu norbertanów wrocławskich. Przeciwnicy tej hipotezy uważają jednak za rzecz niemożliwą, aby książę opolski nadał córce imię związane z linią dynastyczną Bolesława Wstydliviego, z którym przez większość życia był w konflikcie. Konstancja pojawia nam się z kolei w źródłach związanych z Wodzisławiem – niektórzy badacze twierdzą, że po oddaleniu jej przez męża otrzymała od braci wiano w postaci tego miasta, inni z kolei uważają, że chodzi tu raczej o córkę Przemysława raciborskiego, a nie jego ojca Władysława I (występuje bowiem na dokumencie w 1351 r.!).

Spotkać można się także z propozycjami, że opolska księżniczka miała na imię Małgorzata, Katarzyna lub Anna, ale tu brak już jakichś źródłowych dowodów.

Kiedy wydawało się, że nic tej dyskusji nie posunie do przodu, niespodziewanie natrafiłam na bardzo ciekawą informację zamieszczoną w kronice Reginalda Nepomucena Grossa. Autor tego dzieła był dominikaninem. Urodził się w 1703 r. w Kuźni Raciborskiej. W 1723 złożył profesję w klasz-



Ojciec opolskiej księżniczki, Władysław I opolski, podobizna z epitafium w kościele cystersów w Rudach (www.pocznet.com)

torze Dominikanów w Raciborzu. Jego kariera zakonna związana była głównie z konwentami górnośląskimi – Raciborzem, Cieszynem. Interesował się dziejami klasztorów dominikanów na Śląsku, czego efektem było prawie tysiącstronicowe dzieło, które ukończył w 1740 r. Gross, na miarę swej epoki i swoich możliwości, starał się być badaczem rzetelnym. Zdobył odpowiednią bazę źródłową poprzez kwerendę w dostępnej mu spuściznie archiwalnej, osobiście odwiedzał także interesujące go klasztory i dokonywał przeglądu znajdujących się w nich źródeł. Był także w Opolu. To jemu m.in. zawdzięczamy przepisanie obu kronik dominikańskich, które powstały w Opolu pod koniec XV i w XVII wieku. Dzięki temu udało się odtworzyć ich treść w sytuacji, gdy oryginały tych kronik zaginęły podczas II wojny światowej. Brat Reginald jeździł nawet po podopolskich parafiach, by ustalić losy opolskich dominikanów w okresie wojny trzydziestoletniej. To on obalił tradycję, spisana jeszcze przez Abrahama Bzowskiego na początku XVII w. o pochowaniu w kościele na opolskiej Górcie bł. Hermana, współtowarzysza św. Jacka i bł. Czesława. Widzimy więc, że rzeczywiście starał się do swojego zadania podejść w sposób jak najbardziej rzetelny i wiarygodny. Cóż więc wnosi do naszej dyskusji o imieniu księżniczki opolskiej ten dominikański kronikarz? Otóż, przedstawiając genezę opolskiego klasztoru Dominikanów, przedstawia on genealogię fundatora konwentu, księcia opolskiego Bolesława I, syna wspomnianego już Władysława I, brata interesującej nas tu księżniczki. Píše o nim, że ów Bolesław (zwany też Bolkiem) był synem Władysława, władcy Górnego Śląska i księstwa cieszyńskiego i księżniczki poznańsko-gnieźnieńskiej Eufemii, że miał braci: Przemka raciborskiego, Jakuba opawskiego i Kazimierza cieszyńskiego, *miał więc ten Władysław 5 synów i córkę Esterę, którą Henryk [...] cesarz wziął za żonę* [tłumacz. autora]. Dalej czytamy, że Bolko zmarł w 1313 r. po 41 latach panowania i za żonę miał Eufemię, córkę Henryka VI wrocławskiego, na którym skończyła się wrocławska linia Piastów, wywodząca się od Bolesława Krzywoustego, króla Polski i jego syna Władysława II.

Mamy więc w tym źródle po raz pierwszy wymienione imię księżniczki opolskiej w bardzo czytelnym kontekście. Czy możemy wierzyć przekazowi brata Reginalda? A jeśli tak, to czy Piastówna opolska mogła mieć na imię Estera? Informacje przekazane przez Grossa – są na miarę czasów, w których pisał – zupełnie poprawne. Popenił właściwie tylko dwa znaczące błędy: pomylił imię jednego z synów Władysława I (przypisując mu złą dzielnicę) oraz określił Henryka [IV?] mianem cesarza. Nie ma wątpliwości, że kronikarzowi chodziło o Henryka Prawego, bowiem w tym czasie w Europie nie było cesarza (trwało tzw. Wielkie Bezkrólewie), a kolejny cesarz o tym imieniu – Henryk Luksemburski miał dowodnie tylko jedną żonę (była nią Małgorzata Brabancka). Niewykluczone, że nasz kronikarz znał tradycję o planach koronacyjnych wrocławskiego księcia i zinterpretował je w określony sposób. Błędna jest

też informacja o żonie Bolesława I – Eufemii. Pomyłkę tę jednak łatwo wyjaśnić. Była ona bowiem żoną syna Bolesława, także Bolesława, tytułującego się księciem opolskim i pierwszym księciem niemodlińskim. Trzeba przyznać, że prezentując w I połowie XVIII wieku genealogię władców opolskich Reginald Gross popełnił mniej błędów niż piszący w XV w. o książętach raciborskich Jan Długosz!

Pozostaje jednak kwestia samego imienia. Estera to imię pochodzenia perskiego, znane przede wszystkim z kart Starego Testamentu. Używane było głównie przez Żydów (także polskich), wiemy, że tak miała na imię jedna z konkubin Kazimierza Wielkiego. Według o. Henryka Frosa Estera *uwielbiana dla swego patriotyzmu, pobożności i wyrzeczenia, stała się pod piórem Ojców Kościoła figurą Najświętszej Marii Panny*, przez co wpisano ją do kalendarzy liturgicznych tak wschodnich, jak i zachodnich. Była często przywoływana przez średniowiecznych kaznodziejów, zwłaszcza dominikańskich. Wystarczy zajrzeć do kazań jednego z najbardziej popularnych kaznodziejów XIV-wiecznej Europy – Peregryna z Opolą, by przekonać się, że dość często odwołuje się on do postaci tej dzielnej kobiety (w sumie siedmiokrotnie). W niektórych z nich pisze wręcz: Estera czyli Maryja, stawiając znak równości pomiędzy obiema kobietami. Peregryn swą formację duchową i intelektualną zdobywał w Raciborzu, w tamtejszym klasztorze Dominikanów. Dominikanie byli obecni na raciborskim dworze książąt opolskich: znajdujemy ich na dokumentach Mieszka II Otyłego oraz jego brata Władysława I. Szczególnie hojnym ich donatorem był zwłaszcza ten ostatni. Ich wpływ na rodzinę książęcą nie podlega więc dyskusji. W tym kontekście imię opolskiej księżniczki zapisane przez dominikańskiego kronikarza nie brzmi już tak sensacyjnie. Trudno sobie wyobrazić, by brat Reginald całkowicie je sobie wymyślił. Być może w źródłach dominikańskich znalazł informację, że córka Władysława miała na imię Estera, może w formie Maria – Estera (lub Estera – Maria). Warto przypomnieć, że kilka lat później Kazimierz, książę bytomski, syn Władysława I i brat interesującej nas tu Piastówny, nada swojej córce imię Maria (zostanie ona później żoną króla węgierskiego Karola Roberta). To imię jest równie wyjątkowe w dynastii piastowskiej jak i Estera. Niewykluczone jednak, że oba były wynikiem tej samej dominikańskiej inspiracji.

Mam świadomość, że przekaz śląskiego dominikana Reginalda Nepomucena Grossa nie jest do końca źródłem wiarygodnym ze względu na czas jego powstania oraz zasób informacji, którymi dysponował kronikarz. Z drugiej strony jest to – jak do tej pory – jedyne źródło, które wymienia imię opolskiej księżniczki w ściśle określonym kontekście historycznym. Czy zatem możemy ten przekaz całkowicie odrzucić? Wydaje się, że trzeba go mimo wszystko uwzględnić w dalszej naukowej dyskusji. A już z pewnością stanowi jakąś nową propozycję badawczą, wartą wspomnienia.

Włodzimierz Kaczorowski

Nuncjusz papieski o pierwszym mężu po królu

Portret Jana Zamojskiego

Działalność Jana Sariusza Zamoyskiego (1542–1605), kanclerza wielkiego koronnego i hetmana wielkiego koronnego w sferze politycznej, kulturalnej i gospodarczej jest dość dobrze znana, ale w trakcie ciągłego procesu badawczego następują odkrycia nieznanymi lub częściowo do tej pory wykorzystanych źródeł, powstają też liczne opracowania i artykuły rzu-

cające nowe światło na postać, która odegrała ważną rolę w dziejach Rzeczypospolitej.

Wydając *Testamenty Jana, Tomasza i Jana „Sobiepana” Zamoyskich*, we wstępie do tego opracowania, przedstawiając postać kanclerza Jana Zamoyskiego, zacytowałem m.in. jego charakterystykę dokonaną w 1596 r. przez Giovanniego Paola Mucantego, mistrza

ceremoniału dworu papieskiego, oddelegowanego decyzją papieża Klemensa VIII do składu poselstwa kardynała Enrica Caetaniego, który jako legat Stolicy Apostolskiej miał skłonić Zygmunta III Wazę i Rzeczpospolitą do zbrojnego udziału w planowanej lidze antytureckiej. Mucante uznał, iż Jan Zamoyski „jest pierwszym mężem po królu, w tym Królestwie, a nawet (jak mówią niektórzy) w całej Europie postaci równej nie znajdziesz”. Pisał także, iż kanclerz „jest mężczyzną godnie się prezentującym, o wyglądzie prawdziwego żołnierza, z siwą, krótko strzyżoną brodą, czerstwy i krzepki”.

Oprócz relacji Mucantego zachował się ważny opis Rzeczypospolitej z 1604 r., a mianowicie: *Relatione del Regno di Polonia cominciata l'anno passato et per varie legittime occupationi non finita se non questo di 20 Luglio del 1604 in Cracovia fatta dal Em^{mo} Sig^{re} Cardinale Valenti*, w dwóch niemal identycznych kopiach w Bibliotece Polskiej Akademii Naukowej w Kórniku (sygn. 311) i Bibliotece Raczyńskich w Poznaniu (sygn. 100). Relacją tą jako pierwszy zainteresował się Adam Tytus Działyński (1796–1861), założyciel Biblioteki Kórnickiej, wydawca źródeł historycznych i mecenas sztuki, który, zamierzając ją opra-



Jan Zamoyski, kanclerz i hetman wielki koronny, obraz olejny z końca XVII w., szkoła polska, autor nieznanym, Muzeum Zamojskie w Zamościu (fot. Henryk Szkutnik)

cować i wydać drukiem, zlecił jej przełożenie z języka włoskiego na język polski Kajetanowi Wincentemu Kielisińskiemu (1808–1849), grafikowi, rysownikowi i bibliotekarzowi, oraz Wojciechowi Kazimierskiemu (1808–1887), publicyście doby powstania listopadowego, orientaliście, leksykografowi, działaczowi Wielkiej Emigracji. Kielisiński przełożył 147 kart tekstu kórnickiego (BK, sygn. 267), pozostałą część przełożył Kazimierski (BK, sygn. 932. VI. 28). Oba przekłady wiernie oddają treść relacji zachowanej w języku włoskim, powstały prawdopodobnie przed 1849 r., a więc jeszcze przed śmiercią Kielisińskiego.

Działyński, przygotowując edycję *Collectanea vitam resque gestas J. Zamoyscii illustrantia*, pomieścił w nich część *Relacji z roku 1604* w języku włoskim, dotyczącej charakterystyki Jana Zamoyskiego. Nie zdołał jednak wydać całej *Relacji* z powodu śmierci w 1861 r.

W 1929 r. *Relacją z roku 1604* zainteresował się Stanisław Bodniak, korzystając z niej w trakcie przygotowania recenzji do „Kwartalnika Historycznego” (R. 43, 1929), przypisując ją błędnie kardynałowi Erminio Valentemu (1564–1618). Jednak w wyniku pogłębionych badań Bodniak w 1930 r. udowodnił, że pomimo mylącego tytułu *Relacji* jest ona autorstwa nuncjusza Claudia Rangoniego.

W 1999 r. Janusz Dorobisz i Włodzimierz Kaczorowski przeprowadzili podobną ocenę merytoryczną *Relacji z roku 1604* w publikacji *Senat Rzeczypospolitej w relacji nuncjusza apostolskiego Claudio Rangoniego z 1604 roku*.

We wstępie pracy wiedeńskiego historyka Waltera Leitscha, poświęconej Zygmuntowi III Wazie i jego polskiemu dworowi, znajduje się następujące stwierdzenie: „opis poświęcony państwu [Rzeczypospolitej – W.K.] z 1604 roku pozostał, jak dotąd, niezauważony przez historyków; jego autor pozostaje nieznan, był jednak najlepiej poinformowanym człowiekiem, a jego tekst jest niezwykle wartościowy dla opracowywanego przeze mnie tematu. Pozostaje dla mnie zagadką, dlaczego nie został dotąd wydany. Oryginału tekstu poszukiwałem w Rzymie, jednak nie udało mi się go odnaleźć. Obydwie zachowane kopie (BK, sygn. 311; BRacz., sygn. 100) nie pozwalają stwierdzić, czy są to w ogóle poprawne kopie, jeżeli nie dysponuje się tekstem oryginalnym”. Z kolei w przypisie do powyższej cytowanego tekstu W. Leitsch konstatuje: „Z tego, co udało mi się stwierdzić, tekstem tym zajmował się Stanisław Bodniak. Uważał on, że jego autorem jest nuncjusz Claudio Rangoni. Dowodził tego na podstawie analizy stylu. Z jednej strony Rangoni dysponował z pewnością odpowiednią wiedzą, z drugiej jednak strony wydaje się mało prawdopodobne, żeby nuncjusz napisał tego typu relację. Tekst w formie relacji o podobnej treści stworzył nuncjusz apostolski Honorat Visconti, ale bez relacji końcowej. Tekst nieznanego autora zawiera dokładną datację, został zakończony 20 lipca 1604 r. Podczas jego lektury próbowałem znaleźć

wskazówki, które potwierdzałyby, że tekst został napisany dopiero po tej dacie. Mogłem jednak tylko stwierdzić, że podana data jest zgodna z prawdą. Wówczas Rangoni na cztery lata zatrzymał się w Polsce. Dlaczego Henryk Damian Wojtyska uważa, że ten tekst mógł zostać przekazany jako *relatio finalis* Rangoniego, chociaż nuncjusz opuścił Rzeczpospolitą dwa i pół roku później? Z tego tekstu sporządzono, co mogłem potwierdzić naocznie, dwie identyczne kopie (BK, sygn. 311 i BRacz., sygn. 100). Tytuł został zapisany inną ręką i, co ciekawe, w (BK, sygn. 311) w całości, a w (BRacz, sygn. 100) tylko w ostatniej części, z nieprawdziwą informacją: *fatta dall Eminentissimo signor cardinal Valenti*.

W wydanej w 2014 r. pracy *Autorzy Złotego Wieku o kulturze i sztuce na Wawelu. Antologia tekstów 1518–1617* stwierdzono m.in. „Wbrew omyłce w tytule w obu znanych odpisach (*fatta dall'Eminentissimo] Sigfnore] Cardinal Valenti*), autorem *Relacji* spisanej w Krakowie nie mógł być Emilio Valenti z Trevi (1564–1618), ponieważ w latach 1592–1605 przebywał w Rzymie jako sekretarz Brewe papieża Klemensa VIII, byłego nuncjusza w Polsce. Na konsystorzu 9 VI 1604 r. papież ów mianował go kardynałem, a 18 IX 1605 r. wyznaczył na biskupa Faenzy. Zatem to nie Valenti ukończył pracę nad obszernym opisem Polski 20 VII 1604 r., jak podano w tytule *Relacji*, co zapewne jest wynikiem zniekształcenia w odpisach. Pierwotny zapis *all'Eminentissimo* wskazuje, że tekst zapewne autorstwa nuncjusza Rangoniego był skierowany do Valentiego, który jako urzędnik kurii w Rzymie odbierał korespondencję od wysłanników papieskich”.

Nuncjusz Claudio Rangoni został odwołany z Rzeczypospolitej we wrześniu 1606 r., a więc dwa lata po sporządzeniu *Relacji*, a dopiero 6 lutego 1607 r. wyjechał z Warszawy do Krakowa, gdzie spotkał się ze swoim następcą, nuncjuszem Francesco Simonettą (1606–1612). Można przypuszczać, że *Relacja z roku 1604* trafiła wówczas do rąk Simonetty.

Autor *Relacji z roku 1604* Claudio Rangoni urodził się 26 września 1559 r. Wywodził się z hrabiowskiej rodziny z Modeny. Był prałatem domowym papieża Klemensa VIII. Od 1587 r. był referendarzem Sygnatury Apostolskiej. W 1592 r. został mianowany biskupem Reggio nell'Emilia, a 20 października 1598 r. desygnowany przez papieża Klemensa VIII na nuncjusza w Rzeczypospolitej. Do Warszawy przybył 1 sierpnia 1599 r., obejmując swą funkcję po nuncjuszu Germaniku Malaspinie; funkcję tę pełnił do 16 IX 1606 r. Był trzecim nuncjuszem, który sprawował tę funkcję za życia Zygmunta III Wazy.

Walter Leitsch uważał, że Zygmunt III Waza z Claudiem Rangonim rozumiał się szczególnie dobrze (był tylko o siedem lat młodszy od nuncjusza), dla niego też starał się pozyskać godność kardynalską (przez lata Zygmunt III prowadził korespondencję z papieżami w sprawie tego kardynalatu, nie odnosząc zresztą sukcesu), jednakże papież Paweł V stanowczo odmawiał,

a król domagał się tego za każdym razem tak samo stanowczo. Zabiegi te, rozpoczęte jeszcze przed wyjazdem nuncjusza z Rzeczypospolitej, trwały do jego śmierci (Rangoni zmarł 2 sierpnia 1621 r.). Wydaje się prawdopodobne, że Rangoni doradzał Zygmuntowi III przy rozwiązywaniu wielu problemów, w związku z tym był zorientowany w wielu sprawach dotyczących Rzeczypospolitej, które opisał skrupulatnie w *Relacji z roku 1604*.

W *Relacji z roku 1604* Rangoni zawarł historyczno-geograficzny opis Rzeczypospolitej z podziałem na poszczególne prowincje, aby następnie przedstawić charakterystykę mieszkańców, ich obyczaje, charakter, instytucje życia publicznego, sądownictwo, sprawy polityki wewnętrznej i zagranicznej, lenna, potencjał militarny. Od typowych opisów odróżnia *Relację z roku 1604* wprowadzenie do niej konkretnych osób ze sfery polityki, piastujących najwyższe urzędy Rzeczypospolitej początku XVII w. Ponad sześćdziesiąt kart swej relacji Rangoni poświęcił senatowi Rzeczypospolitej, nie ograniczając się tylko do przedstawienia jego kompetencji i składu, ale wzbogacając informacje o nim charakterystykami najważniejszych jego członków.

W grupie senatorów ministrów najwięcej uwagi poświęcił Rangoni Janowi Zamoyskiemu, przedstawiając kolejne szczeble jego kariery, osiągnięte dzięki poparciu Stefana Batorego, oraz przedsięwzięcia, które z powodzeniem podejmował za panowania Zygmunta III Wazy (Byczyna, Mołdawia, Inflanty).

Odwolując się do zwycięstwa Jana Zamoyskiego w bitwie pod Byczyną 24 I 1588 r., m.in. stwierdził: „Pomnożył [on] zaś zupełnie sławę swoją, kiedy, popierając króla Zygmunta, wyszedł przeciwko arcyksięciu Maksymilianowi [polskiemu królowi elektowi wybranemu w czasie trzeciej wolnej elekcji w 1587 r. wraz z królem elektem Zygmuntem Wazą] i nie tylko oswobodził oblężony Kraków, rozpedziwszy wojsko nieprzyjacielskie, ale też rzuciwszy się w pogoń za arcyksięciem ku Śląskowi, wziął go do niewoli”.

Rangoni dostrzegł też narastanie konfliktu między królem a kanclerzem, a jego początek upatrywał w trakcie zjazdu Zygmunta III z ojcem Janem III w Rewlu (7 IX – 10 X 1589 r.). Zabiegi o koronę polską, sejm inkwizycyjny, prohabsburska polityka króla, przypięczętowana małżeństwem z Anną Habsburżanką, a po jej śmierci związkiem małżeńskim z jej rodzoną siostrą Konstancją – nie były tajemnicą dla nuncjusza Rangoniego. Nieco tendencyjnie bronił on Zygmunta III Wazy, powątpiewając w zasadność części zarzutów stawianych mu przez kanclerza wielkiego koronnego. Nie ujmując chwały Zamoyskiemu, podkreślał je-

go zdolności polityczne, ale też dostrzegał oznaki jego zmęczenia i zniechęcenia do działalności publicznej, związane z utratą wpływów na dworze i u monarchy. Według Rangoniego momentem, w którym Zamoyski zdał sobie sprawę z osłabienia swojej pozycji politycznej, były wydarzenia rozgrywające się po jego powrocie z Inflant. Wówczas to Zygmunt III, nie licząc się ze zdaniem kanclerza, awansował na marszałka wielkiego koronnego oddanego sobie Zygmunta Myszkowskiego, pomijając protegowanych Zamoyskiego. Jednocześnie Sejm odmówił mu przyznania dóbr na Podolu, co przyspieszyło decyzję kanclerza o wycofaniu się do Zamościa. Snute przez Zamoyskiego plany podjęcia wyprawy przeciw niewiernym na czele sześćdziesięciotysięcznej armii w celu odzyskania Konstantynopola uznane zostały na dworze papieskim i królewskim za niewykonalne. Nuncjusz papieski zapewne wierzył zasłyszanej na dworze opinii, że z nierealności tego planu zdawał sobie sprawę sam kanclerz wielki koronny, a projekt ten obliczony był na zdobycie poklasku nie tylko w Rzeczypospolitej.

Rangoni, kreśląc sylwetkę Zamoyskiego, nie pominął jego aktualnego stanu psychosomatycznego, pojawiających się dolegliwości, starał się opisać jego wygląd zewnętrzny: „ma lat 62 skończonych w ostatnim miesiącu marcu. Jest pięknej postawy, wzrostu średniego, głowy w miarę wielkiej, siwych włosów z czupryną, tak jak ją Polacy noszą; broda cała siwa, postrzępiona u podbródka, a długie wąsy tak, że zakrywają całe usta; mało już ma zębów; cery rumianej, a nawet nieco czerwieniejszej; oczy ma siwe, a ich oprawa taka, że kiedy się kto dobrze przypatrzy, zakrawają nieco na zezowatość; nos orli nie bardzo długi; budowy ciała silnej. Stąd też przy tak podeszłym wieku mógł znosić i zimno, i wielkie niewygody w Inflantach, a chociaż stamtąd powróciwszy, był poczerniał i schudł, jednakże po niewielu dniach spoczynku wydobrzał i odzyskał pierwszą cerę i tuszę, i siły”.

Należy podkreślić rzetelność zawartych w *Relacji z roku 1604* informacji o Zamoyskim. Drobne potknięcia Rangoniego, np. błędne przypisanie Zamoyskiemu stłumienia buntu Semena Nalewajki, przywódcy powstania kozackiego (1596–1597), samozwańczego hetmana kozackiego, nie obniżają wartości poznawczej charakterystyki Zamoyskiego dokonanej przez nuncjusza apostolskiego. W żadnej ze znanych relacji nuncjuszy apostolskich nie znalazło się tak wiele informacji bezpośrednio związanych z postacią kanclerza wielkiego koronnego Jana Zamoyskiego.

Włodzimierz Kaczorowski

Mariusz Patelski

Śląsk potrzebował studentów

Koło Akademików Opolan w Poznaniu (cz. II)

Obok działalności samopomocowej Koło Opolan prowadziło intensywną działalność społeczno-polityczną. Już 23 marca 1947 r. członkowie Koła zorganizowali uroczystość pod hasłem „Opolszczyzna żywym świadectwem polskości Ziemi Odzyskanych”, na którą Zarząd Koła, w składzie: Edmund Nawrocki (prezes), Jan Bełka (sekretarz) oraz Andrzej Rożanowicz (zastępca prezesa), zaprosił także swego opiekuna – opolskiego administratora apostolskiego ks. dr. Bolesława Kominka, który objął protektorat nad planowaną uroczystością. Protektorat zgłosili także rektorzy poznańskich uczelni, wojewoda poznański, komendant DOW Poznań gen. Wsiewołod Strażewski, prezydent Poznania oraz kurator Okręgu Szkolnego. W programie uroczystości znalazł się m.in. odczyt pt. „Opolszczyzna przedmurzem polskości na Zachodzie 1741–1918”, przemówienia delegata Wojska Polskiego, delegata PZZ oraz specjalnie przybyłych do Poznania działaczy opolskich z byłego ZPwN.

W nawiązaniu do przedwojennych tradycji Zarząd Koła starał się nawiązać kontakt z przedstawicielami Związku Polaków w Niemczech, który po zakończeniu II wojny światowej, wznowił działalność w zachodnich strefach okupacyjnych Niemiec. W 1948 r. nawiązano łączność listowną z Zarządzeniem Związku Polaków w Niemczech, z siedzibą w Bochum: Jakubem Przybylskim, Michałem Wesołowskim i Stefanem Przybylskim, a także z przedstawicielami Związku w Berlinie oraz we Frankfurcie nad Menem. Dzięki prowadzonej działalności akademicy z Poznania zostali zaproszeni na Zjazd Młodzieży Polskiej w Berlinie, który odbył się w dniach 5–6 czerwca 1949 r. Przedstawiciele Koła nie wzięli jednak w nim udziału, gdyż Ministerstwo Spraw Zagranicznych nie wydało im paszportów.

Działacze Koła prowadzili także działalność na rzecz reemigrantów powracających z Niemiec. W 1948 r. ogłosili list otwarty do byłych uczniów Gimnazjum w Bytomiu z apelem wzywającym do powrotu do kraju. List został opublikowany w tygodniku „Wiadomości Polskie” wychodzącym we Frankfurcie nad Menem. W samym Poznaniu członkowie Koła, we współpracy z PZZ, wygłaszali w każdą środę odczyty na aktualne tematy, skierowane do powracających z zagranicy rodaków. Opolscy akademicy byli także organizatorami wieczorków i zabaw tanecznych, na które zapraszano reemigrantów z Niemiec, a 16 grudnia 1948 r. zorganizowali dla tego środowiska (w lokalach PZZ) uroczy-

sty „opłatek”. W kolejnym roku planowano wspólną, z przedstawicielami powracającej młodzieży, wycieczkę do Biskupina i Kórnik. Koło utrzymywało także kontakty ze środowiskami reemigrantów w Słupsku oraz w Rokitnicy w powiecie bytomskim. W ramach współpracy z PZZ studenci z KAOwP wzięli udział w kweście ulicznej przeprowadzonej w ramach „Tygodnia Ziemi Odzyskanych”. Ze względu na bliską współpracę z PZZ wielu członków Koła Akademików miało w 1948 r. wstąpić w szeregi tej organizacji.

Członkowie Koła starali się podtrzymywać kontakty z Opolem i Śląskiem. Systematycznie odwiedzali liceum repolonizacyjne w Opolu – w roku akademickim 1948/49 wzięli udział w Gwiazdce i zjeździe absolwentów liceum. Delegacja Koła pojawiła się także na uroczystej Gwiazdce zorganizowanej przez Związek Weteranów Powstań Śląskich w Opolu.

Działalność prołużycka

Kolejnym ważnym polem działalności członków Koła Akademików Opolan była sprawa łużycka. Tradycja współpracy polskich akademików ze studentami należącymi do tej mniejszości słowiańskiej istniała już od czasów przedwojennych. Przedstawiciele Koła zdecydowanie popierali postulaty narodowe Łużyczan i starali się propagować kwestię łużycką na terenie Polski. Działalność prołużycką prowadzili w ścisłym powiązaniu z Akademickim Związkiem Przyjaciół Łużyc „Prołuż”, który powstał na Uniwersytecie Poznańskim 12 września 1945 r. Prezesem „Prołużu” był Alojzy Matyniak, a kuratorem z ramienia uniwersytetu – prof. Józef Widajewicz. Spośród działaczy KAOwP bardzo aktywni byli w „Prołużu”: Andrzej Rożanowicz, Konrad Poloczek, Janusz Kandziora i najprawdopodobniej Zdzisław Malczewski, którego ojciec Kazimierz stał na czele Towarzystwa Przyjaciół Łużyc w Opolu.

Rożanowicz, który pełnił funkcję wiceprezesa Koła Opolan w latach 1946–1948, był jednocześnie członkiem wydziału zewnętrznego Okręgu Poznańskiego Prołużu. Janusz Kandziora już w latach szkolnych był delegatem „Prołużu” w Szkolnym Kole w I LO w Opolu. Po zdaniu matury Kandziora został studentem ekonomii Uniwersytetu Poznańskiego oraz członkiem Koła Opolan. W tym czasie kontynuował także działalność w „Prołużu”; w październiku 1948 r. zo-

stał członkiem Zarządu Głównego Związku i równocześnie objął funkcję naczelnika Wydziału Zewnętrzny. Bardzo aktywnym członkiem obu organizacji był również Konrad Poloczek – prezes Koła Akademików w latach 1948–1949 i jednocześnie wiceprezes (od 6 lutego 1948 r. do rozwiązania w 1950 r.) „Prołużu”. Jednym z ostatnich zadań Poloczka jako wiceprezesa Związku Przyjaciół Łużyc było opracowanie okolicznościowych materiałów z okazji planowanych obchodów 10. rocznicy powstania tej organizacji w czerwcu 1949 r.; nim do tego jednak doszło, władze przystąpiły do akcji rozbijania tej organizacji: w maju 1949 r. został aresztowany Alojzy Matyniak, a w styczniu 1950 r. organizacja faktycznie zaprzestała działalności. Oficjalnie Związek został rozwiązany decyzją Ministra Oświaty z dnia 3 marca 1950 r., a jego majątek przekazano Radzie Okręgowej ZSP w Poznaniu.

Z zachowanych materiałów wynika, że kierownictwo Koła Akademików, za pośrednictwem „Prołużu”, nawiązało na przełomie 1948 i 1949 r. kontakt z „braćmi Łużyczanami w Budziszynie”. Głównym celem korespondencji było przekazanie pozdrowień oraz wyjaśnienie losów kolegów Serbołużyczan, którzy z powodu szykan niemieckich, jakie ich dotyczyły w gimnazjach niemieckich, przenieśli się w latach 30. XX w. do Polskiego Gimnazjum w Bytomiu. Ich pobyt i nauka w polskiej szkole trwała do przełomu marca i kwietnia 1937 r., kiedy to, na mocy decyzji nazistowskich władz niemieckich, musieli opuścić bytomskie gimnazjum. Oficjalny powód wydalenia Serbołużyczan uzasadniono faktem, jak pisał w swych wspomnieniach Adolf Warzok, iż: „gimnazjum w Bytomiu (wg interpretacji niemieckiej) jest szkołą dla Polaków, a Serbołużyczan Polakami nie są. Nie posiadają też swego państwa, które mogłoby z Niemcami zawrzeć układ o ochronie mniejszości”. Większość z wydalonych z Bytomia Łużyczan, by dalej się kształcić, udała się do Czechosłowacji.

Do grona tego należeli: Paweł Behr (poległy jako żołnierz niemiecki), Beno Bulank (Bulang), po wojnie lekarz w Budziszynie; Jan Hadank, Cyryl Nawka (Nauke), po wojnie nauczyciel szkoły podstawowej w Ostro; Tomasz Nawka (Nauke), poległy jako żołnierz niemiecki; Hubert Žur (Sauer), po wojnie dziennikarz w Nuchnitz na Łużycach; Jan Šořta (Scholtze), po wojnie dr historii i ekonomii, pracownik naukowy „für sorbische Volksforschung w Budziszynie”; Jan Skala (poległy jako żołnierz niemiecki, był synem red. Jana Skali – przywódcy serbołużyckiego, zamordowanego w 1945 r. przez żołnierzy Armii Czerwonej), Rudolf Wawry (Waury), po wojnie pracownik spółdzielni rolnej w Ostro; Beno Cyž (Ziesch), poległy jako żołnierz niemiecki; Jan Jakub Cyž (Ziesch), poległy jako żołnierz niemiecki oraz Šořta (?). Opolanie, byli uczniowie Gimnazjum Polskiego w Bytomiu, doskonale orientowali się w meandrach kwestii łużyckiej ze względu na łączność przedstawicieli tej mniejszości z bytomską szkołą. Już na otwarciu Polskiego Gimna-

zjum obecny był przywódca serbołużycy – red. Jan Skala, za jego sprawą młodzi Łużyczanie podjęli naukę w Bytomiu. W Polskim Gimnazjum często bywał także red. Jan Czyž, który wizytował uczącą się tam młodzież łużycką. W związku z przybyciem do Bytomia łużyckich uczniów „Serbska Domowina” przekazała do zbiorów biblioteki gimnazjum 3000 tomów książek łużyckich. W przekazaniu księgozbioru uczestniczyli: Jan Skala, dr Jan Czyž oraz Michał Nawka, a ze strony polskiej Edward Szwed. W 1948 r., Opolanie planowali zorganizowanie wieczoru łużyckiego, ze względów politycznych impreza nie doszła jednak do skutku.

Przedstawiciele Koła podjęli także współpracę z młodzieżą Polską z Zaolzia. Niestety, w zachowanych dokumentach brak szerszych informacji na ten temat.

Kilka portretów opolskich akademików

Przez szeregi Koła Akademików Opolan w ciągu niespełna pięciu lat istnienia organizacji przewinęło się dużo niezwykłych i barwnych postaci. Ostatni prezes Koła – Konrad Poloczek pochodził ze znanej na Śląsku rodziny wywodzącej się z miejscowości Górniki pod Bytomiem. Jego ojciec Augustyn był jednym z głównych założycieli Związku Polaków w Niemczech oraz organizatorem polskiej szkoły prywatnej w Górnkach; za swą działalność był w czasie II wojny światowej uwięziony w obozie koncentracyjnym w Buchenwaldzie, a jego gospodarstwo zostało skonfiskowane. W ZPwN działał także brat Konrada Poloczka – Wilhelm, który po ukończeniu Gimnazjum w Bytomiu studiował dziennikarstwo; następnie był członkiem Centrali Prasowej ZPwN, a po wojnie osiedlił się w RFN, gdzie został sekretarzem Zarządu Głównego Związku Polaków w Niemczech.

Niezwykła była biografia pierwszego prezesa Koła Opolan – Edmunda Nawrockiego, syna działacza ZPwN Leona – dyrektora Banku Ludowego w Raciborzu. Nawrocki także był uczniem Gimnazjum w Bytomiu i członkiem miejscowej drużyny harcerskiej. W czasie II wojny światowej został członkiem siatki wywiadowczej w Berlinie, zorganizowanej przez Referat Zachód Komendy Głównej ZWZ/AK działającej pod kryptonimem „Stragan”. W wyniku wyspy, jaka miała miejsce na początku 1942 r., Nawrocki został aresztowany i w październiku 1943 r. skazany wraz z innymi członkami polskiej siatki w Berlinie przez Volksgericht (Sąd Ludowy) na karę śmierci. Kary tej jednak nie wykonano – zanim wyrok się uprawomocnił, konspirator szczęśliwie doczekał wyzwolenia przez Armię Czerwoną. Z jego grupy uratowała się jedynie Stefania Przybył, której udało się zbiec z Moabitu. Po powrocie do kraju Nawrocki studiował medycynę na Uniwersytecie Poznańskim. Po studiach początkowo pracował na uniwersytecie jako asystent w Katedrze i Zakładzie Anatomii Opisowej Topograficznej, a następnie powrócił na Śląsk i przez wiele lat był lekarzem pedia-

trą w szpitalu w Strzelcach Opolskich, pełnił tu także funkcję ordynatora oddziału dziecięcego. Ostatecznie Edmund Nawrocki osiadł w Sierakowie w Wielkopolsce, gdzie również pracował w szpitalu.

W Kole wyróżniał się także jego wiceprezes Andrzej Rożanowicz, od urodzenia związany z Katowicami. Przed wojną uczył się w Gimnazjum im. Mikołaja Kopernika w Katowicach oraz pełnił funkcję zastępowego w harcerskiej drużynie gimnazjalnej. Po wybuchu II wojny światowej, pod pseudonimem „Głuszczyk” kontynuował w warunkach konspiracji działalność harcerską. W tym czasie dowodził zastępem określanym jako harcerska grupa sabotażowo-dywersyjna „Birkuty” w Tajnej Śląskiej Chorągwi Harcerzy, powiązanej z ZWZ-AK Okręgu Śląskiego. Po wojnie zdał eksternistycznie maturę i podjął studia na Wydziale Prawno-Ekonomicznym Uniwersytetu Poznańskiego. W czasie studiów prowadził bardzo aktywne życie społeczne. Oprócz funkcji w Kole Opolan był także prezesem Związku Akademickiej Młodzieży Polskiej oraz członkiem Zarządu Bratniej Pomocy. Studia zakończył obroną pracy doktorskiej pt. „Struktura zawodowa i społeczna ludności Górnego Śląska w ciągu 100 lat”, której promotorem był prof. Kazimierz Ajdukiewicz. Po powrocie do rodzinnych Katowic pracował w różnych instytucjach naukowo-badawczych, m.in. w Instytucie Medycyny Pracy, a także prowadził zajęcia dydaktyczne z nauk ekonomicznych w szkołach wyższych. Jako autor licznych publikacji z zakresu ochrony pracy, drukowanych w polskiej i zagranicznej prasie specjalistycznej, został uznany za jednego z najwybitniejszych autorytetów w tej dziedzinie. W latach 60. przeprowadził przewod habilitacyjny pod kierunkiem dyrektora Instytutu Medycyny Pracy prof. Brunona Nowakowskiego i uzyskał tytuł docenta za całokształt dorobku naukowego. W latach 80. był kierownikiem Zakładu Ekonomiki i Organizacji Pracy w Katedrze Nauk Ekonomicznych Uniwersytetu Śląskiego. Po przejściu na emeryturę w 1991 r. doc. dr hab. Rożanowicz aktywnie uczestniczył w pracach Światowego Związku Żołnierzy AK w Zarządzie Oddziału w Katowicach. Katowiczanom znany był przede wszystkim jako niezrównany gawędziarz i autor licznych artykułów dotyczących lokalnej historii, a także jako sygnatariusz protestu Zarządu Oddziału Światowego Związku Żołnierzy AK w Katowicach skierowanego do redakcji „Gazety Wyborczej” w sprawie fałszywego obrazu obrony Wieży Spadochronowej przedstawionego na łamach tego dziennika. Doc. dr hab. Andrzej Rożanowicz zmarł 2 października 2011 r.

Franciszek Hadasik, wywodzący się z Łomnicy w powiecie oleskim, najprawdopodobniej jeden z nielicznych żyjących członków Koła początkowo szedł drogą życiową typową dla miejscowych Ślązaków, którzy urodzili się jako obywatele Niemiec. W młodości uczęszczał do niemieckiego gimnazjum i tuż przed maturą, w 1943 r., został wcielony do armii niemieckiej. Służył w jednostkach przeciwlotniczych we Frankfur-

cie nad Menem oraz w Berlinie. W kwietniu dostał się do niewoli amerykańskiej. Już w trakcie szkoły i potem w czasie służby wojskowej odkrył w sobie talent do języków, szybko nauczył się angielskiego oraz francuskiego, czytając w oryginale m.in. książki Balzaka. Po powrocie na Śląsk kontynuował naukę w Liceum i Gimnazjum dla Dorosłych w Opolu, o którego istnieniu dowiedział się od miejscowego księdza. W liceum zetknął się z przedstawicielami Koła. Dziś z wielkim entuzjazmem i wdzięcznością wspomina przede wszystkim postać dr Stefani Mazurek, która umożliwiła wielu Ślązakom zdanie matury i otworzyła drogę do nauki w wyższych uczelniach. Po uzyskaniu świadectwa dojrzałości Franciszek Hadasik dostał się na Uniwersytet Poznański, gdzie studiował równocześnie romanistykę i prawo. Po studiach pracował jako radca prawny w różnych instytucjach; punktem zwrotnym w jego karierze było zatrudnienie, w 1957 r., w Instytucji Międzynarodowych Targów Poznańskich. Jako osoba biegle władająca językiem angielskim, francuskim i niemieckim objął posadę inspektora do spraw wystawców zagranicznych. Do jego obowiązków należało pozyskiwanie wystawców z różnych stron świata, w związku z czym odbywał podróże w tak odległe miejsca świata jak: Ekwador, Peru, Kolumbia i Wenezuela. W tym charakterze pracował do emerytury, na którą przeszedł dopiero w 1995 r., w wieku 72 lat. Mimo tej zmiany nadal pozostał czynny zawodowo, wkrótce otworzył biuro tłumaczeń, gdzie pracuje do dziś jako tłumacz przysięgły z angielskiego, niemieckiego, łaciny i francuskiego. Biegle włada także włoskim i rosyjskim. Na pytanie zadane przez dziennikarza „Gazety Wyborczej”, jak długo ma zamiar pracować, odpowiedział, że: „100 lat, a potem się zobaczy” („Gazeta Wyborcza” 2 IX 2009, nr 205).

Alojzy Toma (Thoma) (1925–2014) urodzony w Siołkowicach Starych był synem powstańca śląskiego Józefa Tomy oraz uczniem Polskiego Gimnazjum w Bytomiu (1936–1939). W czasie II wojny światowej został przymusowo wcielony do armii niemieckiej i w trakcie działań wojennych dostał się do niewoli francuskiej. Po powrocie z obozu został uczniem Liceum i Gimnazjum dla Pracujących w Opolu, a następnie studiował rolnictwo w Wyższej Szkole Rolniczej w Poznaniu, gdzie pełnił funkcję sekretarza Koła Akademików Opolan. W pamięci kolegów zapisał się jako niezrównany pływak, potrafiący przepłynąć w pław całe Jezioro Maltańskie. Po studiach pracował w Instytucie Włókienniczym we Wrocławiu i, od 1956 r., w Zjednoczeniu Przemysłu Lniarskiego w Łodzi – jako naczelnik wydziału. Toma, podobnie jak wielu jego kolegów, znał biegle języki obce, dzięki czemu był zatrudniany dodatkowo jako tłumacz tekstów naukowych dla NOT. Z zamiłowania był pszczelarzem i autorem licznych patentów z tej dziedziny oraz wielokrotnie wznawianej pracy: „Moja pasieka: książka dla pszczelarzy głównie początkujących i amatorów” (Łódź 2005).

Likwidacja Koła

Wraz z postępującą stalinizacją życia w Polsce działania Koła były coraz bardziej ograniczane przez władze. W końcu lat 40. wiele z planowanych imprez stowarzyszenia nie doszło do skutku; nie udało się zorganizować m.in. Balu Akademika w Opolu oraz zjazdu bytomiaków – byłych uczniów Polskiego Gimnazjum w Bytomiu. Najprawdopodobniej z powodu sprzeciwu władz nie doszła również do skutku planowana w Opolu uroczystość „święconego”. Władze z pewnością niechętnie patrzyły na powiązania Koła z Kościołem katolickim, a dodatkowo pojawił się najprawdopodobniej zarzut o tzw. śląski separatyzm. Fiaskiem zakończyły się także próby powołania kolejnych kół Opolan we Wrocławiu, Krakowie i Gliwicach. Należy wspomnieć, iż w tym samym czasie działało Akademickie Koło Studentów Zagłębia Śląsko-Dąbrowskiego. Stowarzyszenie to ograniczało się jednak w swej działalności głównie do akcji samopomocy i, być może dlatego, uzyskało zezwolenie na powołanie swych struktur w Poznaniu oraz Wrocławiu, a najprawdopodobniej także w Gliwicach i Krakowie.

Likwidacja Koła Akademickiego Opolan nastąpiła 26 kwietnia 1950 r. w związku ze stalinowską rekonstrukcją całego ruchu studenckiego. Podobny los spotkał także pozostałe regionalne koła akademickie z niewątpliwą szkodą dla całej uniwersyteckiej wspólnoty. W jednym z listów do opolskiego administratora apostolskiego ks. Bolesława Kominka członkowie Koła Akademików Opolan deklarowali, że „Niezmierna i głęboka jest nasza wdzięczność względem Waszej Ekszelencji za nam już okazaną pomoc. My z naszej strony przyrzekamy pracować usilnie i wytrwale, aby dopiąć do raz wytkniętego celu”. Słowa niewątpliwie dotrzymani, z grona tego wyszło bowiem co najmniej: 6 lekarzy, 6 ekonomistów, 5 prawników, 2 germanistów, 2 inżynierów rolnictwa oraz po jednym: poloniście, romanistce, farmaceutce, inż. leśnictwa i chemiku. W tej liczbie znalazło się także aż sześciu wybitnych naukowców różnych specjalności, którzy wnieśli istotny wkład w rozwój polskiej nauki po II wojnie światowej: prof. dr hab. nauk medycznych Józef Baron (1923–) – współtwórca Kliniki Endokrynologicznej Instytutu Ginekologii i Położnictwa AM w Poznaniu; dr Władysław Brzeziński (1922–1998); kie-

rownik Zakładu Języka Polskiego WSP w Słupsku, autor słownika gwarowego: „Słownictwo krajniackie. Słownik gwary wsi Podróżna w Złotowskim”; doc. dr hab. nauk medycznych Marian Gondzik (1920–1997); ordynator Oddziału Gruźlicy Układu Moczowo-Płciowego w Szczecinie-Zdunowie; prof. dr hab. nauk farmaceutycznych Piotr Mikołaj Gorecki (1928–2008) – związany z AM w Poznaniu, którego prace koncentrowały się wokół związków naturalnych półsyntezy organicznej; doc. dr hab. Andrzej Rożanowicz (1925–2011) – specjalista z zakresu ekonomii pracy związany z różnymi ośrodkami naukowymi w Katowicach, a także prezes Polskiego Towarzystwa Ergonomicznego oraz prof. nadzwyczajny dr hab. Jerzy Skolik (1928–1994) – specjalista w zakresie analizy stereochemicznej, związany z AE w Poznaniu.

Po odwilży 1956 r. do tradycji przedwojennej „Silesii Superior” próbowało nawiązać powstałe w 1959 r. Studenckie Koło Towarzystwa Rozwoju Ziem Zachodnich działające w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Opolu. Oferta Koła ze względu na poważną tematykę i sztywne formy działania spotkała się jednak z ograniczonym zainteresowaniem ze strony studenckiej młodzieży (zob. A. Dawid, *Studenci w służbie antyrewizjonistycznej propagandy „Silesia Superior” na opolskiej WSP (1959–1964)*, cz. 1, „Indeks” 2010, nr 3–4, s. 97–99; *Ibid.*, cz. 2, „Indeks” 2010, nr 5–6, s. 84–85).

Mariusz Patelski

Literatura

Dokumenty źródłowe:

Archiwum Diecezjalne w Opolu

Prywatne archiwum dr. Piotra Pałusa z Opola

S. Mazurek, *Liceum dla Dorosłych w Opolu w latach 1947–1950*, „Studia Śląskie” 1962, t. 5, s. 159–160.

E. Sapia-Drewniak, *Stefania Mazurek*, Biografia pedagogiczna, Opole 2011.

M. Masnyk, *Zrzeszenia akademików – Polaków na Śląsku Opolskim w okresie międzywojennym*, Studia i materiały z dziejów Uniwersytetu Wrocławskiego, t. 2, Wrocław 1993.

M. Patelski, *Koło Akademików Opolan w Poznaniu 1946–1950*, „Pro Lusatia. Opolskie Studia Łużycoznawcze” 2013, t. 12, s. 90–123.

Pokazać niewidoczne

Z Michałem Koselem, absolwentem dziennikarstwa, studentem filozofii Uniwersytetu Opolskiego, twórcą „Faith Project”, zwycięzcą XIII Festiwalu Filmowego w Rybniku w kategorii „film eksperymentalny” rozmawiają Monika Latek i Joanna Silska

Monika Latek: – Skąd pomysł na „Faith Project”?

Michał Kosel: – Z głowy. Przez dłuższy czas gromadziłem spostrzeżenia, zapiski, obserwacje, które później przerodziły się w scenariusze. Przekaz audio-wizualny jest bardzo mocny, można go przemycić do kultury popularnej.

M.L.: – Nie myślałeś o formie książkowej?

M.K.: – Nie. Ze względu na bardzo duży szacunek do osób, które piszą wartościowe rzeczy. Kiedyś wydać książkę to było coś wielkiego. Obecnie czuję lekkie zniesmaczenie, jak widzę masę młodych celebrytów, blogerów, którzy nagle wydają książkę w zasadzie o niczym. Według mnie, żeby to zrobić, trzeba mieć się czym podzielić.

Joanna Silska: – Przecież też się dzielisz.

M.K.: – Tak, ale za pomocą mniejszych form, na miarę swoich możliwości. Jeżeli zaczną one cieszyć się popularnością, wtedy można się rozwijać. Nie jest sztuką zaczynać od wielkiej fabryki i na drugi dzień ogłosić jej upadłość, bo towaru nikt nie chce. W marzeniach też jest potrzebny pewien realizm i konsekwencja.

J.S.: – Czym jest Twoja fabryka?

M.K.: – Mną.



Michał Kosel

J.S.: – Sam jesteś sobie celem?

M.K.: – Nie, ambicja – to jest moja fabryka, którą trzeba dozować. Wszyscy znają George’a Lucasa. On też nie nakręcił „Gwiezdných wojen” w odpowiedniej chronologii. Mierzył siły na zamiary. Kiedy go zapytano, dlaczego nie zaczął od pierwszej części, odpowiedział: „Wiedziałem, że to, co chcę zrobić w pierwszej, drugiej i trzeciej, będzie możliwe dopiero za dziesięć, piętnaście lat”. To jest marzyciel, który stąpa mocno po ziemi i z żelazną konsekwencją dąży do celu.

J.S.: – Dla kogo to robisz?

M.K.: Chciałoby się powiedzieć: dla siebie. Największą radość sprawia mi to, że mogę się gdzieś podzielić skumulowaną energią. Jest oddźwięk. Czuję się szczęśliwy i spełniony. Oczywiście przez pierwsze trzy dni, potem już mi się wszystko nie podoba.

M.L.: – Jakie emocje chciałbyś wywołać w odbiorcach swoimi filmami?

M.K.: – Po prostu chciałbym, żeby poruszyło. Nie chcę zmieniać świata, wywoływać płaczu czy gniewu. Chcę, żeby widz się na chwilę zatrzymał, rozejrzał wokół siebie i zastanowił. A potem poszedł dalej. Z jakąś refleksją.

M.L.: – Zostawić ślad...

M.K.: – Troszeczkę tak. Nie chodzi o to, żeby wszystkich zmieniać i nawoływać do tych zmian. Zależy mi, aby pokazać coś, czego nie widzimy na co dzień. O tym też są te etudy. Opowiadają o trudnych przypadkach.

M.L.: – Jak w etiudzie “69 sekund”?

M.K.: – Właśnie. Ta produkcja pokazuje, że osoby niepełnosprawne bywają bardziej sprawne od tych „zdrowych”. Chcę, żeby moje filmy były różne i trafiły w różną wrażliwość. Słucham odbiorców i profesjonalistów, jak choćby podczas ostatniego festiwalu w Rybniku.

J.S.: – Montaż robi niesamowite wrażenie. Dlaczego nie poszedłeś na przykład na filmówkę? Nie było ci bliżej do filmu?

M.K.: – Obawiam się, że na tym etapie szkoła filmowa mogłaby mnie zamknąć w pewnych ramach. Szczepnie mówiąc, większość rzeczy robię intuicyjnie. Potem dopiero słyszę, że ktoś jest zaskoczony i pyta: „skąd wiedziałeś, że trzeba to zrobić tak i tak?”. Boję się, że

szkoła filmowa mogłaby zgasić tę iskrę. Poza tym, do tego rodzaju edukacji trzeba dorosnąć. Ale nie mówię kategorycznie, że nie.

J.S.: – Dlaczego akurat filozofia?

M.K.: Jest to najbardziej kreatywny kierunek studiów, jaki można sobie wybrać. Jest zarazem niebezpieczny dla osób nieokreślonych. Ja wybrałem filozofię ze względu na poszerzanie horyzontu, który został mi trochę zawężony na dziennikarstwie. Otwieram się w całkiem innych kategoriach. To sprawia, że moje scenariusze są lepsze.

M.L.: – Kiedy możemy się spodziewać następnego filmu?

M.K.: – Nie robię tego zawodowo. Zajmuję się innymi rzeczami. Realizuję teraz na przykład osobny projekt o pasji. Nie chcę, żeby to było tak, że raz na tydzień czy miesiąc będę udostępniał coś nowego. Musi nadejść odpowiedni moment. Nie chcę czuć presji.

J.S.: – Nie szukasz jasnej strony życia. W Twoich filmach dominuje gorycz i pesymizm. Nawet chłopak, który nie ginie pod kołami pociągu, jakoś mnie nie raduje.

M.K.: – Właśnie on powinien radować. To podobno jest najbardziej pozytywna etiuda.

J.S.: – Nie zmiądzło bohatera, ale zmiądzło mnie.

M.K.: – I dobrze. Czy przypadkiem nie jest tak, że wszystko naokoło nas próbuje pozbawić nas refleksji? Jesteśmy bombardowani tym, jacy jesteśmy fajni. Byle byśmy więcej kupili, wydajniej pracowali, mieli mniej czasu dla siebie. A gdy już mamy ten czas, to powinniśmy poświęcić go na głupoty, które nas bawią. Rozrywka, rozrywka, rozrywka... Brakuje refleksji. Po co kolejny film, który wyłącznie rozbawi? Takich na YouTube jest pełno.

M.L.: – Jakie jest Twoje źródło refleksji?

M.K.: – Życie jest niesamowite, fascynujące. Marowanie go też jest fascynujące. Patrzenie na ludzi, którzy się poddają. To gorzka fascynacja. Przykładowo: widzę dwudziestolatka, który może mieć wszystko za pięć lat. I – po pierwsze – daje sobie wmówić, że jest nikim. Po drugie, że nic nie osiągnie, że nie ma przyszłości. Po trzecie – wierzy w to i, co najgorsze, nic z tym nie robi.

J.S.: – I czy faktycznie taki człowiek nie ma przyszłości?

M.K.: – Ma. Przepotężną. Nasza wiara jest tym, co nas kreuje. Ci, którzy wmawiają nam porażkę, nie dopuszczają myśli, że mogłoby nam się udać, ponieważ wtedy musieliby przyznać, że sami przegrali.

J.S.: – Oglądałam dzisiaj „Widę” i jestem pod wrażeniem do teraz. Skąd pomysł? Dedykujesz tę produkcję trzem osobom. To się wydarzyło?

M.K.: – Wydarzyło się, ale nie w windzie. Te trzy osoby to mój wujek, moja ciocia i ich córka, którzy zginęli w wypadku samochodowym. Przeżyła tylko kilkuletnia córeczka mojej kuzynki. Scenariusz stworzyłem w pociągu, w drodze na pogrzeb. Tam narodził

się pomysł przekazania emocji, którą czułem, pod tytułem: nigdy nie wiesz. I tak powstała „Winda”. Wczesniejsze etiudy mówią o młodzi, która wchodzi w dorosłość, a „Winda” opowiada o dorosłych, którzy dalej są zagubieni.

M.L.: – Która z etiud jest ci najbliższa?

M.K.: – Wszystkie wyrażają coś, co chciałem na jakimś etapie przekazać. Są, w jakimś sensie, częścią mnie.

J.S.: – Skąd warsztat?

M.K.: – Wy mi powiedzcie, z czego w ogóle jest warsztat. Nie wiem, po prostu. Siadam i robię. Programu nauczyłem się przypadkiem, gdy robiliśmy pierwszą w historii relację z Piastonaliów, z dziennikarzami EU. Uskuteczniłem metodę prób i błędów. Miłe jest to, że jadę później na festiwal i słyszę, że poziom techniczny samych filmów jest zdumiewający jak na produkcje amatorskie.

M.L.: – Czy potrzebowałeś wsparcia wielu osób? Nie tylko wsparcia duchowego, ale też technicznego, finansowego.

M.K.: – Nie trzeba dużych nakładów finansowych, w ogóle ich nie trzeba. Wystarczy trochę pasji, pomysłu i tyle. Otaczają nas takie rzeczy, że zrobienie klipu może się odbyć w parku na ławce. To może być coś, co rozłoży ludzi na łopatki.

M.L.: – Czyli może to zrobić każdy student, każda osoba, która tego pragnie?

M.K.: – Każdy. To nie jest trudne. Talent polega tylko na tym, że uczysz się czegoś szybciej. Nie ma rzeczy, których nie da się wyuczyć, przynajmniej do stopnia średnio zaawansowanego. Możemy się nauczyć montażu, robienia salt, szpagatów, kierowania ludźmi, bycia odważnym. Trzeba chcieć. Mózg jest tak skonstruowany, że uwielbia się uczyć. To nie jest problem. Największym problemem jest to, że dla kogoś to jest problem.

J.S.: – Skąd bierzesz aktorów do swoich filmów?

M.K.: – Ludzi znajduję różnie, czasem z przypadku, w który – szczerze mówiąc – nie wierzę. Najczęściej szukam pasjonatów, nie profesjonalistów. Do „Windy” wzięłem młodych ludzi, którzy chcą być w szkołach aktorskich, a na razie działają w kołach teatralnych. Z nimi się fajnie pracowało.

J.S.: – Nie miałeś problemu z otoczeniem w związku z tym, że na potrzeby filmu wyłączyłeś windę z użytku?

M.K.: – Mieliśmy pozwolenie na zablokowanie windy. Doktoranci chyba wtedy mieli obronę. Chodzili po tych schodach w tę i z powrotem. Zablokowaliśmy, nakleiliśmy taśmę, nie ma, koniec, awaria. Znalazły się dwie osoby, które usłyszały hałasy i próbowały ratować bohaterów.

M.L.: – Ulubiony film?

M.K.: – Nie mam ulubionych filmów, reżyserów. Czasami oglądam coś i myślę „wow”. Coś mnie musi ruszyć.

Krzysztof Spalek

Zdrowie na mokro

Zapomniany ośrodek przyrodoleczniczy w Nowym Mieście nad Pilicą

Sebastian Kneipp (1821–1897) zasłynął w świecie jako wodolecznik z Bawarii. Był duszpasterzem, żył i działał w podalpejskiej miejscowości Bad Wörishofen. Pochodził z ubogiej rodziny, nie były mu więc obce troski i problemy prostych ludzi. Jako student ciężko zachorował na gruźlicę płuc, większość czasu zamiast w szkolnej ławie spędził przykuty do łóżka, czytając książki. Jedną z pozycji, na którą natrafił, była książka śląskiego lekarza ze Świdnicy – Johanna Siegmunda Hahna pt. „Unterricht von Krafft und Würckung des frischen Wassers in die Leiber der Menschen, besonders der Krancken, bey dessen innerlichen und äusserlichen Gebrauch” („Nauka o sile i działaniu świeżej wody na ciało ludzkie szczególnie chore przy jej użyciu zewnętrznym i wewnętrznym potwierdzona doświadczeniem”). Autor książki polecał stosowanie zimnej wody o każdej porze roku w celu wzmocnienia ciała i duszy. Zalecał kąpiele, natryski, zmywania, nacierania, okłady, płukanie nosa, zanurzanie głowy w wodzie. Uzupełnieniem wodolecznictwa miała być dieta warzywno-owocowa i ruch na świeżym powietrzu. Chory Kneipp, po przeczytaniu tej publikacji, rozpoczął stosowanie u siebie 3–4 sekundowych kąpiele w lodowatej wodzie Dunaju, po których – nie wycierając się – biegł do domu. Tak zaczęła się jego wielka przygoda z hydroterapią, z którą to dziedziną nauki najczęściej jest kojarzony.

W sierpniu 1852 r., w wieku 31 lat, ukończył studia teologiczne i przyjął święcenia kapłańskie w katedrze w Augsburgu. Po otrzymaniu święceń osiadł, jako wikary, w kościele Świętego Krzyża w Biberbach, a następnie w Boss i w kościele św. Grzegorza w Augsburgu. Przez cały czas pogłębiał swą wiedzę na temat wodolecznictwa i stosował ją w życiu codziennym. Choć zyskiwał coraz większe uznanie chorych, z powodu licznych skarg i oskarżeń o szarlatanostwo został przeniesiony, 2 maja 1855 r., do klasztoru Dominikanek w Wörishofen, gdzie objął funkcję spowiednika. Tam ujawnił swoje zdolności organizacyjne, usprawnił gospodarkę klasztoru, zyskując sławę dobrego gospodarza i przyjaciela pszczół. Równocześnie, przez cały czas swej pracy duszpasterskiej, pomagał chorym, stosując zimne polewania i zachęcając do zmiany sposobu odżywiania. W 1881 r. objął probostwo w parafii św. Justyny w Wörishofen.



Sebastian Kneipp na fotografii z 1889 r. (ze zbiorów autora)

Chorych nadal przybywało, dwa gościńce znajdujące się w miasteczku nie mogły już pomieścić wszystkich potrzebujących. Powoli formowało się też uzdrowisko. Kneipp bezustannie modyfikował swą metodę: do zabiegów wodoleczniczych dołączył picie naparów i herbat z ziół, leczenie miodem i odpowiednią, prostą dietą. Doceniając znaczenie ruchu, zalecał pacjentom długie spacery po okolicy i gimnastykę w domu. Dużą popularnością wśród parafian cieszyły się jego awangardowe jak na owe czasy kazania, w których uprawiał swoistą promocję zdrowia, zachęcając do dbania o zdrowie poprzez stosowanie zimnych polewań i die-



Rysunki Franciszka Kostrzewskiego przedstawiające zabiegi przyrodolecznicze wg metody S. Kneippa

ty, zmiany sposobu życia. Kneipp (już przed ponad stu laty!) apelował o zmianę menu i unikanie produktów sztucznie przetworzonych. Zalecał wikt domowy, prosty, pożywny, bez sztucznych wymysłów, niezapusty ostrymi korzeniami.

Kneipp zasłynął także jako autor książek na temat opracowanej przez siebie metody. W 1886 r. wydał pierwszą z nich pt. „Mein Wasserkur” („Moje leczenie wodą”), zaś w 1889 r. kolejną – „So sollt ihr leben” („Tak żyć potrzeba”). W 1888 r. wydał pierwszy numer wychodzącego do dziś czasopisma „Kneipp Blätter” („Nowiny Kneippowskie”), w którym w 1891 r. ukazała się w częściach jego biografia „Aus meinem Leben” („Z mojego życia”). W kolejnych latach ukazały się następne książki – w 1890 r. „Codozill zu meinem Testament” („Kodycył do mojego testamentu”), w 1891 r. „Ratgeber für kranke und gesunde” („Poradnik dla chorych i zdrowych”) oraz „Kinderpflege in gesunden und kranken Tagen” („Poradnik pielęgnacji dzieci w zdrowiu i chorobie”), w 1892 r. „Atlas der Heilpflanzen” („Atlas roślin leczniczych”), w 1894 r. „Mein Testament für gesunde und kranke” („Mój testa-

ment dla zdrowych i chorych”). W latach 1881–1896 r. ukazywały się także kalendarze – „Roczniki ks. Kneippa”. Kneipp odbył ok. 30 podróży po Europie, rozpowszechniając swoją teorię zdrowego życia. W 1894 r. odwiedził Rzym, gdzie podczas audiencji u papieża Leona XIII poproszony został o poradę zdrowotną. Po wielu spotkaniach papież odznaczył go pamiątkowym złotym medalem i nadał mu tytuł Monsignore. Wörishofen nadal był modnym uzdrowiskiem, a w Niemczech zaczęły powstawać kolejne sanatoria stosujące metody lecznicze Kneippa. W 1894 r. było ich około stu, m.in. w Baden-Baden, Bonn, Coburgu, Koblenckji, Frankfurtu, jak również w innych zakątkach Europy: na Dolnym Śląsku w Lähnhaus (obecnie Wleń), na Górnym Śląsku w Bad Ziegenhals (Głuchołazy), we Francji (od 1895 r. wychodziło tam czasopismo „Le Kneippiste”), w Szwajcarii. Sanatoria stosujące metody lecznicze Kneippa funkcjonowały także w Stanach Zjednoczonych.

W ówczesnej Polsce – na Kresach Wschodnich w Kosowie (z inicjatywy dr. Apolinarego Tarnawskiego), w Warszawie, gdzie funkcjonował zakład w łaźniach Diany dr. Tomasza Jagińskiego oraz w Nowym Mieście nad Pilicą. Ten ostatni zakład stworzył dr Jan Bieliński.

Jan Kapistran Bieliński, lekarz medycyny, specjalista w zakresie hydroterapii, urodził się 23 października 1834 r. w Biłgoraju. Był synem rejenta powiatu tarnogrodzkiego Antoniego Bielińskiego i Franciszki z domu Szczorskich. Szkołę elementarną ukończył w Biłgoraju, gimnazjum w Lublinie. Uczył się w szko-





Kąpiel i wycieranie, — opaska, — zycbady.

niedokrwistość, choroby pokarmowe, zapalenia nerek, choroby skóry oraz „zbożenia w przemianie materii, przewlekłe zatrucia rtęciowe, morfinowe, tytoniowe, wyskokowe”. Pod koniec XIX w. leczyło się w nim około 400 osób rocznie.

Żartobliwe szkice przedstawiające leczenie w ośrodku przyrodoleczniczym w Nowym Mieście nad Pilicą wykonał Franciszek Kostrzewski (1826–1911), malarz realistyczny i rodzajowy, który wstąpił się głównie jako rysownik satyryczny i karykaturzysta. Jego ilustracje ukazywały się w czasopiśmie warszawskich, m.in. „Tygodniku Ilustrowanym”, „Kłosach”, „Musze”, „Wędrowcu”.

Rysunki Kostrzewskiego pochodzą z czasopisma „Kłosy” (nr 638, t. XXV), gdzie opatrzono je podpisem: „Cudowne skutki Zimnowodnej kuracji w Nowym Mieście nad Pilicą”.

Krzysztof Spalek

le w Szebrzeszynie do 1848 r. Gimnazjum ukończył w Lublinie, w 1852 r. Studia medyczne odbył na Uniwersytecie Moskiewskim (dyplom w 1859 r.). W tym też czasie rozpoczął pracę zawodową jako lekarz wolno praktykujący w Nowym Mieście nad Pilicą. W czasie powstania styczniowego udzielał pomocy lekarskiej powstańcom w Nowym Mieście i okolicznych miejscowościach (Rzeczyca, Potworów, Ossa, Stuzianna, Moszki). Po upadku powstania wyjechał do Paryża, gdzie praktykował w klinice neurologicznej, chirurgicznej i dziecięcej. W drodze powrotnej do kraju odwiedził Grafenberg (obecnie część Jesennika) na Śląsku, aby zapoznać się z hydroterapią, a następnie Bawarię, gdzie ponad rok praktykował pod kierunkiem Sebastiana Kneippa. W 1868 r. powrócił do Nowego Miasta nad Pilicą, a rok później urządził tu niewielki zakład hydroterapeutyczny. Kolejna podróż, w 1872 r., do uzdrowisk czeskich, szwajcarskich i francuskich, zaowocowała otwarciem w dwa lata później nowoczesnego Zakładu Przyrodoleczniczego w Nowym Mieście nad Pilicą. Za wzór posłużył mu ośrodek przyrodoleczniczy Kneippa w Wörishofen. Przedsięwzięcie zrealizowano z pożyczek kupców i ziemian na terenach ofiarowanych przez kilku właścicieli. Powstał wtedy kurort o szerokim zakresie leczenia różnych schorzeń, głównie metodą Kneippa. Leczą tam m.in.: nerwice,

Wybrana bibliografia:

- Bieliński J., *Zakład wodoleczniczy w Nowym Mieście nad Pilicą jako dom zdrowia dla chorych nerwowo*. Warszawa 1886.
- Eckstein F., Flamm S., *Die Kneipp-Kräuterkur*. Gesundheits Verlag GmbH, Bad Wörishofen 1933.
- Kneipp S., *So sollt ihr leben*. Kösel Verlag, Kempten 1890.
- Kneipp S., *Aus meinem Leben. Selbstbiographie*. Kösel Verlag, Bad Wörishofen 1891.
- Kneipp S., *Kinderpflege in gesunden und kranken Tagen*. Kösel Verlag, Bad Wörishofen 1891.
- Kneipp S., *Ratgeber für Gesunde und Kranke*. Kösel Verlag, Wörishofen 1891.
- Kneipp S., *Moje leczenie wodą*. Księgarnia Josefa Kösel, Kempten 1892.
- Kneipp S., *Mein Testament für Gesunde und Kranke*. Kösel Verlag, Kempten 1894.
- Korczyński L., *Zarys balneoterapii i balneografii krajowej*. W Drukarni C. K. Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków 1900.
- Maertens O., *Die Heilkräuter nach Sebastian Kneipp*. Kneipp Verlag, Wien 2003.
- Spielvogel I., Migala M., Spalek K., *Opolskie uzdrowiska*. Studia i Monografie 318. Politechnika Opolska, Opole 2012, ss. 148.



„Pochwalna gramota” dla Marii Stanislawowny Gilewicz

Ślady ćwiczeń cielesnych i umysłowych

Kiedy jeszcze tokiem studiów nie zarządzał wyłącznie informatyczny USOS, a indeks dało się poplamić nie tylko ocenami bardzo dobrymi, ale i rozlanym piwem (bo nie był to indeks elektroniczny), edukacja zostawiała ślady jakby trwalsze. Czy trwalsze w głowach, to rzecz do dyskusji. Ale na pewno trwalsze w szufladach absolwentów.

Do jednej z takich szuflad, z edukacyjną przegródką, mogliśmy zaglądnąć u państwa Marii i Jana Perkowskich.

Do Opoli, gdzie się pobrali w 1961 roku i gdzie mieszkają do



Dwudziestolatki: Maria Gilewiczówna i Jan Perkowski

dzis, trafili w r6zonym czasie, w6druj6c tu z r6znych kierunk6w i powod6w.

Maria Perkowska, z domu Gilewicz, urodzona w nalez6cym wtedy do Polski Lwowie. Wojna zastała Gilewicz6w w Starym Samborze. Rosjanie, po zaj6ciu tamtych teren6w, tworz6c oddzielne szkoly dla poszczeg6lnych narodow6sci tu zamieszkuj6cych. Z tego okresu zachowała si6 Gilewiczom „Pochwalna gramota” dla Marii Stanisławowny; pochwalna z powodu szkolnych osi6gni6c Gilewicz6wny. Gramot6 zdobyły wszechobecne wtedy wizerunki Lenina i Stalina.

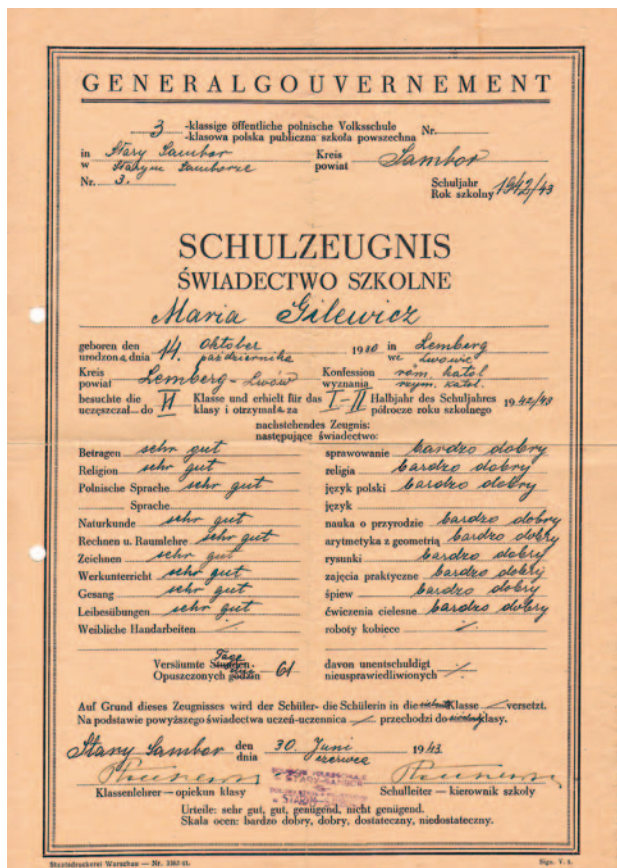
Jan Perkowski, warszawiak. Wojenny p6łsierota. Trafia z matk6 pod Ojc6w. Zanim zacznie nauk6 w szkole powszechnej w Skale k. Ojcowa, a potem w krzeszowickim Państwowym Zakładzie Wychowawczo-Naukowym (absolwentem tej plac6wki jest m. in. Stefan Bratkowski) – przechodzi okupacyjn6 edukacj6 w Polskiej Publicznej Szkole Powszechnej w Minodze (powiat miechowski). Zachowały si6 Perkow-

skiemu dwuj6zyczne, niemiecko-polskie świadectwa z tamtego etapu nauki. Jedno z nich dotyczy roku szkolnego 1942/1943.

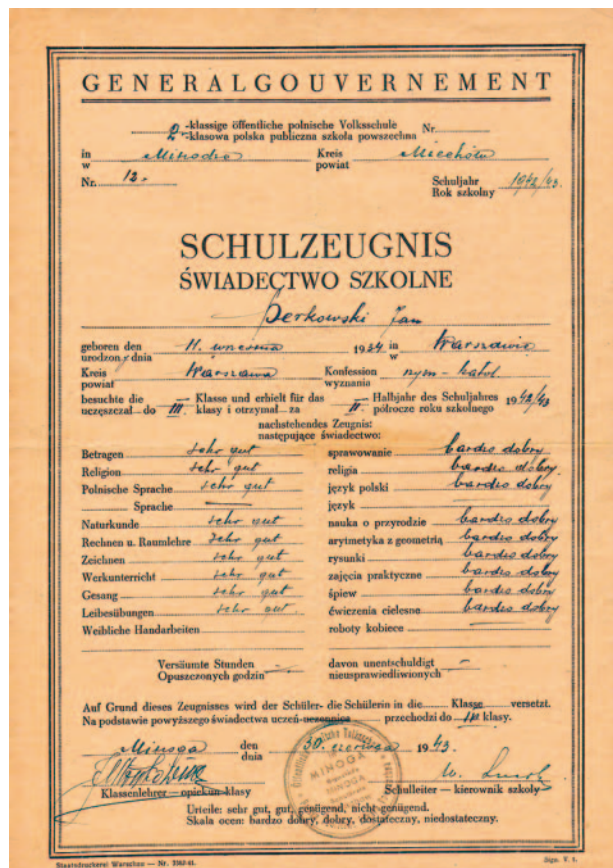
Na identycznym, niemiecko-polskim formularzu, tez z wersalikowym nadtytułem GENERALGOVERNEMENT, i takze z tego samego roku szkolnego 1942/1943, jest świadectwo Marii Gilewicz, wystawione przez „Polnische Volksschule in Stary Sambor” (fot. 4), a wi6c szkoł6 odległ6 od podmiechowskiej Minogi Perkowskiego o kilkadziesiat kilometr6w. Na jednym i drugim świadectwie od g6ry do dołu, od „sprawowania” po „ćwiczenia cielesne”, wył6cznie oceny bardzo dobre. Oba świadectwa wypisane starannym, egzotycznym dzis dla m6dych charakterem pisma.

Uplynie bardzo duzo czasu, zanim oba te świadectwa trafi6 do jednej szuflady.

MB



Świadectwo Marii Gilewicz wystawione przez Polnische Volksschule in Stary Sambor



Niemiecko-polskie świadectwo Polskiej Publicznej Szkoły Powszechnej w Minodze potwierdzające, że uczeń Jan Perkowski ukończył III klasę

Stanisław Gajda

Droga i ścieżki do uniwersytetu

W pracy nad powołaniem uniwersytetu w Opolu włączyłem się w 1986 r. Może nieskromnie stwierdzę, iż byłem inicjatorem działań, które stały się ostatnim etapem starań. Skutecznym.

Bezpośrednim impulsem stała się informacja wręcz o wysmianiu na zebraniu plenarnym KC PZPR wystąpienia I sekretarza KW PZPR w Opolu p. Eugeniusza Mroza, który wnioskował utworzenie uniwersytetu. Do takiego wystąpienia został przekonany rosnącym potencjałem opolskiej WSP, jej mającymi już swoją historię staraniami, głośnymi prasowymi publikacjami wielkiego orędownika uniwersytetu, jakim był Stanisław Nicieja, a także cichym naciskiem środowiska z ówczesnym rektorem, nieżyjącym już profesorem Stanisławem Kochmanem na czele. W gronie bliskich mu i wspierających go osób byli moi instytutowi przełożeni, koledzy i mistrzowie, profesorowie Henryk Borek, Marian Kaczmarek, Zdzisław Piasecki, Feliks Pluta, Jerzy Pośpiech i Dorota Simonides. Coś niecoś o tej presji wiedziałem, bo m.in. uczestniczyłem na kilka miesięcy przed Plenum KC w spotkaniu – chyba w Turawie – z sekretarzem KC p. Henrykiem Bednarskim. Prawdopodobnie jego opolska wizyta w pewnym stopniu także przyczyniła się do wystąpienia p. Eugeniusza Mroza.

Niepowodzenie w Warszawie podziało w Opolu jak lodowaty prysznic. Komitet Wojewódzki PZPR uznał sprawę za zamkniętą. Większość entuzjastów idei uniwersyteckiej ogarnął nastrój rezygnacji. Gdy wkrótce podjęliśmy nowe działania, wielu z nich nie chciało się angażować, usprawiedliwiając się „brakiem czasu na przegrane sprawy” oraz niewiarą w powodzenie starań.

Był to zresztą czas powszechnej beznadziei. PZPR nie radziła sobie z sytuacją ekonomiczną. Rozproszona opozycja tkwiła w głębokim cieniu. Był jeszcze *fasadowy*, jak go pokątnie nazywano, i instrumentalnie traktowany przez PZPR Patriotyczny Ruch Odrodzenia Narodowego (nb. biała plama w najnowszej historii Polski). Choć nie miał ani społecznego prestiżu, ani większego wpływu na życie polityczne, to pod jego egidą wielu uczciwych ludzi, społeczników, podejmowało szereg mniejszych lub większych inicjatyw służących dobru publicznemu.

Byłem wówczas członkiem Prezydium Rady Wojewódzkiej PRON. W działalność pronowską zaangażowała mnie p. profesor Maria Nowakowska, przewod-

nicząca Rady, którą poznałem na przełomie lat 70. na 80. podczas wspólnej pracy w uczelnianej organizacji związkowej ZNP. Na jednym z jesiennych (1986 r.) posiedzeń Prezydium wzburzony niepomyślnymi wieściami z Warszawy zaproponowałem, aby to PRON przejął inicjatywę w realizacji idei uniwersyteckiej i uczynił ją sprawą nie tylko środowiska akademickiego, lecz także całego społeczeństwa Opolszczyzny. Prezydium pomysł zaakceptowało, a profesor Nowakowska włożyła duszę, rozum i serce w jego realizację.

Być może uniwersytet w Opolu powstałby bez naszych trudów, zwłaszcza jeśli patrzy się na przebytą do niego drogę z dzisiejszej perspektywy, gdy instytucja uniwersytetu przechodzi kryzys i została – szczególnie w Polsce – zdewaluowana. Nie wiedzieliśmy wówczas, że ta droga z punktu widzenia osobistych biografii okaże się długa, i że pochłonie tyle energii, aby przejść wszystkie przeszkody i zapaści. Mówi się, że sukces ma z reguły wielu ojców (i matek), ale muszę oddać sprawiedliwość profesor Marii Nowakowskiej. To jedyna i prawdziwa Matka Chrzeszna Uniwersytetu Opolskiego. Podziwiałem i podziwiam jej nieprzerwany entuzjazm, cierpliwość i nieustępliwość, upór, ale też takt i talent w przekonywaniu oponentów oraz w pozyskiwaniu sojuszników, niezrażanie się niepowodzeniami, umiejętności taktyczne i strategiczne. Sądzę, że w okresie 1986–1994, bez niej, realizacja idei uniwersytetu w Opolu zostałaby wielokrotnie zaniechana.

Mój udział był znacznie skromniejszy. Towarzyszyłem profesor Nowakowskiej w wielu konkretnych działaniach, podrzucałem pomysły, organizowałem dyskusje i spotkania oraz uczestniczyłem w nich. Oficjalnie pełniłem funkcję sekretarza (od 1988 r.) Społecznego Komitetu ds. Powołania Uniwersytetu w Opolu. Spod mojej ręki lub z moim udziałem wychodziły wszystkie nieoficjalne (robocze) i oficjalne opinie, projekty, wnioski, w tym dokumenty, które stały się podstawą wystąpień do władz.

*

Jeszcze jesienią 1986 r. w intensywnych rozważaniach i rozmowach wykluczał się zarys programu działania. Uznaliśmy, iż należy pozyskać dla idei uniwersytetu opinię publiczną Opolszczyzny, przekonać do niej całe opolskie środowisko naukowe (uczelnie, instytutu naukowe), a także przełamywać opory w Warszawie. Stopniowo ten zarys był wzbogacany i kon-

kretyzowany oraz oblekany w ramy organizacyjne, ale co najważniejsze – konsekwentnie wcielany w życie.

W marcu 1987 r., po konspiracyjnych wręcz przygotowaniach, na wniosek Józefa Lipki (twórcy ludowego z Gogolina) II Wojewódzki Zjazd PRON podejmuje uchwałę apelującą do społeczeństwa i władz o poparcie idei uniwersytetu i starań zmierzających do jego powołania. Ten apel został następnie przez dra Pawła Kozerskiego (dyrektora Muzeum Piastów Śląskich w Brzegu) przeniesiony na Krajowy Zjazd PRON. Było to oficjalne, publiczne zainauguowanie nowego etapu batalii o uniwersytet w Opolu. Zaskoczyliśmy tym władze wojewódzkie, ale też środowisko akademickie. KW PZPR był chyba podzielony – sekretarz Eugeniusz Brudkiewicz życzliwie odniósł się do inicjatywy PRON, natomiast sekretarz ds. nauki (pochodzący z WSI) prof. Zdzisław Kabza zdecydowanie niechętnie, co wiązało się z sugerowaną i preferowaną przez nas drogą integracyjną do uniwersytetu.

Z profesor Nowakowską uznaliśmy, że największe szanse dojścia do uniwersytetu daje integracja instytucjonalna opolskiego środowiska naukowego, tj. przede wszystkim połączenie WSP i WSI. Dlatego powołany przez Prezydium RW PRON kilkusobowy tzw. Roboczy Zespół Inicjujący składał się z osób z obu uczelni spoza ich kierownictw. Z WSI byli to prof. Robert Rauziński, dr Teresa Farbiszewska, dr Adam Micker i dr Andrzej Namysło, przychylnie ustosunkowani do integracji. Kibicował nam dr Jerzy Szteliga, który nie wszedł do Zespołu, był bowiem podwładnym (w KW PZPR) prof. Zdzisława Kabzy. Wiedzieliśmy o niechęci elit WSI do łączenia się z WSP, liczyliśmy jednak, że ich stanowisko uda się zmienić.

Zespół Inicjujący dość szybko opracował wstępną integracyjną *Koncepcję powołania uniwersytetu w Opolu*. W październiku 1987 r. zapoznało się z nią Prezydium RW PRON. Postanowiono wyjść z nią do zainteresowanych środowisk, poszerzyć Zespół Inicjujący o rektorów opolskich uczelni i dyrektorów instytutów, przekształcając go w Zespół Koncepcyjny, który wykona prace przygotowawcze przed powstaniem Społecznego Komitetu ds. Powołania Uniwersytetu w Opolu. Nowy zespół spotkał się dwukrotnie, rozważając różne warianty przyszłego uniwersytetu: zbudowany tylko na podstawie WSP lub integracyjny (obejmujący WSP i WSI; WSP, WSI i Instytut Śląski; WSP i Instytut Śląski).

Równocześnie toczyła się publiczna i mniej publiczna kampania prouniwersytecka. Pamiętam pełne napięcie spotkania, m.in. w Klubie Międzynarodowej Prasy i Książki, dyskusje prasowe i radiowe. Z profesor Nowakowską wyjeżdżałem do Warszawy, aby spotkać się z polskimi intelektualistami i działaczami społecznymi, m.in. odwiedziliśmy byłego przewodniczącego Rady Państwa prof. Henryka Jabłońskiego, Edmunda Osmańczyka, prof. Annę Przeclawską, prof. Bogdana Suchodolskiego, publicystę Edmunda Menclewskiego, pisarza Wojciecha Żukrowskiego. Wszyscy bardzo

życzliwie odnieśli się do opolskiej idei uniwersyteckiej, obiecując jej wsparcie. Szczególne zaangażowanie wykazał Edmund Osmańczyk. Zaprosił mnie po pewnym czasie powtórnie do swego mieszkania przy Zamku Królewskim w Warszawie i przekazał wiele rad oraz materiałów, które wykorzystałem w pracach przyszłego Komitetu.

10 marca 1988 r. – równo sześć lat przed sejmową *Ustawą o utworzeniu Uniwersytetu Opolskiego* – na Zamku Piastów Śląskich w Brzegu rozpoczyna swoją działalność Społeczny Komitet ds. Powołania Uniwersytetu w Opolu. Na jego czele staje wojewoda opolski dr Kazimierz Dzierżan. Wiceprzewodniczącymi zostali, obok profesor Marii Nowakowskiej, dyrektorzy wielkich opolskich przedsiębiorstw: Norbert Lysek i Józef Pękała. W jego ponad stuosobowym składzie znaleźli się, obok przedstawicieli opolskich środowisk naukowych, również reprezentanci środowisk politycznych, gospodarczych i kulturalnych, a także osoby spoza Opolszczyzny, wśród nich Edmund Osmańczyk. Taki skład Komitetu i jego kierownictwa miał symboliczną i pragmatyczną wymowę. Realnie jednak pracami Komitetu kierowała profesor Nowakowska. Jako sekretarz starałem się ją wspierać.

Tymczasem zmieniła się sytuacja w kraju. Zbliżało się przesilenie polityczne. Realizacja idei uniwersyteckiej, mimo intensywnych działań, znalazła się w impasie wobec niechęci WSI, aby wejść w struktury uniwersyteckie. W październiku Senat WSI podejmuje uchwałę, która wyklucza taką możliwość. W tej sytuacji profesor Nowakowska rzuca pomysł zwrócenia się do Kurii Biskupiej. Na jej prośbę, w listopadzie, przyjął nas ks. bp Alfons Nossol. Rezultaty tej wizyty pchnęły sprawę uniwersytetu na nowe tory.

Ks. bp A. Nossol gorąco poparł ideę uniwersytetu i zasugerował włączenie do niego Diecezjalnego Instytutu Teologiczno-Pastoralnego, Filii Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego (KUL). Obiecał wsparcie działań Komitetu i desygnował do jego Prezydium dyrektora Instytutu ks. prof. Helmuta Sobeczkę. Komitet we wrześniu 1989 r. zaakceptował nowy kierunek.

Zaangażowanie ks. bpa Alfonsa Nossola i zmiana polityczna w Polsce (powstanie rządu Tadeusza Mazowieckiego) sprawiły, iż 22 grudnia w Opolu zjawił się minister edukacji narodowej prof. Henryk Samsonowicz. Uczestniczyłem w dramatycznym spotkaniu z nim w Kurii Biskupiej. Wstrząsem była dla mnie wypowiedź przewodniczącego Regionu Opolskiego „Solidarność”, który stwierdził, iż społeczeństwo Opolszczyzny jest przeciwne tworzeniu uniwersytetu z WSP, „czerwonej uczelni kierowanej przez porucznika SB”. To wystąpienie zostało przez zebranych potraktowane jako kuriozum. Minister ze zrozumieniem odniósł się do idei uniwersytetu w Opolu, ale jego zdaniem jedyna droga miała prowadzić przez połączenie WSP i WSI. Wezwał rektorów obu uczelni do dialogu.

Cały rok 1990 przebiega pod znakiem owego dialogu. Biskup Alfons Nossol spotyka się z Senatem WSI.

Działa Komisja Porozumiewawcza, pracując nad modelem uniwersytetu federacyjnego. Wszystko na nic. W początkach 1991 r., na posiedzeniu Prezydium Komitetu, rektor WSI prof. Piotr Wach poinformował o definitywnej niezgodzie jego uczelni na wejście w skład uniwersytetu. Obecny na posiedzeniu nowy wojewoda opolski Ryszard Zembaczyński zaproponował, by zakończyć próby przekonywania WSI i przygotować wnioski do władz centralnych, uwzględniający integrację WSP i Filii KUL. Prezydium przyjęło też rezygnację Kazimierza Dzierżona z funkcji przewodniczącego Komitetu, powierzając ją ks. bpowi Alfonsowi Nossolowi.

Pod koniec 1991 r. wniosek przygotowany przez profesor Marię Nowakowską, ks. prof. Helmuta Sobczkę oraz przeze mnie jest gotowy. Na początku 1992 r. trzeba było go skorygować, bo zakładał wejście w uniwersytet także Instytutu Śląskiego, lecz dyrektor Instytutu dr Krystian Heffner złożył Prezydium Komitetu deklarację o odstąpieniu.

Zintensyfikowaniu uległy też zabiegi na szczeblu centralnym. Ponieważ podstawą nowego uniwersytetu miała być WSP, to inicjatywę mogły przejąć władze uczelni, poprzednio z premedytacją „schowane” w cieniu Komitetu. Towarzyszyłem rektorowi prof. Jerzemu Pośpiechowi i wojewodzie Ryszardowi Zembaczyńskiemu podczas wizyty u ministra edukacji narodowej prof. Andrzeja Stelmachowskiego. Poświęcił nam sporo czasu i życzliwie wysłuchał naszych racji. Rek-

tor Jerzy Pośpiech zaprosił go do Opolu na „wizję lokalną”. Minister zaproszenie przyjął, wysyłając wkrótce swego zastępcę prof. Romana Dudę (matematyka z Uniwersytetu Wrocławskiego). Wiceminister zapoznał się ze stanem opolskich uniwersyteckich przygotowań, lecz nie krył swojej osobistej opinii, że na powołanie uniwersytetu w Opolu jest za wcześnie. Pod naciskiem opolskich uczestników spotkania, a zwłaszcza rektora, obiecał sformułowanie jasnych kryteriów powoływania uczelni typu uniwersyteckiego. Słowa dotrzymał. Na wniosek MEN Rada Główna Szkolnictwa Wyższego w czerwcu 1992 r. formułuje pięć takich kryteriów.

Nasza radość, że spełniamy kryteria, bo nasz *Wniosek o powołanie Uniwersytetu w Opolu*, złożony przez księdza biskupa u ministra Stelmachowskiego jeszcze w marcu, jednoznacznie na to wskazuje – okazała się przedwczesna. Minister skierował co prawda sprawę powołania uniwersytetu w Opolu w trybie rządowe, lecz tu utknęła. Zaporą nie do przebycia okazał się wicepremier Paweł Łączkowski (kierował Komitetem Społecznym Rady Ministrów), przeciwny tworzeniu uniwersytetu „dla Niemców”, jak to nieoficjalnie powiedział wojewodzie Zembaczyńskiemu. Nie pomogły moje interwencje u kolegi językoznawcy prof. Stanisława Mikołajczaka, jego partyjnego kolegi z Poznania. Nie pomogła wizyta ks. bpa Alfonsa Nossola u premier Hanny Suchockiej w Warszawie, ani spotkanie poświęcone sprawie uniwersytetu w Opolu podczas pobytu pani premier na Opolszczyźnie, w marcu



1 października 1994 r. Inauguracja pierwszego roku akademickiego w Uniwersytecie Opolskim

1993 r., choć obiecała pełne poparcie. Ustalono, iż Komitet złoży nową wersję *Wniosku* z wyraźnym ustosunkowaniem się do kryteriów Rady Głównej.

Taki wniosek, przereklamowany i uaktualniony przez zespół (Gajda, Nowakowska, Sobeczko), szybko został złożony przez rektora Jerzego Pośpiecha i przewodniczącego Komitetu ks. bpa Alfonsa Nossola – pani premier, ministrowi edukacji narodowej oraz rektorom UJ, UW i UW r. Senaty tych uniwersytetów zostały bowiem wskazane, zgodnie z piątym punktem kryteriów, do zaopiniowania *Wniosku*. Równocześnie ks. bp Alfons Nossol zabiega u władz kościelnych w Warszawie i Rzymie o zgodę na utworzenie Wydziału Teologicznego na przyszłym uniwersytecie.

Nie obyło się znów bez momentów krytycznych i denerwujących, ale dzięki opolskiej nieustępliwości, pomysłowości i zaradności, zwłaszcza prof. Marii Nowakowskiej, rektora Jerzego Pośpiecha i ks. bpa Alfonsa Nossola, sprawa toczyła się ku szczęśliwemu finałowi. W sierpniu 1993 r. pojawiła się zgoda krajowych władz kościelnych, ale we wrześniu Komitet wicepremiera Łączkowskiego oficjalnie nie poparł opolskiego wniosku. Już w lipcu Senat UW podjął uchwałę popierającą nasze starania, natomiast senaty wrocławski i krakowski były niechętne. Opór Senatu UW r. udało się pokonać po wizycie jego delegacji w Opolu oraz po opolskiej rewizycie i uczestnictwie w jego posiedzeniu. Nieprzejednane stanowisko zajmował rektor UJ, nie wprowadzając nawet sprawy na posiedzenie swojego Senatu.

Tymczasem w wyniku wyborów z 23 września zmienił się układ sił politycznych i władzę w kraju przejęła koalicja centrowolewicowa. Rektor Jerzy Pośpiech, ks. bp Alfons Nossol i prof. Maria Nowakowska podejmują kontakty z nową władzą, m.in. z wicepremierem Aleksandrem Łuczakiem oraz z MEN, a także z marszałkiem Sejmu Józefem Oleksym. Resort nie kryje niechętnego stanowiska wobec utworzenia uniwersytetu w Opolu, powołując się przede wszystkim na trudności finansowe. Jednak nasza uniwersytecka sprawa miała już swój sejmowy żywot dzięki posłowi Jerzemu Sztelidze.

Niedługo po wyborach ze Szteligą spotkali się i rektor Pośpiech, i profesor Nowakowska. Podczas tych spotkań poseł zaproponował, aby wykorzystać prawną możliwość wyjścia z ustawą o powołaniu uniwersytetu w Opolu – jako inicjatywą poselską, z pominięciem drogi rządowej. Zobowiązał się do zorganizowania poparcia posłów i senatorów nie tylko swojego klubu poselskiego. Ten „patent Szteligi” wykorzystuje później WSI, aby stać się Politechniką Opolską, i wszystkie nowe uniwersytety. Ta droga, po pięciu miesiącach, doprowadziła do sejmowej *Ustawy o utworzeniu Uniwersytetu Opolskiego* z marca 1994 r.

Jesienią poprzedzającego roku, gdy sprawa znalazła się już w sejmowej komisji, zostałem w imieniu Komii-

tetu posłany do Krakowa, aby poinformować rektora UJ o tym fakcie. Chodziło o zapobieżenie negatywnym następstwom jakiegoś możliwego protestu Senatu UJ, ewentualnie złagodzenie jego oporu. Z rektorem Aleksandrem Kojem odbyłem długą, prawie półtoragodzinną, bardzo trudną rozmowę. Cierpliwie mnie wysłuchał, zadał szereg pytań, a na zakończenie powiedział, iż Senat UJ nie będzie przeciwny utworzeniu uniwersytetu w Opolu, ale on osobiście jest przeciw.

Zapadło mi w pamięci jako jedyne przemówienie rektora Koja wygłoszone podczas obiadu, po pierwszej uniwersyteckiej inauguracji w Opolu, 1 października 1994 r. Inne były pełne kurtuazji. Jego cierpkie, a w nim zdanie: „o tym, czy Opole zasługuje na uniwersytet, pokaże przyszłość”.

*

Minęło 20 lat od powołania Uniwersytetu Opolskiego. Cóż pokazała przyszłość? Osobiście mam mieszane uczucia. Z jednej strony można wskazywać osiągnięcia mierzone liczbą studentów i absolwentów oraz nowymi kierunkami i specjalnościami dydaktycznymi, liczbą uzyskanych stopni naukowych, tytułów i uprawnień do nadawania stopni, liczbą publikacji itd., a także infrastrukturą. Z drugiej strony czuje się niedosyt, wywołany i naszą pozycją w różnych modnych dzisiaj rankingach, i stanem jakościowym naszej uniwersyteckości.

W staraniach uniwersyteckich i później, w okresie pracy w Komitecie Badań Naukowych, w Centralnej Komisji ds. Stopni i Tytułów oraz w innych ogólnopolskich strukturach naukowych, co raz spotykałem się z dużą niewiedzą o Opolu lub z wielkim lekceważeniem opolskiego środowiska naukowego. Ponieważ w końcu 1986 r., po nieoczekiwanej śmierci prof. Henryka Borka, zostałem kierownikiem wielkiego resortowego programu badawczego (jednego z dwu językoznawczych programów, obejmującego badania ponad dwustu badaczy z całej Polski), to zdobyte doświadczenia postanowiłem wykorzystać dla promocji naszego ośrodka, Uniwersytetu Opolskiego i opolskiego językoznawstwa. Stąd inicjatywy projektów badawczych ogólnopolskich i międzynarodowych koordynowane z Opolą (ich wyniki to m.in. 14-tomowa seria *Najnowsze Dzieje Języków Słowiańskich*, 4-tomowe wydawnictwo *Komparacja Systemów i Funkcjonowania Współczesnych Języków Słowiańskich*, ponad 20 tomów rocznika „Stylistyka”, kilkadziesiąt konferencji).

Dlaczego efekty mojej pracy i wielu kolegów uniwersyteckich nie dały lepszych rezultatów?

Czy Uniwersytet na swojej drodze rozwojowej nie przeszedł apogeum i nie stanął wobec tendencji spadkowej?

Stanisław Gajda

Jan Heffner

Mistrz i przyjaciel

Wspomnienie o prof. Janie Wesołowskim

Spotkałem się z tym szczupłym, brodatym człowiekiem po raz pierwszy jako student II roku fizyki w roku akademickim 1948/49, kiedy to przybył z Krakowa do Wrocławia. Miał wtedy w małej sali fizyki Politechniki Wrocławskiej na Wybrzeżu Wyspiańskiego wykład monograficzny pt. *Promieniowanie kosmiczne*, na który uczęszczała spora grupa studentów z różnych lat studiów – niektóre wykłady odbywały się w tamtych czasach raz na kilka lat i chodzili na nie studenci różnych roczników. Zainteresowały mnie ciekawie przedstawiane eksperymenty oraz aparatura do badań promieni kosmicznych, którą po wykładzie można było zobaczyć u niego w pokoju. Czuję, że jest to to „coś”. Bakcyl, którym się zaraziłem.

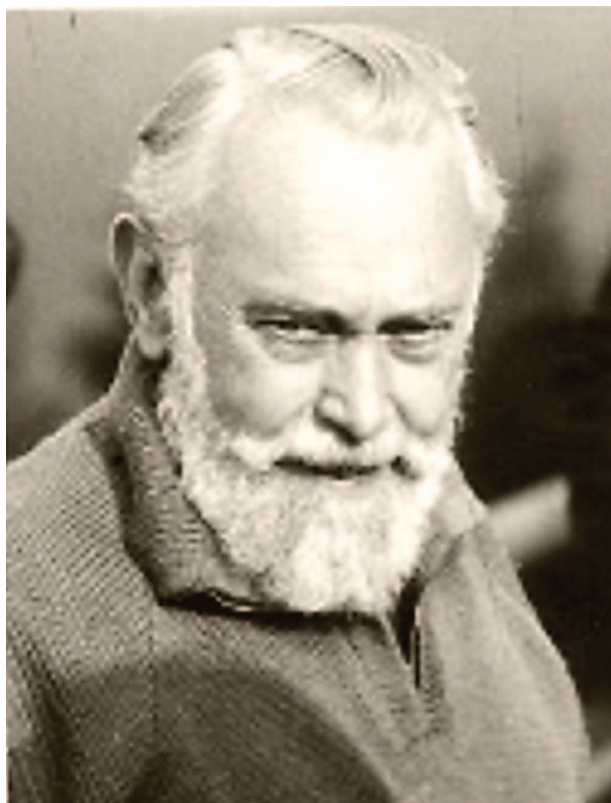
Oto fragment życiorysu sporządzonego przez dr. Jana Wesołowskiego, adiunkta Zakładu Fizyki Doświadczalnej UJ w 1948 r., dołączonego do wniosku o przyjęcie do pracy na Uniwersytecie Wrocławskim.

„Urodziłem się dnia 13 września 1902 r. w Żerebkach, pow. żytomirskiego, guberni wołyńskiej. Naukę szkolną rozpocząłem w r. 1910 w Żytomierzu, a w roku 1911 wstąpiłem do 1-szej klasy przygotowawczej średniej Szkoły Handlowej w Berdyczowie. W r. 1920 wyjechałem do Krzemieńca. Wskutek powojennych trudności materialnych nie mogłem natychmiast kontynuować nauki, zarabiałem na utrzymanie pracą w browarze i korepetycjami. W r. 1923 zostałem przyjęty do 7-mej klasy mat.- przyr. Liceum Krzemienieckiego, oraz do internatu. Świadectwo dojrzałości uzyskałem w r. 1925 i w tym samym roku zapisałem się na Wydział Filozoficzny U.J. Zdany całkowicie na własne siły żyłem w trudnych warunkach materialnych zarabiając na utrzymanie korepetycjami i sezonową pracą biurową w czasie wakacji.

W r. 1931 wstępuję w związek małżeński; w tym samym roku rozpoczynam w Zakładzie Fizyki U.J. pracę pedagogiczno-naukową w charakterze młodszego asystenta. Stopień magistra filozofii z zakresu fizyki uzyskuję w r. 1933, Do września 1939 r. pracuję bez przerwy w Zakładzie Fizyki jako młodszy, po tym jako starszy asystent i ogłaszam drukiem 4 prace naukowe. W latach wojny mieszkam w Krakowie. Prowadzę w tym czasie konspiracyjne, zamknięte komplety

w Klasztorze Karmelitów Bosych, biorę udział w tajnym nauczaniu na Wydziale Rolnym U.J., a w ostatnim roku wojny pracuję również jako nauczyciel matematyki w Szkole Górniczo-Hutniczej kierowanej przez rektora Akademii Górniczej W. Goetla. W r. 1943 zdałem konspiracyjny egzamin doktorski na podstawie pracy doktorskiej ogłoszonej drukiem w końcu sierpnia 1939 r. W 1943 r. tracę żonę zabitą przez Niemców. W styczniu 1945 r. przystępuję ponownie do pracy w Zakładzie w charakterze st. asystenta, a od jesieni tegoż roku adiunkta. W r. 1946 powtórnie wstępuję w związek małżeński”.

O działalności Jana Wesołowskiego, w piśmie Uniwersytetu Wrocławskiego „Nasz Uniwersytet”, (nr 13, maj 1993), dr Maria Dębowska napisała tak: „Rozpoczął wtedy pod kierunkiem prof. Konstantego Zakrzewskiego prace badawcze z fizyki cząsteczkowej. Wkrótce po studiach opublikował kilka prac doty-

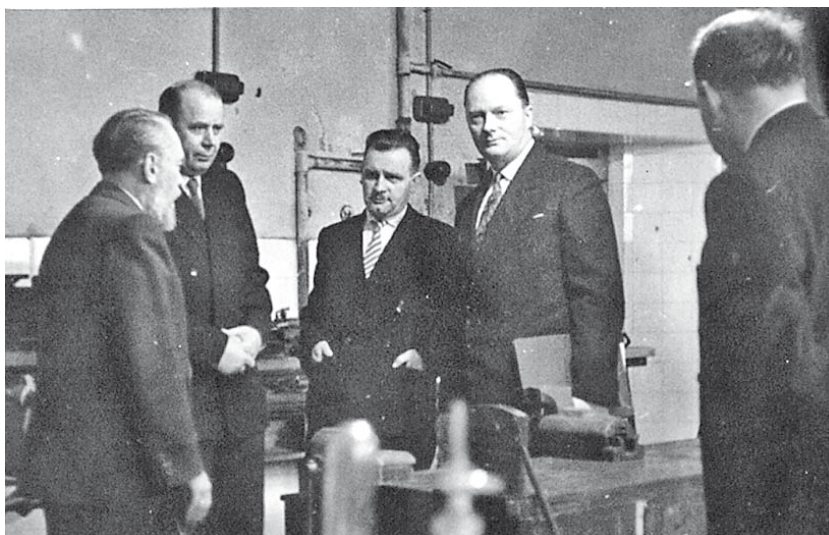


Prof. Jan Wesołowski, rok 1966 (fot. Z. Kletowski)

czących ciekłego selenu. Były to pierwsze na świecie systematyczne badania temperaturowej zależności gęstości, współczynnika lepkości i polaryzacji dielektrycznej ciekłego selenu. Były trudne eksperymentalnie z powodu aktywności chemicznej ciekłego selenu i jego dość znacznego przewodnictwa elektrycznego. Na ich podstawie wykluczono podaną przez Pelabon'a w 1921 r. hipotezę o istnieniu dwóch odmian ciekłego selenu.

Zafascynowany najnowszymi odkryciami fizyki jądrowej, które miały miejsce w latach 30-tych podjął współpracę ze światowej sławy fizykiem, profesorem Sorbony, Pierre Auger'em. Odbił, jako stypendysta Polskiej Akademii Umiejętności roczny staż (rok akademicki 1937/38) w Laboratoire de Chimie Physique, gdzie wraz z R. Mazeem i R. Baylaciem przygotowywał aparaturę do badań promieniowania kosmicznego. Aparatura ta została przewieziona do Polski i zamontowana pod ziemią w kopalni soli w Wieliczce jesienią 1938 r. Zamierzano zbadać stosunek natężeń składowej miękkiej i twardej promieniowania kosmicznego, rozkład kątowy oraz pęki powstające w otoczeniu i w ołowianych absorbentach. Pierwsze wyniki badań zostały przesłane prof. Auger'owi już w 1939 r. Do pomiarów wykorzystywano układy liczników Geigera-Müllera pracujących w koincydencji. W owym czasie w literaturze światowej opublikowano zaledwie kilka prac z takimi układami. W Polsce były to pionierskie badania zarówno, jeśli chodzi o metodę, jak i przedmiot. Niestety, aparatura została przez Niemców zniszczona w pierwszym tygodniu okupacji. W czasie okupacji Jan Wesołowski brał udział w pracach tajnego Uniwersytetu Jagiellońskiego. Prowadził wykłady oraz zajęcia laboratoryjne dla studentów Wydziału Rolnego i Filozoficznego Uniwersytetu. Dla prasy podziemnej prowadził nasłuch audycji nadawanych w języku francuskim i angielskim przez BBC oraz w rosyjskim i polskim przez radio moskiewskie. W 1943 r. przystąpił do egzaminu doktorskiego, który odbył się w warunkach konspiracyjnych w obecności promotora, prof. Konstantego Zakrzewskiego, prof. Jana Weysenhoffa, fizyka teoretyka oraz fizykochemika prof. Bogdana Kamińskiego. Rozprawa doktorska nosiła tytuł *Über die dielektrische Polarisation des flüssigen Selens*. Promocja doktorska odbyła się już po wojnie w 1946 r.

Wkrótce po zakończeniu wojny Jan Wesołowski uruchomił nową aparaturę do badania promieniowania kosmicznego, zmontowaną z zapasowych elementów wyniesionych z Zakładu Fizyki przed zajęciem go przez Niemców. Działała już w roku 1947, gdy w Krakowie odbywała się Międzynarodowa Sesja Promie-



Pracownia fizyki przy ul. Luboszyckiej (przerobiona z łaźni). Prof. Jan Wesołowski oprowadza delegację Ministerstwa Szkolnictwa Wyższego

niowania Kosmicznego, której dr Jan Wesołowski był jednym z głównych organizatorów. Miał stanąć na czele grupy pracowników UJ powstałej w ramach utworzonej przez PAU Stacji Promieniowania Kosmicznego w salinach w Wieliczce. Opracował wtedy nowy typ stabilizatora wysokiego napięcia oraz wspólnie z Bolesławem Makiejem, specjalny układ gaszący dla liczników Geigera-Müllera, które miały znaleźć zastosowanie w aparaturze do badań promieniowania kosmicznego.

Jednak z powodu trudnych warunków mieszkaniowych w Krakowie Jan Wesołowski przyjął w 1948 r. propozycję pracy we Wrocławiu na Uniwersytecie i Politechnice, które stanowiły wtedy jeden twór organizacyjny. Jesienią 1948 r. objął obowiązki zastępcy profesora i kierownika III Katedry Fizyki Doświadczalnej”.

W czasie moich studiów popularny był tzw. wolontariat, czyli nieodpłatna praca u profesora, co pozwalało na bezpośredni, codzienny kontakt studenta z profesorem. Takim wolontariuszem byłem przez kilka miesięcy, do czasu, kiedy jako student IV roku zostałem zatrudniony, w charakterze zastępcy asystenta w III Katedrze Fizyki, której kierownikiem był prof. Jan Wesołowski. I Katedrą kierował prof. Stanisław Loria (1883–1958), a II Katedrą – prof. Jan Nikliborc (1902–1991). W tym czasie Profesor zapoznał mnie z aparaturą do budowy liczników Geigera-Müllera, metodą ich sprawdzania z wykorzystaniem oscyloskopu, metodą sporządzania charakterystyk i podstawowymi elementami budowy potrzebnej aparatury elektronicznej – od stabilizowanych zasilaczy wysokiego napięcia do układów koincydencyjnych i zliczających. Przypomnijmy, że tranzystor wynaleźli w latach 1948/49 J. Bardeen wraz z W.H. Brattainem i W. Shockleyem, a cała elektronika tamtych czasów opierała się na lampach elektronowych, w tym na lampach z niemieckiego demobilu wojskowego (wspominałem

o tym w referacie wygłoszonym na uroczystości z okazji nadania imienia profesora Jana Wesołowskiego jednej z sal w Instytucie Fizyki Uniwersytetu Wrocławskiego)¹.

Profesor Wesołowski był promotorem mojej pracy magisterskiej. Znając moje zamiłowanie do prac technicznych zaproponował temat: „Automatyzacja Komory Wilsona”.

Jednym z moich obowiązków, jako asystenta, były demonstracje do wykładów profesora Wesołowskiego z fizyki doświadczalnej. Wykłady profesora rozpoczynały się o 8.00 rano, a przygotowywaliśmy je razem poprzedniego dnia, po południu. Pomagał nam Jan Podniało, laborant, który był opiekunem sali zbiorów. Profesorowi zależało nie tylko na tym, żeby eksperyment się udał, ale żeby jeszcze był dobrze widoczny z wszystkich miejsc sali. Miał być elegancki, ciekawy i nietuzinkowy. Przygotowania trwały niekiedy do późnych godzin wieczornych, były to bowiem na ogół oryginalne doświadczenia profesora. Podziwialiśmy profesora za wytrwałość, mimo wielu nieudanych prób. Dobieraliśmy warunki doświadczenia tak długo, aż eksperyment został opanowany. Była to dla mnie szkoła cierpliwości i wyciągania wniosków z niepowodzeń. Profesor Wesołowski był mistrzem tak w sprawach dydaktycznych, jak i organizacyjnych. Potrafił zachęcać do pracy, sprawując przy tym dyskretną opiekę, służąc radą i doświadczeniem.

Niektóre zestawy trzeba było przygotowywać z wyprzedzeniem, a potrzebne elementy wykonywano w warsztatach pod kierunkiem wytrawnego mechanika – pana Frankowskiego, który podobnie jak pan Podniało przyjechał do Wrocławia z profesorem Loria, ze Lwowa. Demonstratorzy mieli obowiązek uczestniczenia w każdym wykładzie. Tym sposobem mogliśmy nie tylko wysłuchać kolejny raz wykładu, ale też zwrócić uwagę na interesujące szczegóły sposobu przekazu. Profesor był specjalistą w stwarzaniu sytuacji wciągających w wykład i jak najlepszy aktor potrafił wciągnąć widzów w akcję rozgrywaną na scenie.

Później, już po egzaminie magisterskim, przygotowywałem demonstracje do wykładów profesora Jana Nikliborca. Od niego też dużo się nauczyłem. Miałem przy okazji możliwość zauważyć, jak różne są sposoby przedstawienia studentom tych samych treści fizycznych i podejścia do roli pokazu-demonstracji. Nie było wtedy takiego przedmiotu jak metodyka fizyki, a metodyki fizyki w szkole wyższej w szczególności. Takie kilkuletnie terminowanie na wykładach i wspólne z



Pogrzeb Stanisława Półtoraka, rok 1962. Prof. Jan Wesołowski – drugi z prawej

profesorami przygotowywanie demonstracji było wielką okazją nauczenia się więcej, niż przewidywał tok studiów. Zdarzało się, że profesor zlecał mi prowadzić wykład w jego zastępstwie

Profesor Wesołowski wciągał nas młodych również w swoje doświadczenia z promieniowaniem kosmicznym. Budowaliśmy licznikowe układy koincydencyjne przedzielone grubymi warstwami ołowiu oraz teleskopy licznikowe do ustalenia kierunku, z którego to promieniowanie do nas dochodziło. Aparaturę zamontowaliśmy na strychu i na dachu obecnej Politechniki Wrocławskiej przy Wybrzeżu Wyspiańskiego – trzeba było tam doprowadzić dziesiątki metrów przewodów zasilających aparaturę w taki sposób, żeby z jednej strony nie przeszkadzały w normalnym funkcjonowaniu uczelni, a jednocześnie zapewniały nieprzerwane działanie przyrządów. Doświadczenia trwały nieprzerwanie kilka, a czasami kilkanaście dni, podczas których pełniliśmy dyżury polegające na sprawdzaniu w regularnych odstępach czasu stanu aparatury, odczytywaniu oraz zapisywaniu stanu mechanicznych liczników impulsów. Każdego popołudnia albo późnym wieczorem profesor przychodził i dowiadywał się od dyżurującego jak „leca” pomiary. Ale najciekawsze było opracowywanie wyników i ich interpretacja, kiedy nam pokazywał, jak z wyników pomiarów, suchych liczb, wydedukować potwierdzenie albo zaprzeczenie założonych tez eksperymentu.

W III Katedrze pracowali m.in. Bronisław Rozenfeld i Bogdan Sujak. Profesor Wesołowski miał zwyczaj zapraszać nas przed rozpoczęciem nowego roku akademickiego do swojego mieszkania, gdzie przy lampce wina opowiadaliśmy o naszych codziennych kłopotach i domowych sprawach. Może były to jego spóźnione urodziny? Była z nami jego żona Celina, z którą jako student miałem zajęcia w II pracowni. Takie spotkania umacniały więzi profesora z pracownikami. Zabierał nas na Zjazd Polskiego Towarzystwa Fizycznego i zapoznawał z czołowymi fizykami przedwojennymi, m.in. z Henrykiem Niewodniczańskim, Wojcie-

¹ „Nasz Uniwersytet”, Pismo Społeczności Uniwersytetu Wrocławskiego; nr 13, maj 1993, str. 7, Jan Heffner.

chem Rubinowiczem, Szczepanem Szczeniowskim, Arkadiuszem Piekarą.

Wobec dużego braku nauczycieli szkół średnich Ministerstwo Oświaty zdecydowało, żeby w roku akademickim 1950/51 otworzyć trzy Państwowe Wyższe Szkoły Pedagogiczne (PWSP): w Katowicach, Warszawie i we Wrocławiu.

Niezależnie od zajęć na uniwersytecie profesor Jan Wesołowski był jednym z organizatorów fizyki na wrocławskiej PWSP. Trudne warunki lokalowe utrudniały zajęcia tak pracownikom, jak i studentom. Propozycja stworzenia lepszych warunków przyszła z Opola. Na konferencji w kuratorium opolskim, 23 kwietnia 1954 r., omawiano sprawę ewentualnego przeniesienia PWSP z Wrocławia do Opola, a już w piśmie Ministerstwa Oświaty z 9 czerwca 1954 r. mówi się o nowo organizowanej szkole w Opolu – Wyższej Szkole Pedagogicznej, która rozpoczęła pracę 1 września 1954 roku.²

Profesor Wesołowski zaproponował mi prowadzenie w Opolu wykładów z fizyki doświadczalnej. Tu przydały mi się zdobyte wcześniej, wrocławskie doświadczenia. Przez rok dojeżdżałem do Opola z Wrocławia. W następnym roku, za namową profesora przeniosłem się do Opola, gdzie otrzymałem przydział na mieszkanie, w którym do dzisiaj mieszkam.

W Opolu, oprócz zajęć dydaktycznych, profesor przewidział dla mnie wiele innych obowiązków związanych z budową i rozbudową pracowni dydaktycznych oraz współprojektowanie nowej siedziby Katedry Fizyki w budującym się gmachu uczelni przy ulicy Oleskiej. Przeprowadziliśmy się do niej w roku akademickim 1960/61. Do tego czasu Katedra Fizyki miała swoją siedzibę w zaadaptowanym budynku Liceum Pedagogicznego przy ulicy Luboszyckiej.

Profesor przyjeżdżał do Opola pociągiem w środe wczesnym popołudniem, a wracał w czwartek wieczorem. W środe odbywały się zebrania katedry, na których omawiano bieżące sprawy dydaktyczne oraz organizacyjne i każdy „spowiadał się” z tego, co zrobił w ostatnim tygodniu.

W nowo organizowanych pracowniach brakowało podstawowego wyposażenia. Wszystko należało kupować albo zlecać do wykonania. Sporo czasu zabierało nam przekonywanie urzędników administracji uczelni o potrzebie zakupu jakiegoś urządzenia albo aparatury. Przekonać należało zwłaszcza kwestora Józefa Polusa, który przyszedł do WSP z placówki przemysłowej – i takimi, „przemysłowymi”, kategoriami myślał.

² „Dwudziestolecie WSP w Opolu 1950–1970”; J. Heffner: „Działalność Wydziału Matematyki, Fizyki i Chemii”.



Przedświąteczne zebranie Katedry Fizyki WSP w Opolu, grudzień 1957 r. Na zdjęciu (od lewej): Bogusław Jackowski, Zbigniew Sidorski, Aleksander Smółka, Jan Wesołowski, Ignacy Stępniewski, Mieczysław Piróg, Stanisław Kolbuszewski (rektor), Wojciech Dindorf, Alfons Miliszkievicz, Rościśław Oniszczuk (dziekan), Jan Heffner (ze zlewka) i Ignacy Bójko

W Opolu profesor zajmował się nie tylko organizacją dydaktyki. Kontynuował prace naukowo-badawcze dotyczące promieniowania kosmicznego. Założył stację ciągłych, systematycznych pomiarów skażeń promieniotwórczych otoczenia. Zainicjował też badania elektroluminescencji oraz metodę badawczą związaną z zastosowaniem anihilacji pozytonów do badania struktury elektronowej ciał stałych i cieczy. Metoda ta, popularna obecnie w świecie, jest teraz poza Wrocławiem i Opolem stosowana przez ośrodki naukowe na uczelniach w Częstochowie, Katowicach, Krakowie i Lublinie.

Zebrania katedry często przybierały formę spotkań towarzyskich – z okazji urodzin, imienin, „śledzika”, andrzejek... Na jednej z fotografii, z końca lat pięćdziesiątych, wykonanej podczas takiego spotkania właśnie, widać dyskutujących profesora oraz Zbigniewa Sidorskiego. Działo się to jeszcze w pierwszej siedzibie uczelni, przy ulicy Luboszyckiej. Profesor był gorącym zwolennikiem organizowania takich rodzinnych, wiążących pracowników spotkań. A co najmniej raz w roku odbywały się plenerowe „zebrania katedry”. Jedno takie – pamiętam jak dzisiaj – odbyło się w upalną środę, kiedy to wybraliśmy się na rowerach do Turawy. Po omówieniu koniecznych spraw profesor rzucił hasło: „do wody!”. Wypłynął na wznak daleko od brzegu i widać było tylko wystającą ponad wodę jego charakterystyczną bródkę. Zadowoleni wracaliśmy późnym wieczorem do Opola.

Był z naszą katedrą nie tylko w chwilach dobrych. Przyjechał, nie bacząc na zajęcia we Wrocławiu, na pogrzeb mechanika Stanisława Półtoraka, który uległ śmiertelnemu wypadkowi wiosną 1962 r. Z tej smutnej uroczystości zachowała się fotografia.

Dojeżdżał do Opola jeszcze w 1962 roku, kiedy to oświadczył, że jest już tymi dojazdami zmęczony i że dorosiliśmy do samodzielnego radzenia sobie. Od tego czasu my dojeżdżaliśmy do niego, do Wrocławia, niektórzy praktycznie co tydzień. Ale nie było już jak dawniej, mimo że przez długi czas zachowały się wprowadzone przez niego tradycje.

Był aktywny nie tylko jako etatowy pracownik Uniwersytetu Wrocławskiego i opolskiej WSP.

W 1957 roku razem z prof. Stefanem Gumińskim i aktorem Zbigniewem Nowosadem założył Klub Inteligencji Katolickiej we Wrocławiu. Z innych funkcji pełnionych przez prof. Jana Wesołowskiego wymienić należy członkostwo w Radzie Naukowej Międzywydziałowego Instytutu Fizyki Politechniki Gdańskiej i w Komisji Rady Głównej Szkolnictwa Wyższego ds. Wyższych Szkół Pedagogicznych (od 1957 do 1967 r.). Był także przewodniczącym Zespołu Rzeczoznawców w zakresie fizyki dla Zakładów Kształcenia Nauczycieli, podległych ówczesnemu ministrowi oświaty.

W 1966 r. wystąpił z inicjatywą zorganizowania pierwszego Seminarium Anihilacji Pozytonów, które

odbyło się w schronisku na Stogu Izerskim. Wzięli w nim udział pracownicy naukowcy i studenci, z Uniwersytetu Wrocławskiego i opolskiej WSP. W seminariach, organizowanych potem już regularnie, brali udział fizycy z różnych krajów zajmujący się tym tematem.

Pod opieką profesora wykonano w Opolu i Wrocławiu ok. 300 prac magisterskich z fizyki, był promotorem 11 prac doktorskich oraz recenzentem 16 rozpraw doktorskich i 5 habilitacyjnych. Wielu uczniów profesora zajmuje lub zajmowało stanowiska samodzielnych pracowników nauki.

Był odznaczony medalem X-lecia PRL, Złotym Krzyżem Zasługi, Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski, Odznaką Budowniczego Wrocławia, Medalem Komisji Edukacji Narodowej. Nie tylko jednej z sal we wrocławskim Instytucie Fizyki – jak wyżej wspomniałem – ale także ulicy we Wrocławiu (od strony wyjazdu w kierunku Opola) nadano imię profesora Jana Wesołowskiego.

Zmarł we Wrocławiu w piątek, 19 marca 1982 r.

Pamiętam go jako świetnego fizyka, mądrego, pracowitego, niezwykle skromnego i życzliwego człowieka, któremu wiele zawdzięcza fizyka polska, wrocławska, opolska. I ja.

Jan Heffner

Biologia nocą

Jak czują, widzą, słyszą i... smakują owady, jak zbudowane są pióra ptaków i ich gniazda, jak wyglądał polski Jurassic Park, dlaczego kichamy i skąd bierze się czkawka? Na te i inne pytania poszukiwano odpowiedzi 9 stycznia br. podczas Nocy Biologów, zorganizowanej przez Katedrę Biosystematyki w gmachu Uniwersytetu Opolskiego przy ul. Oleskiej.

Na uczniów szkół podstawowych, gimnazjalistów i licealistów tego popołudnia czekały otwarte laboratoria i sale wykładowe. W świat owadów, także za pomocą mikroskopów, wprowadzała ich **dr Anna Kocorek**. Ptasie tajemnice zdradzał **dr Grzegorz Hebda**, a „prawdziwe kości zwierząt z Krasiejowa”, na warsztatach paleontologicznych, pokazywali **Klaudia Kardynał** i **Piotr Janecki**. **Aldona Gizińska** i **Adam Miodek** podpowiadali, jak posługiwać się mikroskopem, aby zaobserwować „niezwykle zjawisko plazmolizy kapturowej”.

Na trudne pytania o funkcjonowaniu naszego organizmu próbowała odpowiadać dr Joanna Czaja, podczas wykładu pt. „Biologia w praktyce”, o ciekawostkach ze świata muchówek opowiadały **Katarzyna Pochrzast** i **Izabela Ryczko** (wykład pt. „Mucha nie

siada”), a **Magdalena Cielniak** – o zwyczajach susłów. Smokom, diabłom i „źmijom zaklętym w kamień” poświęciła swój wykład **dr hab. Elena Jagt-Yazykowa**, **prof. UO**, **dr hab. Adam Bodzioch**, **prof. UO** skupił się na historii smoka wawelskiego, „seryjnym zabójcom w świecie roślin” oraz symbiozie roślin z innymi organizmami przyglądała się **dr Anna Wilczek**, a do świata grzybów zapraszała **Katarzyna Górka**.

Nie zabrakło i zajęć z pogranicza kryminalistyki. Uczestnicy zajęć w laboratorium dostali takie oto zadanie: „W roku 2010 miała miejsce zbrodnia. Od ofiary dr X oraz od podejrzanych pracowników uczelni pobrano próbki DNA ze śladów biologicznych z miejsca zbrodni. Po uprzedniej izolacji, amplifikacji oraz restrykcji próbek DNA zebranych w czasie dochodzenia pozostała do przeprowadzenia jego analiza elektroforetyczna. Dzięki analizie, w oparciu o różnicę profilu genetycznego, dowiemy się, który z pracowników popełnił zbrodnię”. Uczestnicy tych zajęć szukali przestępcy pod czujnym okiem **Aleksandry Rakowieckiej**. (b)

Zdjęcia z Nocy Biologów – na str. 116

Prof. dr hab. inż. Zygmunt Strzyszc

(1933–2015)

Prof. Zygmunt Strzyszc urodził się 25 kwietnia 1933 roku w Rudzie Śląskiej. Był absolwentem Wydziału Gleboznawstwa i Chemii Rolnej Akademii Rolniczej im. K. Timiriazewa w Moskwie, który ukończył z wyróżnieniem w 1957 roku jako magister inżynier rolnictwa ze specjalizacją gleboznawstwo i agrochemia. Swoje pierwsze doświadczenie zawodowe zdobywał w Wojewódzkiej Stacji Chemiczno-Rolniczej w Gliwicach, gdzie w latach 1957–1961 pełnił funkcję kierownika laboratorium analizy chemicznej gleby. W 1961 r. rozpoczął pracę w Instytucie Podstaw Inżynierii Środowiska Polskiej Akademii Nauk (IPIŚ PAN) w Zabrze jako starszy inżynier laboratoryjny – wspinając się na coraz wyższe szczeble kariery zawodowej, przepracował w nim 52 lata. W 1967 r., na Wydziale Rolniczym Akademii Rolniczej w Krakowie, uzyskał stopień doktora nauk rolniczych w zakresie gleboznawstwa na podstawie rozprawy *Ocena przydatności do rekultywacji terenów po eksploatacji piasku podsadzkowego w oparciu o studia gleboznawcze i hydrochemiczne*, a w 1978 r. stopień naukowy doktora habilitowanego w zakresie gleboznawstwa i rekultywacji terenów przemysłowych na podstawie rozprawy habilitacyjnej *Chemiczne przemiany utworów karbońskich w aspekcie biologicz-*

nej rekultywacji i zagospodarowania centralnych zwałowisk. Profesor swoją wiedzę i doświadczenie poszerzał podczas odbytych staży naukowo-badawczych w Niemczech, m.in. na Uniwersytecie Humboldta w Berlinie w 1969 oraz jako stypendysta DAAD w Instytucie Gleboznawstwa Uniwersytetu w Bonn (1974) i w Instytucie Nauk o Ziemi Uniwersytetu w Getyndze (1979). W tym ostatnim instytucie gościł Profesor jeszcze kilkakrotnie, aż do 1994 roku w ramach stypendiów DAAD.

Uzyskane stopnie naukowe umożliwiły kolejne awanse zawodowe: w 1968 roku na stanowisko adiunkta, a w 1979 r. na stanowisko docenta, na którym pozostawał do momentu nadania przez Radę Państwa tytułu profesora nadzwyczajnego w 1986 roku. W 1993 r. z rąk ówczesnego ministra edukacji narodowej otrzymał tytuł naukowy profesora zwyczajnego. W latach 1971–2012 pełnił funkcję kierownika Zakładu Rekultywacji Terenów Przemysłowych IPIŚ PAN, z przerwą w latach 1975–1981, kiedy był zastępcą dyrektora ds. ogólnych IPIŚ PAN i w latach 1986–1995, kiedy pracował na stanowisku kierownika Zespołu Badawczego IPIŚ PAN. Dodatkowo, w latach 1987–1996 Profesor podjął trud kształcenia kadry naukowej, pełniąc funkcję kierownika Katedry Gleboznawstwa i Rekultywacji na Uniwersytecie Opolskim (początkowo w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Opolu). W tym czasie wypromował 13 magistrów, a od 1982 roku był promotorem 7 rozpraw doktorskich. Spośród wypromowanych doktorów troje uzyskało stopień doktora habilitowanego. Działalność dydaktyczna Profesora nie ograniczała się jednak tylko do kraju. W 1992 r. przez 2 miesiące pracował jako tzw. profesor wizytujący w Instytucie Ekologii Lądowej Politechniki Federalnej (ETH) w Zurychu w Szwajcarii, a na przełomie 1996/97 r. przez 6 miesięcy – w Katedrze Gleb i Rekultywacji Uniwersytetu Technicznego w Cottbus.

Główne zainteresowania naukowe Profesora Zygmunta Strzyszcza obejmowały technogenne przekształcenia powierzchni ziemi, ich skutki ekologiczne, ekonomiczne, społeczne i technologie naprawy. Profesor dużą wagę przywiązywał do poznania właściwości granulometrycznych, fizycznych, chemicznych i petrograficzno-mineralnych utworów nadkładu kopalń węgla brunatnego, kopalń węgla kamiennego, rud cynku, ołowiu oraz żelaza w układzie stratygraficznym, a także prognozowania zmian właściwości fizykochemicznych tych utworów w procesie ich zwałowa-



Prof. Zygmunt Strzyszc

nia. Badania w tym zakresie pozwoliły na opracowanie biologicznej rekultywacji tzw. metodą bezglebową, którą Profesor wdrażał na zwałowiskach i wyrobiskach różnego typu i pochodzenia w ramach projektów i ekspertyz wykonywanych na zlecenie różnych podmiotów gospodarczych. Metoda ta była jedną z najbardziej nowatorskich technologii rekultywacji terenów przekształconych w Europie, wykorzystywano tu wiedzę o właściwościach gruntu (zdeponowanych odpadów), które po wzbogaceniu w niezbędne składniki pokarmowe stawały się przydatne do wprowadzenia roślin drzewiastych i krzewów bez konieczności nawożenia warstwy urodzajnej – gleby. Technologia ta stosowana jest do dnia dzisiejszego w rekultywacji zwałowisk powstałych po eksploatacji węgla kamiennego.

Jednak największym osiągnięciem Profesora było zainicjowanie, na początku lat dziewięćdziesiątych XX wieku, badań nad wpływem depozycji zanieczyszczeń pyłowych na własności magnetyczne gleby, początkowo na terenie Górnośląskiego Okręgu Przemysłowego, gdzie w latach 1980–1989 rokrocznie notowano najwyższy w kraju opad pyłów miejsko-przemysłowych. Pierwsze badania wykonywane były na mierniku podatności magnetycznej skonstruowanym w zakładzie kierowanym przez Profesora, przy współpracy z naukowcami niemieckimi. Profesor Strzyszczy wykazał związek depozycji pyłowych z zanieczyszczeniem gleb metalami ciężkimi, co stało się podstawą opracowania zasad magnetometrii glebowej i wykorzystania technogenicznych cząstek magnetycznych jako wskaźnika zanieczyszczenia gleb. W kolejnych latach badania podatności magnetycznej gleb (głównie leśnych) objęły swym zasięgiem cały kraj, czego efektem były liczne publikacje oraz mapy podatności magnetycznej gleb różnych obszarów, a nawet całej Polski (*Podatność magnetyczna gleb Polski. Atlas*, PIG Warszawa, 2002) i Saksonii. W wyniku nawiązania współpracy międzynarodowej, zdobyte zostały środki na kontynuowanie badań metodą magnetometrii glebowej w ramach projektu Unii Europejskiej pt. „Screening i monitoring zanieczyszczeń środowiska pochodzenia antropogenicznego na terenie centralnej Europy przy użyciu metod magnetycznych” (MAGPROX), obejmujących obszary przygraniczne pomiędzy Polską, Słowacją, Czechami i Niemcami, a także pomiędzy Niemcami, Czechami, Słowacją i Austrią. Efektem badań było powstanie mapy podatności magnetycznej gleb znacznych obszarów Europy Środkowej oraz patent DE 101 21 137 C 2: Przygotowanie i prowadzenie pomiarów fizycznych parametrów gleby i osadów – miernik SM 400. Obecnie metoda magnetometrii glebowej zainicjowana przez Profesora Strzyszczy w 1988 roku wykorzystywana jest na różną skalę w prawie trzydziestu krajach na świecie jako metoda wstępnego rozpoznania terenu, wyprzedzająca badania geochemiczne lub w połączeniu z nimi.

Prof. Zygmunt Strzyszczy pozostawił po sobie bogaty dorobek naukowy. Jest autorem lub współautorem

około 240 prac naukowo-badawczych napisanych w języku polskim, angielskim lub niemieckim, cytowanych prawie 500 razy w ponad 30 krajach na świecie. W skład tego bogatego dorobku naukowego wchodzi nie tylko publikacje w polskich i zagranicznych czasopiśmie, ale także 7 monografii oraz liczne rozdziały w monografiach. Wszystkie te publikacje nie mogłyby powstać, gdyby nie wyniki badań uzyskane w czasie realizacji projektów naukowo-badawczych i badawczo-rozwojowych, krajowych (9) i międzynarodowych (7), w których Profesor był kierownikiem lub głównym wykonawcą. Jako aktywny i ceniony naukowiec był organizatorem konferencji, redaktorem, recenzentem i ekspertem, którego opinia była brana pod uwagę przez decydentów na różnych szczeblach i w różnych obszarach działalności związanych z gleboznawstwem, rekultywacją gleb, a także z ochroną środowiska.

Był członkiem, często przez kilka kadencji, wielu rad naukowych: Instytutu Podstaw Inżynierii Środowiska PAN, Międzynarodowego Centrum Ekologii PAN, członkiem Sekcji Inżynierii Materiałowej, Metalurgii i Ochrony Środowiska Zespołu Nauk Technicznych, Komisji Badań Podstawowych KBN, Komisji Ochrony Środowiska i Utylizacji Odpadów Oddziału PAN w Katowicach, Komitetu Melioracji i Inżynierii Środowiska Rolniczego PAN, Komisji Rolnictwa O/PAN, Komitetu Założycielskiego Instytutu Formowania Krajobrazu na Terenach Górniczych przy Ministerstwie Wyżywienia, Rolnictwa i Leśnictwa Brandenburgii (RFN), Polskiego Towarzystwa Gleboznawczego, a także zagranicznym członkiem korespondentem Niemieckiego Towarzystwa Gleboznawczego (Deutschen Bodenkundlichen Gesellschaft).

Zasługi i osiągnięcia Profesora zostały uhonorowane w formie nagród i wyróżnień, m.in. Nagrody Indywidualnej Sekretarza Naukowego PAN za pracę habilitacyjną oraz za prace zespołowe: *Rekultywacja leśna zwałowisk górniczych* i *Rekultywacja zwałowisk kopalni węgla brunatnego „Konin”*, a także odznaczeń: Srebrnego Krzyża Zasługi (1971), Krzyża Kawalerskiego OOP (1977), Złotej Odznaki Zasłużonemu w Rozwoju Woj. Katowickiego (1978), Odznaki Honorowej za Zasługi dla Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej (2010) oraz Medalu Prezydenta RP za Długoletnią Służbę (2011).

Profesor Zygmunt Strzyszczy zmarł 9 stycznia 2015 roku w Zabrze. W pamięci pozostanie jako uczony o wysokim autorytecie, niestrudzony propagator nauki oraz wybitny specjalista w dziedzinie gleboznawstwa i rekultywacji terenów przemysłowych.

**Marzena Ferdyn
Tadeusz Magiera
Grzegorz Kusza**

Uczelnia kołem się toczy



Forum Studenckiego Ruchu Naukowego reprezentuje wszystkie koła naukowe zarejestrowane na Uniwersytecie Opolskim. Baza liczy blisko 60 zarejestrowanych kół naukowych, które działają na wydziałach Uniwersytetu Opolskiego.

Okazją do lepszego poznania kół naukowych jest organizowana Gala Młodego Naukowca, która odbędzie się w tym roku 3 marca w Studenckim Centrum Kultury.

Każde koło naukowe jest jedyne w swoim rodzaju i nie sposób opisać ich tylko jednym krótkim zdaniem, dlatego na początku prezentujemy pięć losowo wybranych kół naukowych, które mogą poszczycić się bogatym dorobkiem naukowym.

Regina Brzózka
przewodnicząca FSRN

Koło Naukowe Gospodarki Przestrzennej działa przy Katedrze Geografii Ekonomicznej i Gospodarki Przestrzennej Wydziału Ekonomicznego Uniwersytetu Opolskiego. Już od samego początku swojej działalności podejmuje ambitne wyzwania. Pierwszym zadaniem, z którym zmierzli się członkowie koła, było podjęcie współpracy ze Starostwem Powiatu i dyrekcją Zespołu Szkół Ogólnokształcących w Głubczycach, w ramach której powstała koncepcja zagospodarowania terenu liceum. Opracowanie projektu zostało poprzedzone przeprowadzeniem inwentaryzacji urbanistycznej oraz badań ankietowych, a jednym z efektów pracy było sporządzenie trójwymiarowego modelu makiety,

która przedstawiała uproszczoną propozycję zagospodarowania obszaru wraz z ukształtowaniem jego terenu. Kolejnym dużym projektem, w który angażują się studenci, są rozpoczęte w 2014 r. prace nad stworzeniem koncepcji zagospodarowania centralnej części wsi Zielęcice przy współpracy z tamtejszym sołectwem. Inicjatywa cieszy się dużym zainteresowaniem mieszkańców wsi, którzy aktywnie uczestniczyli w dwukrotnie przeprowadzonych konsultacjach społecznych.

Aktualnie koło podjęło się projektu realizowanego pod hasłem „Przestrzenie w sieci – projekt systemu powiązań przestrzeni publicznych Opola”. To próba zwrócenia uwagi na istotę systemowego podejścia



Spotkanie International – President Meeting and FutureLab w Szwajcarii z udziałem członków Studenckiego Koła Naukowego Zrównoważonego Rozwoju oikos Opole

do kształtowania przestrzeni publicznych. Jako studium przypadku posłuży Opole, które stanowi ośrodek życia akademickiego studentów koła. Pierwszym etapem było przeprowadzenie w grudniu 2014 r. Debaty Studenckiej „Tędy droga(?)”. Była to IV debata z cyklu „Gospodarka Przestrzenna – Twórzmy Dziś Przestrzeń Jutra”, której celem było poddanie do dyskusji proponowanych metod i narzędzi badawczych.

Daria Ignasiak
wiceprzewodnicząca KNGP

Studenckie Koło Naukowe Zrównoważonego Rozwoju oikos Opole jest jedynym kołem naukowym na Uniwersytecie Opolskim wchodzącym w skład międzynarodowej organizacji. Od 2009 roku stanowi polski oddział organizacji studenckiej działającej na rzecz zrównoważonego rozwoju oikos International, w której status pełnoprawnego członkostwa w uzyskało w 2014 roku.

W dniach 7–11 listopada 2014 w Sankt Gallen (Szwajcaria) odbyło się coroczne spotkanie reprezentantów wszystkich oddziałów międzynarodowej organizacji oikos International – President Meeting and FutureLab. Od kilku lat członkowie koła biorą udział w tym wydarzeniu. W bieżącym roku, wraz ze 130 uczestnikami z 19 krajów, z czterech kontynentów, przyczynili się do realizacji celu spotkania, czyli rozwijania umiejętności przywódczych uczestników, lepszego poznania zagadnień związanych ze zrównoważonym rozwojem oraz struktury organizacyjnej i zakresu działania oikos International.

Zeszłoroczny FutureLab przeprowadzony pod hasłem „Building the Bridge for Sustainability in Eco-

nomics & Management” stanowił doskonałą okazję do inspirowania, odkrywania i rozwijania wspólnych perspektyw zrównoważonego rozwoju w zarządzaniu i ekonomii. Tematami grup dyskusyjnych, do których mogli dołączyć uczestnicy, były m.in. zarządzanie, finanse, przywództwo, energia; a nad przebiegiem dyskusji czuwali eksperci z danych dziedzin, w tym wykładowcy naszej uczelni oraz przedstawiciele firm (m.in. „Premium-Cola”). Członkowie koła wykorzystali okazję do międzynarodowej wymiany doświadczeń związanych z realizacją projektów w obszarze zrównoważonego rozwoju. Ponadto nawiązanie nowych znajomości z osobami z różnych części świata pozwoliło przedstawicielom koła poszerzyć umiejętności językowe, poznać nowe kultury i związane z nimi odmienne, ale typowe dla innych regionów podejście do zarządzania, ekonomii i zrównoważonego rozwoju.

Dorota Forys
prezes SKNZR oikos Opole

Koło Naukowe Medycyny Sądowej Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Opolskiego, chcąc przybliżyć idee nauk sądowych, w szczególności tematyki związanej z kryminalistyką, medycyną sądową oraz postępowaniem karnym, postanowiło wraz z Europejskim Stowarzyszeniem Studentów Prawa EL-SA Opole, organizować cykliczne Ogólnopolskie Dni Nauk Sądowych.

I edycja tego wydarzenia odbyła się w dniach 26 – 27 marca 2014 roku. Mogli w nim wziąć udział nie tylko studenci prawa, administracji, bezpieczeństwa wewnętrznego oraz kierunków przyrodniczych uczel-



Studenci Koła Naukowego Medycyny Sądowej Wydziału Prawa i Administracji UO przy pracy



Zespół Studenckiej Telewizji UO „SETA”

ni w całej Polsce, ale także wszystkie osoby zainteresowane tą tematyką. W ciągu tych dwu dni odbyły się m.in. spotkania z funkcjonariuszami policji, prokuratorami, sędziami, adwokatami, naszym gościem był także prywatny detektyw. Największe zainteresowanie wzbudziła symulacja oględzin miejsca zdarzenia i ujawnienia zwłok, podczas której zgromadzono materiał dowodowy stanowiący podstawę przeprowadzonej przez studentów – pod czujnym okiem wykładowców, będących praktykami – symulacji rozprawy karnej.

Ważnym wydarzeniem była ogólnopolska studencka konferencja naukowa „Medycyna sądowa w postępowaniu karnym”, podczas której studenci z całej Polski zaprezentowali ważne aspekty pracy biegłego medyka sądowego, a także wykorzystanie nowych technologii w kryminalistyce, przybliżyli też zagadnienia prawne z zakresu tej nauki.

Podsumowaniem całego wydarzenia była projekcja filmu „Sęp” w reżyserii Eugeniusza Korina, po której odbyła się dyskusja z policjantami pionu kryminalnego będącymi w czynnej służbie.

Ruszyły przygotowania do kolejnej, drugiej już edycji Ogólnopolskich Dni Nauk Sądowych. Członkowie koła mają nadzieję, że będą cieszyły się tak dużym zainteresowaniem jak I edycja i zapraszają do uczestnictwa. Szczegóły już niedługo!

Kinga Jerczyńska
członek KNMS

Studencka Telewizja Uniwersytetu Opolskiego działa przy Collegium Civitas UO od stycznia 2011 roku. Jej jedynym pracownikiem i specjalistą ds. technicznych jest Piotr Sokołowski. Skład SetaTV

w czerwcu 2013 r. znacznie się pomniejszył – niemal wszyscy członkowie redakcji, m.in. z powodu ukończenia studiów, opuścili Studencką Telewizję. Działalność tego zespołu opierała się głównie na serwisach informacyjnych, które z powodów braku odpowiedniej liczby rąk do pracy nie były wydawane regularnie. Rok akademicki 2013/2014 przyniósł ogromne zmiany. Stanowisko naczelnej objęła Anna Tomczak i wraz z nowym zarządem podjęła się reaktywacji telewizji. Po roku działalność Studenckiej Telewizji Seta została zauważona i doceniona w ogólnopolskim konkursie ProJuvenes organizowanym przez Parlament Studentów RP. Dziś SetaTV działa prężnie pod kierownictwem Sabiny Baraniewicz. Uczestniczy we wszystkich najważniejszych wydarzeniach Uniwersytetu Opolskiego, wszelkich inicjatywach studenckich, a ostatnio również w tych istotnych dla Opola. Studencka Telewizja Uniwersytetu Opolskiego oferuje w swej ramówce nie tylko serwisy informacyjne i autorskie programy – coraz częściej goszczą w niej również transmisje na żywo, co podkreśla doskonały poziom dziennikarskich i technicznych umiejętności członków redakcji SetaTV. Gdy coś istotnego dzieje się na naszym akademickim podwórku, naszej telewizji nie może wtedy zabraknąć!

Sabina Baraniewicz
redaktor naczelna

Początek nowego roku sprzyja podsumowaniom. Tak jest również w przypadku **Studenckiego Archeologicznego Koła Naukowego** działającego przy Instytucie Historii UO, którego opiekunem jest dr Magdalena Przysiężna-Pizarska, a przewodniczącą – Aleksandra Morawiak.

Wakacje. Lipcowy żar łał się z rosyjskiego nieba. My, członkowie SAKN (a zarazem studenci Instytutu Historii UO), dzielnie eksplorowaliśmy tereny Staraya Russy koło Nowogrodu Wielkiego we współpracy z Państwowym Uniwersytetem Nowogrodzkim im. Jarosława Mądryego. Byliśmy pełni zapału, bo wierzymy, że nasza praca przyczyni się do zapalenia białych płam w dziejach ludzkości. Zostaliśmy za to nagrodzeni widokiem chaty zachowanej przez czas, do tej pory ukrytej przed ludzkimi oczami w największym archiwum – ziemi. Cieszyło nas bogactwo stanowiska: widok wydobywanych monet, fragmentów tkanin, obuwia, bursztynowe paciorki, naczynia, przybory związane z przędzeniem, a także fragmenty ceramiki, luczywka, miotły czy kora brzoza, dająca wielkie pole wyobraźni, bo mogła posłużyć za materiał piśmienniczy. Trafiły się także przedmioty ze srebra: bogato zdobiony pierścień i srebrna oprawa zapewne skrzyneczki służącej do przetrzymywania ikony. To nie jedyne prace archeologiczne poza naszym krajem, w którym stowarzyszeni w SAKN brali udział. Dzięki umowie Instytutu Historii UO i Instytutu Archeologii Republiki Czeskiej w Pradze uczestniczyliśmy w badaniach wykopaliskowych na stanowisku w dawnych Nesvěticach w Republice Czeskiej. Prowadzone prace inwestycyjne związane z działalnością kopalni węgla brunatnego zagrażają wielowarstwowemu cmentarzysku wczesnośredniowiecznemu. Podczas prac ratowniczych odkryliśmy kilka-

dziesiąt pochówków szkieletowych oraz kabłączki skroniowe, zausznice, kolczyki, paciorki. Braliśmy udział w kilkumiesięcznych badaniach archeologicznych prowadzonych w Byczynie (pow. Kluczbork). W zachodniej części placu przy kościele pw. św. Mikołaja wyeksplorowano 456 pochówków szkieletowych, które ułożone były głównie na osi wschód-zachód, w pozycji wyprostowanej na wznak, z rękami ułożonymi wzdłuż ciała. Warto wspomnieć o należącym do pochówków wyposażeniu w postaci kabłączków skroniowych z XI/XII w., diademików, plecionych bransoletek z XV/XVI stulecia, monetach, sprzączek od pasa, paciorków, szpilek, trumiennych uchwytów, fragmentów ceramiki. Przed ratuszem natomiast odkryto pozostałości zabudowy średniowiecznej i nowożytnej związanej z sukienicami i domem studni.

SAKN zajmowało się także krzewieniem wiedzy historycznej poprzez przeprowadzanie warsztatów archeologiczno-historycznych w szkołach, muzeach, szpitalach. Zajmowało się też rekonstrukcją kultury dawnej. Nie sposób wymienić w krótkiej notce wszystkich inicjatyw koła. Zainteresowanych odsyłam do bloga SAKN powstałego w 2014 r.: <http://saknuo.blogspot.com/>.

Aleksandra Morawiak
przewodnicząca SAKN



Członkowie Studenckiego Archeologicznego Koła Naukowego we własnoręcznie zrekonstruowanych strojach średniowiecznych (fot. Aleksandra Gałka)

Inauguracja kampanii na Uniwersytecie Opolskim

„Nie daj się zrobić w słupa”

26 listopada ub. roku w Auli Błękitnej Collegium Maius odbyło się spotkanie naukowe inaugurujące Ogólnopolską Kampanię Społeczną „Nie daj się zrobić w słupa”, podczas którego przedstawiono najistotniejsze aspekty oszustw karuzelowych. Współgospodarzami spotkania był Zakład Prawa Finansowego WPiA UO oraz Urzędy Kontroli Skarbowej w Opolu, Kielcach, Katowicach oraz Olsztynie.

Honorowy patronat nad spotkaniem objęło Ministerstwo Finansów i prezydent Opola, patronat naukowy – Wydział Prawa i Administracji Uniwersytetu Opolskiego, a patronat medialny – Polskie Radio Opole oraz Polskie Radio Katowice. W spotkaniu wzięło udział ok. 170 osób, a wśród zaproszonych gości znaleźli się sędziowie sądów administracyjnych, sądów okręgowych, prokuratur, pracownicy organów podatkowych, organów kontroli skarbowej oraz organów ścigania, a także przedstawiciele RIO, doradców podatkowych i adwokatów. Ze względu na specyfikę oszustw karuzelowych, ważnym głosem w dyskusji były poglądy ludzi młodych, studentów prawa i administracji decydujących dopiero o kierunku swojej drogi zawodowej.

Kampania społeczna „Nie daj się zrobić w słupa” zainicjowana została przez Kontrolę Skarbową w październiku 2014 roku. Swoim zakresem obejmuje działania bezpośrednie polegające na spotkaniach informacyjno-edukacyjnych z młodzieżą akademicką, młodzieżą klas maturalnych a także z osobami szukającymi zatrudnienia – zarejestrowanymi w biurach pra-

cy. Jednocześnie podejmowane są działania pośrednie za pomocą mediów: radia, telewizji Internetu i prasy.

Bezpośrednią inspiracją do zorganizowania tego wydarzenia były doświadczenia Kontroli Skarbowej, z których wynika, że coraz częściej wykorzystywane do nielegalnych procedurów na firmy słupy lub bufory są osoby młode, w tym studenci – świadomość potencjalnych ofiar jest więc niezbędna, aby przerwać łańcuch wspomnianych transakcji karuzelowych. Warto podkreślić, iż w ostatnich latach nie udało się w jednym miejscu zintegrować środowiska naukowego oraz praktyków, na co dzień zajmujących się problematyką oszustw karuzelowych. Tym bardziej należy docenić możliwość przeprowadzenia inauguracji tej kampanii społecznej we współpracy z Uniwersytetem Opolskim – nasz uniwersytet został wybrany spośród kilku innych kandydatów miast i ośrodków akademickich.

Otwierając spotkanie naukowe, prorektor Uniwersytetu Opolskiego **prof. dr hab. Janusz Słodczyk** podkreślił duże znaczenie współpracy Wydziału Prawa i Administracji UO z organami kontroli skarbowej ze względu na kompleksowe i praktyczne przekazywanie wiedzy studentom, występującym zwykle w procedurze oszustwa karuzelowego jako słupek lub bufor, oraz zwrócenie ich uwagi na odpowiedzialność podatkową, karną i karną skarbową. Podkreślił również, że jest to kolejne już spotkanie naukowe koncentrujące się na dialogu i wspólnej dyskusji pracowników organów kontroli skarbowej ze studentami – w ramach współpracy opolskiej Kontroli Skarbowej z Uniwersytetem Opolskim.

Na szczególne znaczenie edukowania i uświadamiania osób, które mogą zostać wykorzystane do przestępstw karuzelowych zwróciła uwagę **Beata Łaszyn**, wicedyrektor Departamentu Kontroli Skarbowej w Ministerstwie Finansów – stąd Ministerstwo Finansów podjęło decyzję o prowadzeniu ogólnopolskiej kampanii informacyjnej „Nie daj się zrobić w słupa”.

Panel dydaktyczny otworzył **Robert Wojewódka**, dyrektor Urzędu Kontroli Skarbowej w Opolu, który w wystąpieniu połączonym z ciekawą prezentacją pt. „Mechanizm oszust karuzelowych” przedstawił wszelkie aspekty tych oszustw, a także konsekwencje podatkowe dla osób i podmiotów, wykorzy-



Podczas spotkania rozstrzygnięto konkurs pt. „Nie daj się zrobić w słupa – eliminowanie przestępczości karuzelowej”

stanych jako tzw. słupy. Konsekwencje karne i karno-skarbowe udziału w mechanizmie oszustw karuzelowych przedstawiła natomiast prokurator Prokuratury Okręgowej w Katowicach **Agnieszka Zawojcka**.

Ostatnia część spotkania w ramach panelu dydaktycznego została poświęcona roli i zadaniom, jakie w zwalczaniu przestępstw karuzelowych odgrywają organy oraz funkcjonariusze kontroli skarbowej – ten temat przybliżył **Czesław Kalinowski**, dyrektor Urzędu Kontroli Skarbowej w Olsztynie, w referacie pt. „Kontrola skarbową wobec przestępstw karuzelowych”.

Na zakończenie rozstrzygnięto konkurs pt. „Nie daj się zrobić w słupe – eliminowanie przestępczości karuzelowej”. Zdobyczynią pierwszej nagrody została **Patrycja Przybylska**, studentka Uniwersytetu Jagiellońskiego, zdobywcą drugiej nagrody – **Paweł Ko-**

walczyk, student Uniwersytetu Opolskiego (Wydział Prawa i Administracji), a zdobywcą trzeciej nagrody – **Klaudia Kapuścik**, studentka Uniwersytetu Opolskiego (Wydział Prawa i Administracji).

Spotkaniu towarzyszyła m.in. wystawa uzbrojenia oraz prezentacja technik stosowanych przez tzw. grupy mobilne jednostki funkcjonującej w ramach Urzędu Kontroli Skarbowej w Olsztynie, a także wystawa zażytkowych urządzeń ewidencyjnych i rachunkowych oraz dokumentów skarbowych z XX wieku.

Informacje na temat spotkania oraz przebiegu kampanii społecznej „Nie daj się zrobić w słupe” zamieszczono na stronie www.slupczyoszust.pl

Piotr Stanisławiszyn

Polsko-czeski dialog po angielsku

Na zaproszenie **dr Andrei Holesovej** w dniach 11–13 grudnia 2014 r. pracownicy Instytutu Filologii Angielskiej UO: **dr hab. Ryszard Wolny**, **prof. UO** (dyrektor IFA UO), **dr Stankomir Nicieja** i **mgr Jarosław Kujath**, a także **dr hab. Joanna Czaplińska**, **prof. UO**, kierownik Katedry Sławistyki Instytutu Filologii Polskiej i Kulturoznawstwa UO złożyli wizytę w Instytucie Filologii Angielskiej Uniwersytetu w Ostrawie, w Republice Czeskiej.

Celem wizyty było nawiązanie bliższej współpracy naukowej z ostrawskim parterem i zaproszenie czeskich anglistów do podejmowania wspólnych projektów badawczych, szczególnie w ramach grantów z Funduszu Wyszehradzkiego (Instytut nawiązał w tym roku współpracę z anglistką budapeszteńską). Oprócz działań o charakterze stricte naukowym omawiane były plany kooperacji zakładającej wymianę studentów i pracowników naukowych w ramach programu Erasmus, a także podjęcie się organizacji wspólnej konferencji naukowej w roku 2016.

W trakcie dwudniowego pobytu dr hab. Ryszard Wolny, prof. UO, oraz dr Stankomir Nicieja mieli sposobność spo-

tkać się z pracownikami i studentami ostrawskiej anglistyki. W tym roku planowana jest rewizyta delegacji z ostrawskiej anglistyki na Uniwersytecie Opolskim oraz podpisanie umowy o współpracy.

(s)



Na zdjęciu (od lewej): prof. Ryszard Wolny, dr Stankomir Nicieja, dr Andrea Holesova, Jarosław Kujath, dr Renata Tomaskova, prof. Joanna Czaplińska

Teresa Kudyba

Rzeczpospolita rodzinna

– **Musimy wreszcie przestać postrzegać polską rodzinę jako przedmiot opieki i troski, a taki jej obraz – słabej, biednej, potrzebującej socjalnego wsparcia – przekazują nam media. Polska rodzina to przecież także wy: półtora miliona firm rodzinnych. „Rodzinni” to największa siła tego kraju, podstawa polskiej gospodarki. A Inicjatywa Firm Rodzinnych to jak dla mnie największa nadzieja i najlepiej rokująca obecnie inicjatywa w państwie – powiedziała prof. Irena Lipowicz podczas otwarcia VII Zjazdu Firm Rodzinnych w Warszawie.**

W Polsce działa półtora miliona rodzinnych podmiotów gospodarczych, co stanowi według szacunków Polskiej Agencji Rozwoju Przedsiębiorczości aż 78 proc. wszystkich firm, nie licząc rodzinnych gospodarstw rolnych. VII Kongres Firm Rodzinnych odbył się w roku 25-lecia wolności ustrojowej i gospodarczej pod hasłem „Rodzinna Rzeczpospolita”.

Profesor Irena Lipowicz, występująca w panelu jako rzecznik praw obywatelskich, zobowiązała się wobec kilkuset uczestników zjazdu, iż zadba o wprowadzenie zmian m.in. w ordynacji podatkowej na rzecz małych i średnich przedsiębiorstw, apelując o przesyłanie pod jej adresem wszelkich postulatów, jakie proponują polscy rodzinni przedsiębiorcy przedłożyć rządowi.

W podobnym tonie przemawiał organizator zjazdu, prezes stowarzyszenia Inicjatywa Firm Rodzinnych. W wykładzie inauguracyjnym **prof. Andrzej Jacek Blikle** zwrócił się do przedstawicieli polskiego rządu: „Nie oczekujemy przywilejów i ulg, damy sobie radę bez nich. Ale oczekujemy równego traktowania firm małych i dużych, polskich i zagranicznych. Małym, rodzinnym podmiotom jest trudno konkurować z wielkimi inwestorami, którzy najpierw otrzymują najlepsze lokalizacje pod budowę swoich zakładów, a później płacą podatki nie w naszym kraju”.

Były premier polskiego rządu **Janusz Steinhoff**, który jest uczestnikiem zjazdów firm rodzinnych od samego początku, podkreślił: „Teraz, 25 lat po transformacji ustrojowej, żyjemy w jednym z najlepszych okresów historii Polski na przestrzeni 300–400 lat”.

Przez trzy dni „Rodzinni” obradowali w Warszawie, próbując zmierzyć się z wieloma aspektami polskiej rzeczywistości, które mają największy wpływ na dalsze funkcjonowanie rodzinnej przedsiębiorczości w owym, najlepszym gospodarzo, zdaniem Steinhoffa, okresie w dziejach Polski. Najważniejsze problemy to sukcesja oraz edukacja. W złej polskiej edukacji przedsiębiorcy rodzinni upatrują istotny powód rosnącego

bezrobocia i emigracji młodego pokolenia. O oderwaniu teorii od praktyki, o „nauczaniu przedmiotu” zamiast „nauczaniu dziecka” mówił w panelu zatytułowanym „Zrewolucjonizować szkołę” **prof. Łukasz Turski**, twórca Centrum Nauki Kopernik. Warszawski przedsiębiorca **Marcin Biernacki** w Paczkowie na Opolszczyźnie zainicjował budowę podobnej do „Kopernika”, ale prywatnej placówki – pierwszego w Polsce „Metamuzeum”. Biernacki proponuje stworzenie w całym kraju sieci podobnych placówek, które położone byłyby w promieniu 50 km od szkół i gdzie można by w praktyce uczyć przedmiotów ścisłych, co dziś w warunkach szkolnych, sprowadzanych do podręcznikowej teorii, jest tak bardzo trudne i abstrakcyjne. Biernacki podkreśla, że znaczenie dla rozwoju takich innowacyjnych inicjatyw jak „Metamuzeum” w Paczkowie ma klimat, jaki stwarza się przedsiębiorcom w regionie. Chwali doskonałą współpracę z opolskim urzędem marszałkowskim, Politechniką Opolską i władzami Paczkowa.

Tematy opolskie przewijały się podczas VII Zjazdu Firm Rodzinnych w treści kilku paneli nieprzypadkowo. Należy przypomnieć, iż pierwszy, założycielski zjazd Inicjatywy Firm Rodzinnych odbył się w Kędzierzynie-Koźlu z inicjatywy współzałożyciela i wiceprezesa IFR **Jarosława Chołodeckiego**. Chołodecki stara się przy wielu okazjach jednoczyć rozproszone środowiska znakomitych, markowych przedsiębiorców rodzinnych na Opolszczyźnie, upatrując w naszym regionie wyjątkowy potencjał, wręcz krajowy bastion producentów w branży stolarskiej, budowlanej, spożywczej. Jako członek Rady Gospodarczej przy Uniwersytecie Opolskim, a także panelista podczas listopadowej konferencji uniwersyteckiej na temat szkolnictwa dualnego podkreślał wielokrotnie otwarte podejście władz regionu do uniwersyteckiej idei stworzenia w regionie modelowego systemu dualnej edukacji na poziomie uczelni wyższych i szkół zawodowych. Model dualny, zainicjowany na Uniwersytecie Opolskim, zainteresował przedsiębiorców i rzemieślników z pozostałych województw, którzy w kularach pytali o szczegóły tej opolskiej innowacji.

Województwo opolskie to region najbardziej w skali kraju negatywnie wyrazisty – za przyczyną wskaźników depopulacji, emigracji młodych, rozbicia rodzin (gdy jedno z małżonków stale zarabia za granicą), eurosieroctwa, osamotnienia seniorów, opuszczonych przez dzieci zamieszkałe najczęściej na stałe w Niemczech i Holandii. Właśnie dlatego województwo opolskie musi znaleźć takie rozwiązania gospodarcze, aby

młode rodziny – póki jeszcze jest to realne – zachęcić do powrotu w rodzinne strony, a uczniów i studentów powstrzymać przed zarobkową emigracją. Praca w przedsiębiorstwie rodzinnym połączona jednocześnie ze studiami dualnymi to swoisty polski pomysł, dający nadzieję na stabilizację Opolskiej Strefy Demograficznej.

Oprócz wzmocnienia filara edukacji regionalnej poprzez transfer zachodnioeuropejskiego modelu kształcenia dualnego należy jak najmocniej świadomie wspierać proces sukcesji rodzinnych tradycyjnych firm. Jak przekonywał

podczas warszawskiego kongresu profesor Blikle, właśnie w firmach rodzinnych upatruje się dziś na całym świecie źródła złagodzenia stosunku rosnącej liczby emerytów do liczby osób pracujących: „Jeśli zapewnimy dzieciom miejsca pracy w firmie rodzinnej, to szanse na naszą emeryturę rosną. W sytuacji, gdy systemy emerytalne nie dają gwarancji, najpewniejszą inwestycją w nasze emerytury jest inwestycja we własne dzieci, bo cudzych będzie za mało, by nas utrzymać. Ta szczególna rola firm rodzinnych sprawia, że naczelnym zadaniem ich zarządów nie jest generowanie zysków, ale doprowadzenie firmy do sukcesji na rzecz kolejnego pokolenia”. Warto uświadomić sobie, iż prawdziwym celem sukcesji w firmie rodzinnej nie jest jedynie literalne przekazanie majątku czy formuły zarządzania, ale właściwie spełnienie marzenia założycieli, że ich dzieło nie odejdzie wraz z nimi.

Sukcesja, czyli przekazanie firmy w ręce kolejnego pokolenia w formule zarządczej lub właścicielskiej, to największe wyzwanie IFR. Niestety, w świetle badań, w Unii Europejskiej niewiele ponad 30 proc. firm rodzinnych ma gotowy program sukcesji, a w Polsce jedynie 6,5 proc. studiującej młodzieży z firm rodzinnych zamierza przejąć schedę po rodzicach.

Jestem jednym z tysięcy tych negatywnych przykładów. W panelu „Młodzi gniewni”, poświęconym właśnie problemowi rodzinnej sukcesji, opowiedziałam o tym, dlaczego nie zostałam sukcesorem dobrze prosperującej firmy rodzinnej.

W Dębskiej Kuźni pod Opolem, na wysypisku śmieci, moja mama zbudowała zajazd „Pod Niedźwiedziem”. Jej marzeniem było, abym w przyszłości przejęła w zarządzanie tenże obiekt gastronomiczno-hotelowy. A marzeniem moim było dziennikarstwo, które nijak nie pasowało do wizji gotowania i dbania o noclegowe standardy. Nie zostałam sukcesorem firmy



Na zdjęciu (od lewej): wiceprezes Inicjatywy Firm Rodzinnych Jarosław Chołodecki, prezydent Warszawy Hanna Gronkiewicz-Waltz, z tyłu – prof. Andrzej Jacek Blikle

rodzinnej, tak jak wielu innych młodych gniewnych. Tak oto rodzinne firmy najczęściej kończą swój byt w pierwszym pokoleniu, a energia marzycieli-założycieli zostaje często zmarnotrawiona.

Mamy też w Polsce wzorowe przykłady polskich firm-rodzin. Ich losy ułożyły się w przejmującą treść książki Cezarego Łazarewicza „Rodzinna Rzeczpospolita”. Bohaterami tej książki są członkowie IFR, ludzie sukcesu, którzy dzięki pasji, konsekwencji, umiłowaniu wolności tworzą dziś obraz silnej, dumnej przedsiębiorczości rodzinnej w skali Europy i świata: Barański, Blikle, Drohomirecka, Grycan, Han, Jabłkowski, Kasztelewicz, Kruk, Krzanowscy, Voelkel.

Dziś firmy rodzinne na całym świecie przeżywają renesans. To one, a nie koncerny, korporacje, wyimaginowani inwestorzy zagraniczni, pojawiający się na wyborczych transparentach kandydujących prezydentów miast, stanowią podstawę polskiej i regionalnej gospodarki. Prezes IFR, profesor Blikle twierdzi, że 4,5 tys. dużych firm, bo tyle ich jest w Polsce, nie stworzy 2 mln miejsc pracy. Ale 1,5 mln firm rodzinnych może to zrobić. Potrzebuje tylko uczciwych, zagwarantowanych przez prawo i urzędy warunków do rozwoju.

Firmy rodzinne generują dużą część dochodu narodowego i jeszcze większą liczbę miejsc pracy. Ale najważniejszym wyróżnikiem jest ich marka. Przedsiębiorstwa rodzinne są często firmowane nazwiskiem właściciela, a to zobowiązuje. Honor firmy to honor rodziny. To poczucie odpowiedzialności wobec rodziny; także tej, która firmę zakładała. Gdy przychodzi trudny okres, właściciele zastawiają własny majątek, pracują po kilkanaście godzin na dobę, byle przetrwać.

Nie agresywny marketing, ale wizerunek i etos pracy pożytecznej dla społeczeństwa i rodziny jest podstawą wartości, trwania i rozwoju każdej rodzinnej firmy. „Nigdy nie możesz poświęcić renomy firmy dla zysku” – słowa własnego ojca przytoczył Andrzej Jacek Blikle, potomek słynnego warszawskiego cukier-

nika, nawiązując do ostatniego światowego kryzysu gospodarczego: „Był to kryzys wartości, wywołany przez niepohamowaną chciwość i brak zasad moralnych, przekonanie, że można się bezkarnie i bez miary zadłużać. Tak właśnie myślą niektóre zarządy bezosobowych spółek i rządy większości państw. Kadencje jednych i drugich trwają po kilka lat. W firmie rodzinnej kadencja zarządu trwa okres życia jednego pokolenia, a więc 20–30 lat, a głównym celem zarządu nie jest maksymalizacja zysku w krótkim czasie, ale stabilne trwanie firmy na rynku. Bo firma rodzinna dziś daje pracę nam, a jutro ma ją dać naszym dzieciom”.

Podczas VII Ogólnopolskiego Zjazdu IFR w Warszawie czuło się, co może zabrznieć zbyt górnolotnie, ale bardzo szczerze: atmosferę jedności i miłości. To jest świadomość uczestniczenia w swoistego rodzaju misterium: uczucie, że się jest tu i teraz w gronie kilkuset członków stowarzyszenia przedsiębiorców mikro, małych, średnich, ale też dużych, którzy swym dorobkiem, wiedzą, przeżyciami, pokonanymi barie-

rami świadczą i wspierają, a nie konkurują i walczą. Chcą pomagać, wspierać, doradzać, przekazywać pałeczki młodym, ambitnym, gniewnym polskim przedsiębiorcom. W świetnym przewodniku „Esencja sukcesji”, napisanym przez członka zarządu IFR, Tomasza Budziaka, są zapisane sentencje, które warto na koniec przytoczyć w kontekście minionego Roku Rodziny, bo takim był rok 2014, ogłoszony przez ONZ: „Firma rodzinna zaczyna się od marzenia. To marzenie, że w rękach następców zachowa się nasz dorobek i nie będzie to tylko narzędzie do zarabiania pieniędzy, że lata pracy nie pójdą na marne, że firma będzie służyć kolejnym pokoleniom pracowników i klientów. Marzenie o sukcesie firmy rodzinnej to też marzenie o miłości napędzającej rodzinę i dającej dodatkowy impuls energii firmie. Impuls, którego nie może dać podejście korporacyjne, bo naznaczony osobowością obecnych i poprzednich pokoleń”.

Teresa Kudyba

Listy, polemiki

Druga strona medalu

W numerze 7–8 (151–152) „Indeksu” z października 2014 roku ukazał się tekst Jana Trzosa pod tytułem „Śląska wieś w moskiewskim archiwum” będący w istocie wychwalaniem działalności prof. Eugenii Kucharskiej. Pomimo szacunku i sympatii, jaką oboje z mężem darzymy pana Jana Trzosa, musimy stwierdzić, że „każdy ma swoje wspomnienia”. W naszej świadomości bohaterka tekstu Jana Trzosa zapisała się jako sztandarowy komunista w czasach po Marcu 1968 roku, swego rodzaju czarny charakter wśród pracowników naukowych opolskiej WSP w tamtych czasach.

Nigdy nie zapomnę dziwnego zebrania – organizacji partyjnej wydziału? – jesienią 1971 roku, na którym przeprowadzono sąd nad opiekunką mojej pracy magisterskiej panią prof. Janiną Sałajczyk. Czekaliśmy na wykład profesor Sałajczyk, podczas gdy w sali trwało jakieś zebranie. W pewnym momencie wyszła z niej zapłakana pani Janina Sałajczyk i usiadła na schodach. Zszokowana widokiem mojej promotorki, podeszłam do niej i spytałam, co się dzieje. Odpowiedziała, że właśnie wyrzucono ją z partii. Na moje pytanie: dlaczego?, odpowiedziała, że oskarżali ją: Kazimierz Kobiałko, doc. dr Feliks Pluta, a swoje oskarżenia dołożyła też doc. dr Eugenia Kucharska. Pani prof. Janina Sałajczyk zapytała mnie: „Kto to jest Kazimierz Kobiałko?”. Odpowiedziałam, że jest absolwentem historii.

Bardzo szybko wyrzucono prof. Janinę Sałajczyk z pracy, a ja i kilkanaście innych studentek musiałyśmy szukać nowego promotora pracy magisterskiej. Przyjął mnie doc. dr hab. Telesfor Poźniak. Pracę obroniłam 28 kwietnia 1972 roku. Ponieważ pobierałam stypendium naukowe, oczekiwałam jakichś propozycji ze strony uczelni. Ale ówczesna pełnomocnik rektora do spraw zatrudnienia absolwentów nie miała dla mnie czasu ani propozycji. Tym pełnomocnikiem była doc. dr Eugenia Kucharska. Oczywiście jest, że niedoszłej magistrantki doc. dr Janiny Sałajczyk i żony „tego warchoła marcowego Krzysztofa Borkowskiego” nie można było zatrudnić na uczelni. W opolskim kuratorium oświaty znaleziono jednak dla mnie pracę w Zespole Szkół Zawodowych nr 4 w Opolu, w którym pracowałam do emerytury.

Mojego męża Krzysztofa Borkowskiego, po prawie roku od obrony pracy magisterskiej, towarzyszka pełnomocnik poinformowała, że nie ma dla niego propozycji pracy w szkolnictwie. Była to decyzja ówczesnych partyjnych władz uczelni. Krzysztof Borkowski, będący już wtedy pracownikiem Wojewódzkiego Urzędu Statystycznego, odpalił ostro, że żadnego świstka od towarzyszki pełnomocnik pracodawca nie potrzebuje.

Dla obiektywnej oceny osoby prof. Eugenii Kucharskiej wskazane byłoby opublikowanie protokołu z tego partyjnego sabatu z jesieni 1971 roku. Apeluję do Jego

Magnificencji o udostępnienie tego dokumentu.

Być może jedyny żyjący oskarżyciel pani prof. Janiny Sałajczyk, czyli prof. Feliks Pluta, zechce opublikować swoje ówczesne zarzuty wobec mojej wspańskiej promotorki. Może w dokumencie wyjaśni się rola Kazimierza Kobialki w tym sabacie. Kogóż to tak pryncypialnie reprezentował późniejszy „demokrata” na tamtym plugawym sabacie aktywistów PZPR? Czy przypadkowa zatem była emigracja prof. Stanisława Kochmana, w ślad za doc. dr. Janiną Sałajczyk, do Gdańska, a doc. dr. Michała Błacharskiego do Katowic? A może tym naukowcom nie odpowiadała atmosfera w katedrze? Powody ataku na prof. Janinę Sałajczyk opublikował dr Zbigniew Bereszyński w „Studiach śląskich”. Teksty oparte są na uzyskanych z IPN materiałach SB i relacjach „asa wywiadu” z tamtych lat, niejako kapitana Czechowicza. Nagonka oparła się na fakcie korespondencji prof. Janiny Sałajczyk z wypędzonym z Opola Leszkiem Kantorem, osiadłym w Szwecji. Tenże Leszek Kantor przesyłając profesor Sałajczyk literaturę naukową dał niechę-

cy powód do ataku na swoją koleżankę z WSP Opole. Czytając te „rewelacje” SB trudno nie odczuwać, nawet po latach, obrzydzenia. Tym bardziej warto ujawnić protokoły z końcowych etapów nagonki na prof. Janinę Sałajczyk. Jako niewątpliwie pokrzywdzona w tej aferze mam moralne prawo apelować do władz uczelni o ujawnienie prawdy.

Trudno oprzeć się wrażeniu, że tworzenie mitów o swoich opiekunach naukowych zawsze spowoduje konieczność pokazania drugiej strony medalu. Zazwyczaj nieco mniej kryształowej.

I jeszcze jeden protest. Pan dr Jan Trzos nazwał lata 1970–1980 „ZŁOTĄ EPOKĄ” w dziejach uczelni. To jak proponuje Pan nazwać lata działalności rektora prof. Stanisława Sławomira Nicieji? Warto zachować proporcje i nie kompromitować się emocjonalnym subiektywizmem.

Krystyna Stoch-Borkowska

Listy, polemiki

Moja teczka

Prawie od 5 już lat grupa Rodaków z Londynu stara się odebrać mi dobre imię. A sprawa dotyczy oskarżania mnie o kolaborację ze Służbą Bezpieczeństwa w okresie, kiedy pracowałam w Rozgłośni Polskiego Radia w Opolu i w konsekwencji kampanią nienawiści prowadzoną przeciwko mnie przez redakcję londyńskiego „Nowego Czasu” i dr Alinę Siomkajło.

Puszkę Pandory otworzył w czerwcu 2009 r. opolski historyk, dr Zbigniew Bereszyński, który w zbiorach Instytutu Pamięci Narodowej natrafił na teczkę z moim nazwiskiem. Kilka miesięcy później opracowane materiały ogłosił pod sensacyjnym tytułem: *Esbecki cień we władzach Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie* („Kurier Brzeski” 2009, nr 28 [758], s. 7, 10- 11). Rok później przejrzałam i ja tę teczkę. Nie była obszerna, zawierała prawie wyłącznie raporty sporządzone przez por. Jana Smolińskiego, moje dane osobowe i kilka donosów na mnie. Świadców mojej niewinności nie szukałam, ale przechowuję w swoich zbiorach list Jana Smolińskiego, w którym przeprosił mnie „za wyrządzone przykrości”. W typowy dla funkcjonariuszy bezpieki sposób wyjaśnia on cele inwigilacji przez SB, którym było nadrzędne „dobro narodu”, usprawiedliwia własne postępowanie w stosunku do mnie, kiedy zbierał i spisywał informacje samowolnie „poza wiedzą zainteresowanego, bez pytania o zgodę”.

Dr Zbigniew Bereszyński zainteresował się raportami funkcjonariusza SB, ale zgodnie z kwerendą musiał odnotować: „Nie zachowały się jednak żadne dokumenty z jej podpisem, poświadczające w bezpośredni sposób nawiązanie przez nią współpracy z SB. Wszystkie dokumenty z teczki KO „RW”/ „Kasia” zostały wytworzone przez samych funkcjonariuszy SB, w związku z czym nie ma absolutnej pewności co do tego, jak naprawdę wyglądały relacje między Reginą Wasiak a Służbą Bezpieczeństwa („Kurier Brzeski”, op. cit., s. 7). Atakujący mnie pomijają ten fragment wypowiedzi Bereszyńskiego, bo to popsułoby całą zniesławiającą mnie nagonkę. Niedawno, od opolskiego lustratora otrzymałam list z informacją na temat weryfikacji politycznej opolskich dziennikarzy w stanie wojennym: *była Pani* – pisze dr Bereszyński – *jedną z dwóch osób, które postanowiono zwolnić z pracy w opolskiej rozgłośni Polskiego Radia. Decyzję podjęła komisja weryfikacyjna z udziałem znanego Pani funkcjonariusza SB, por. Jana Smolińskiego, oraz jego przełożonego, mjr. Józefa Gawrysia, naczelnika Wydziału II KW MO. W uzasadnieniu decyzji pisano, że jest Pani „pracownicą niedyscyplinowaną i miała powiązania z Solidarnością”.*

Dziś bardziej niż kiedykolwiek czuję się ofiarą polityki i historii. Dlatego chcę wyraźnie podkreślić, że nigdy nie byłam tajnym, jawnym, jakimkolwiek innym

współpracownikiem służb specjalnych w PRL, nie należałam do PZPR, nie podpisałam żadnego dokumentu nt. współpracy, nie brałam pieniędzy od bezpieki, nie byłam świadomym informatorem SB, nie donosiłam na nikogo. Przez pięć lat nie tłumaczyłam się w mediach ze stawianych mi zarzutów. Wydawało mi się rzeczą niestosowną dowodzić spraw oczywistych. Odpowiadać na kolejne ataki nie zamierzam, pragnę jednak tą drogą podziękować wszystkim moim przyjaciołom, znajomym i nieznanym, którzy podtrzymywali

mnie na duchu, wspierali moralnie i starają się zachować przyzwoicie.

Regina Wasiak-Taylor

(wiceprezes Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie)

Londyn, 27 stycznia 2015

PS. Pełny tekst „Listu otwartego” na stronie internetowej Związku Pisarzy www.zppno.org

Studenci i prawa mniejszości

Projekt nosi nazwę „Mniejszości narodowe na Wschodzie i na Zachodzie: determinanty historyczne, kontekst europejski i wizje przyszłości”, i jest pierwszym takim projektem realizowanym wspólnie przez Uniwersytet Opolski, Uniwersytet Techniczny w Chemnitz i Uniwersytet Narodowy im. Iwana Franki we Lwowie.

Studenci z tych trzech uczelni spotkali się w dniach 12–17 października 2014 r. we Lwowie, na konferencji – Szkole Jesiennej – poświęconej mniejszościom narodowym w Polsce, Niemczech i na Ukrainie. Projekt uczelni wspierało biuro poselskie posła **Ryszarda Galli**, a współfinansowała Fundacja Współpracy Polsko-Niemieckiej. Opiekunką i koordynatorką projektu z polskiej strony była **prof. Aleksandra Trzecie-**

lińska-Polus z Instytutu Politologii UO. Opolską uczelnię reprezentowali we Lwowie studenci trzeciego roku stosunków międzynarodowych. Ich zadaniem było przedstawienie sytuacji mniejszości niemieckiej na Opolszczyźnie, a także prezentacja praw mniejszości narodowych i etnicznych w ustawodawstwie polskim. Wszyscy studenci byli bardzo zaangażowani w projekt, intensywnie dyskutowali podczas realizowanych warsztatów. Udział w konferencji był wartościowy z merytorycznego punktu widzenia, a także ciekawy poznawczo oraz towarzysko. Owocem konferencji był wspólnie opracowany scenariusz na rok 2040 dotyczący przyszłych praw mniejszości narodowych w Europie.

Natalia Roślik



Uczestnicy warsztatów

Marceli Kosman

Kresowej Odysei tom piąty¹

Historyk opolski obdarowuje nas co pół roku kolejnym tomem *Kresowej Atlantydy*, każdy wolumen jest identycznej wagi oraz objętości, liczy bowiem 288 stron druku. Dowodzi to eksperencji i znakomitej współpracy Autora oraz Wydawcy. A dlaczego w nagłówku nawiązałem również do antycznej drogi spod Troi do ojczyściej Itaki Odysusza, łatwo się domyślić: legendarna Atlantyda uległa całkowitej zagładzie, natomiast wielu mieszkańców miast kresowych po drugiej wojnie światowej znalazło nowe miejsce na ziemi w nowych granicach Polski i tam kultywowało tradycje swych małych ojczyzn, z powodzeniem przekazując je kolejnym pokoleniom. W Autorze zaś znaleźli oni potężnego sojusznika, który podjął się utrwalenia owego panoramicznego obrazu w potężnym dziele analityczno-syntetycznym. Do jego powstawania owi jakże liczni informatrzy badacza w znacznym stopniu się przyczynili. Toteż wiele miejsca na kartach książki zajmują powojenne losy owych Odysów zza dzisiejszej wschodniej granicy Rzeczypospolitej. Niestety czas biegnie nieubłaganie, o czym świadczą daty odejścia za Wieczną Bramę niejednego spośród nich, te całkiem niedawne, zwłaszcza w 2013 roku.

W pisarstwie dotyczącym ziem *zabranych* jak i *odzyskanych* badaczowi, a zwłaszcza pisarzowi, musi towarzyszyć wysoka kultura historyczna i polityczna. Nicieja w jednym z wywiadów mógł nie bez satysfakcji powiedzieć, że we Lwowie, gdzie od lat jest postacią doskonale znaną wszystkim zamieszkującym tam nacjom, nigdy nie spotkał się z agresją wobec własnej osoby i Polski, ani też nie był atakowany z powodu książek o Łyczakowie. Zauważył też:

„Coraz więcej Ukraińców jest świadomych, że zwalczanie i wymazywanie polskich śladów na kresach nie ma sensu [...]. Przede wszystkim władarze Lwowa, ukraińskiego Lwowa, zrozumieli, że ten cmentarz jest zjawiskiem europejskim. Jeżeli, tak jak w Stanisławo-



Grudniowe spotkanie autorskie prof. Stanisława S. Nicieji w Studenckim Centrum Kultury UO. Na zdjęciu (w głębi, od lewej): prowadzący spotkanie prof. Janusz Słodczyk, Irena Kalita, szefowa opolskiego Oddziału Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich i wydawca serii „Kresowa Atlantyda” Bogusław Szybowski (fot. Jarosław Mokrzycki)

wie, zetrzecie ten cmentarz z powierzchni ziemi, miasto straci atrakcyjność. To jeden z najciekawszych, najpiękniejszych cmentarzy na Starym Kontynencie”.²

A w rozmowie zatytułowanej *Historii Polski nie ma bez Kresów*, jaka w tym samym mniej więcej czasie ukazała się na łamach opiniotwórczego warszawskiego miesięcznika, ujawnił swój zamiar napisania – o ile czas i zdrowie mu pozwolą – około 20 tomów na temat przeszłości miast, znajdujących się dziś poza wschodnią granicą Polski. Nie była to obietnica bez pokrycia, jako że wówczas miał na warsztacie już czwarty tom *Atlantydy*. Tak wówczas argumentował:

„Polskie granice pulsowały: rozszerzały się, zwężały, przesuwały. Pisać jedynie o Polsce w dzisiejszych granicach, to jakby pozbawiać się części serca i mózgu. Bo gdzie się urodzili Moniuszko, Kościuszko, Mickiewicz, Słowacki, Grottger, Piłsudski? Wybitne postacie o kresowych rodowodach mógłbym wymieniać do rana. O historii Polski nie da się pisać bez Kresów. I irytuje mnie, kiedy zarzuca mi się jakieś sentymentalne <pisanie dla dziadków>. W domu mam tysiące zdjęć, mnóstwo materiału o miastach, które są dziś poza gra-

¹ Stanisław Sławomir Nicieja, *Kresowa Atlantyda. Historia i mitologia miast kresowych*, t. 5., red. Halina Nicieja, opr. graficzne Bogusław Szybowski. Wydawnictwo MS, Opole 2014, s. 288.

² Z prof. Stanisławem Sławomirem Nicieją rozmawia Paweł Dybic, *O Lwowie bez uprzedzeń*, Tygodnik „Przeгляд”, Warszawa 9 – 15 grudnia 2013 r., s. 18.

nicami Polski, a stanowiły niegdyś ważną enklawę polskiej kultury”.³

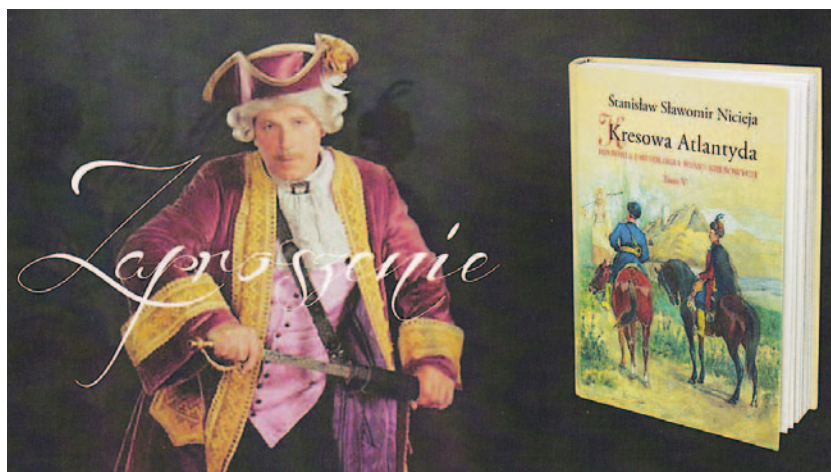
Tak może mówić człowiek – instytucja, badacz o utrwalonym aurytecie, gromadzący imponującą podstawę źródłową, która przetrwa całe pokolenia, a na obecnym etapie w literackiej formie poprzez kolejne tomy cyklu o historii i mitologii miast kresowych przybliży mało dziś znane ogółowi rodaków dzieje ziem wschodnich Rzeczypospolitej. Ich rolę w dziejach narodowych *Kresowa Atlantyda* uświadamia – a przynajmniej uświadamiać powinna – tym historykom, którzy poprzestają na realizacji haseł propagowanych doraźnie przez osławioną „politykę historyczną” i realizujące ją publiczne instytucje.

Jakże wiele łączy dziś owe Kresy od wschodu z tymi od zachodniej strony... Warto przypomnieć w tym miejscu fragment głośnej książki czołowego opozycjonisty z czasów PRL, a dziś znanego mediewisty Karola Modzelewskiego, który w początkowej fazie dekady Gierka został z Warszawy zesłany do placówki naukowej zlokalizowanej we Wrocławiu i w 1974 r. zamieszkał w pobliskiej Sobótce:

„Poznałem tu inną Polskę niż ta, którą dostrzec można z wielkomięjskiej perspektywy Warszawy, Wrocławia czy Krakowa. Wszyscy wiedzieli tu wszystko o każdym, ale trudno powiedzieć, żeby byli <tutejsi>. Ci, co mieli więcej niż 27 lat, urodzili się daleko stąd, przeważnie w okolicach Lwowa, Stanisławowa lub Tarnopola. Kresowość przeniesiona na poniemieckie tereny nadawała dolnośląskim miasteczkom, podobnie jak wrocławskiej metropolii, szczególne piętno, coś w rodzaju wspólnego mianownika. W licznikach były jednak poważne różnice. Do Sobótki ściągali po wojnie repatrianci całymi dużymi rodzinami, można powiedzieć rodzinnymi klanami, i relacje między tymi klanami nadawały swojskie oblicze oficjalnym strukturom życia lokalnego w PRL”.⁴

Autor tych słów miał wówczas, w liczącym czterdzieści lat dorobku dotyczącym nekropolii kresowych, setki (jeśli nie więcej) artykułów oraz szereg książek poświęconych polskim zabytkom na dzisiejszej zachodniej Ukrainie, przy tym dysponował wiedzą porównawczą dotyczącą wielkich cmentarzy we Włoszech, Austrii, Francji i carskiej Rosji.

Cytowany autor nawiązuje dalej do filmu *Sami swoi*, by zestawić klimat małomiasteczkowy ze śląską



Zaproszenie na spotkanie z prof. Stanisławem S. Nicieją, zorganizowane przez Konsulat Generalny RP we Lwowie we lwowskim pałacu Potockich 27 stycznia br.

metropolią i podzielić się z czytelnikiem taką oto refleksją: „Wrocław natomiast był wielkim, otwartym miastem, gdzie repatrianci mieszały się z przybyszami z Polski centralnej, i to takimi, którym było zbyt ciasno w tradycyjnych społecznościach albo zbyt niebezpiecznie, starali się więc zejść z oczu opinii własnego środowiska lub podejrzliwości UB i zacząć nowe życie na <ziemiach odzyskanych>. W połączeniu ze świetną tradycją lwowskiego życia kulturalnego, nadającą Wrocławowi galicyjski koloryt, stworzyło to społeczność dynamiczną, różnorodną i witającą każdego przybysza jak swego. Wszyscy byli swoi, bo wszyscy byli przyjezdni”.⁵

W tomie piątym kresowej sagi ukazane zostały dwie grupy miejscowości – pierwsza to Sambor i niedalekie Rudki oraz Beńkowa Wisznia, druga zaś, w pobliżu Bukowiny, obejmowała Bitków, Rafajłową, Nadworną i Delatyn. Całość otwiera najobszerniejszy rozdział I poświęcony najbardziej znanemu z kart dziejowych Samborowi, który autor nazywa *miastem ogrodów* (s. 7–120). U progu epoki jagiellońskiej budowniczym tamtejszego zamku był słynny Spytko z Melsztyna, jeden z wielmożów małopolskich zainteresowanych zawarciem związku państwowego Korony z Wielkim Księstwem Litewskim i otwarciem drogi ku ziemiom ruskim, on też wystarał się w 1390 r. o nadanie miejscowości prawa magdeburskiego. Błyskotliwą jego karierę przerwała dziewięć lat później śmierć w bitwie z Tatarami nad rzeką Worską. Przybywali tu kolejni monarchowie, ale szczególną rolę w dziejach miejscowości odegrała królowa Bona, właścicielka tamtejszych dóbr, która potrafiła przeprowadzać w swych majątkach na wschodnich obszarach monarchii jagiellońskiej reformy gospodarcze, podnoszące radykalnie ich dochodowość. Należała do nich przede wszystkim słynna *pomiara włóczna*, którą kontynuował Zygmunt August, a za nim magnaci za ziemiach litewsko-ruskich. Włoszka na polskim tronie nadała renesansowy

³ *Historii Polski nie ma bez Kresów*. Z prof. Stanisławem Sławomirem Nicieją rozmawia Stanisław Łubieński, Miesięcznik „Nowe Książki” nr 8/1134, Warszawa 2013, s. 5.

⁴ K. Modzelewski, *Zajeżdżmy kobyłę historii. Wyznania poobijanego jeźdźca*. Warszawa 2013, s. 219.

⁵ *Ibidem*, s. 219 n.

charakter zamkowej rezydencji. Toteż chętnie odwiedzali ją Stefan Batory, Jan Kazimierz i Jan III, przebywał tu także przed wyprawą na Moskwę Dymitr Samozwaniec wraz z żoną Maryną Mniszchówną, córką wojewody sandomierskiego. Dziś po zamku nie ma śladu – spłonął i w XIX wieku ulegał dewastacji, po 1820 r. rozebrano go na cegłę, aż po fundamenty.

Za to rozwijało się miasto, o którego wygląd dbali zakonnicy (bernardyni, jezuita i brygidki) oraz zamożni patrycjusze. Sławne było swymi ogrodami, okalającymi również położone na obrzeżach liczne dworki szlacheckie. A przedmiotem dumy mieszkańców stał się założony w XVIII wieku park angielski. W 37 atrakcyjnie zatytułowanych podrozdziałach Autor ukazuje czasy chwały, a potem i dni klęski miasta – połowa tej monografii poświęcona jest zmierzchowi polskiego Sambora podczas drugiej wojny światowej i losom egzulów, którzy ocalili życie i ducha narodu, znajdując nowe miejsce na ziemi przede wszystkim na Śląsku. Jeden z tytułów dotyczy *Opolskich samborzan*; później spotykamy *Nadwórnian w Opolu* oraz szereg znanych nazwisk z dawnych stron się wywodzących – naukowców, literatów, malarzy, lekarzy, doskonałych rzemieślników – artystów. Pielęgnowali oni nad Odrą ojczyście tradycje, rzewnie wspominali nieodległą przecież, ale zamkniętą przeszłość. Oto jeden z tytułów: *Przywieź mi witkę z nad Dniestru...* Oto niektóre nazwiska: Cajmer, Sandauer, Klenczon, Kuśniewicz, ale jest tu też *egzekutor Igo Syma*. A całość zamyka szkic o dzisiejszych *Samborskich strażnikach pamięci...*

Znacznie krótszy rozdział drugi (*Fredrowskie Rudki i Beńkowa Wisznia*, s. 121–138), stanowi *sui generis* aneks do literacko-histerycznej monografii Sambora i wiąże się oczywiście z postacią najznakomitszego komediopisarza w naszych dziejach, a raczej z funeralnym fragmentem jego biografii, to jest losami mauzoleum rodowego Fredrów przy kościele w Rudkach, jego profanacją przez nowych gospodarzy tamtych ziem oraz odzyskaniem świątyni przez katolików po upadku Związku Radzieckiego. Nie brak oczywiście opowieści o konspiracyjnej wyprawie wrocławskiego polonisty Bogdana Zakrzewskiego i przywiezieniu przezeń do kraju swoistej

relikwii z grobu hrabiego Aleksandra oraz dyskusji na temat prób przewiezienia jego szczątków do kraju. Pozostał u siebie, na wrocławskim rynku – od kilku dziesięcioleci spogląda na rodaków z pomnika.

Na drugą połowę książki składają się również dwa rozdziały: III (*Nadwórna – brama Gorganów, Bitków – naftowe zaplecze Nadwornej, Delatyn – ryzykancki wypad*, s. 139 – 244) i IV (*Rzeczpospolita Rafajłowska*, s. 245 – 271). Przenoszą one czytelnika z przedrozbiorowych czasów Rusi Czerwonej oraz wieku XIX do znacznie bliższych współczesności, o których Autor pisze we wstępie zatytułowanym *Ostatni świadek*: „Nadwórna (funkcjonująca w cieniu potężnego zamku) – miasto pulsujące oryginalnością, wykorzystujące bogactwo szybów naftowych, które były na jego przedmieściach, brama wiodąca w malownicze góry Gorgany. Historia Nadwornej to również patriotyczna karta związana z walkami legionistów... Zapisali się na



Na cmentarzu w Tłustem. Fot. Tadeusz Parcej

niej w dobie odzyskiwania państwowości inne pobliskie miejscowości”.

Nicieja unika jątżenia, choć trudno mu niejednokrotnie panować nad emocjami, ale nie pomija spraw trudnych, budzących gorycz, często poprzestając na krótkich zdaniach, jak choćby wspominając stary cmentarz w Samborze: „Niestety, stan polskich grobów jest zły. Tablice epitafijne są najczęściej usunięte albo zamalowane”, z jednego z najokazalszych grobowców „zdarto tablice epitafijne i nikt już nie odczyta, kto jest tam pochowany” (s. 115). A przecież były to osoby szczególnie dla miasta zasłużone.

Nie szczędzi Autor surowych słów wobec małoduszności prominentnych postaci w dzisiejszej Polsce, jak wtedy, gdy pisze o urodzonym w Oleszycach znakomitym pisarzu Olgierdzie Terleckim (1922–1986), który osiadł po wojnie w Krakowie, a jego pamięć zszargał rodzimy „Pawka Morozow” (s. 169). Piętnuje też

małoduszność notabli z jednostki wojskowej w Głubczycach, którzy w 1985 r. nie zechcieli uczestniczyć w pogrzebie zmarłego pułkownika rodem z Nadwornej, jednego ze zdobywców Berlina w maju 1945 r., jako że... nie figurował w ewidencji ZBOWiD-u.

Dwie wielkie sprawy stanowią o pasji twórczej czterokrotnego rektora Almae Matris Opoliensis: budowa uniwersytetu i utrwalanie jego miejsca w kulturze narodowej oraz ewokowanie wiedzy o Kresach. Nieustannie powiększają się jego zbiory źródeł pisanych i fotografii nadsyłanych przez egzultów lub ich potomków, dzięki którym kolejne tomy *Atlantydy* posiadają tak bogatą ikonografię. Włącza ją nieraz do gotowego tekstu, a raczej obok niego, stanowi bowiem, wraz z rozbudowywanymi opisami, doskonale uzupełnienie materiału opisowego.

Marceli Kosman

Jerzy Duda, Alicja Skubacz

Wielki powrót zawodowca?

Ministerstwo Edukacji Narodowej ogłosiło rok szkolny 2015/2016 „Rokiem Szkoły Zawodowców”. Minister Joanna Kluzik-Rostkowska, 8 października 2014 roku, na specjalnie zwołanej konferencji prasowej powiedziała: „Czas na odbudowę szkolnictwa zawodowego. Już od pewnego czasu bardzo wielu gimnazjalistów i ich rodziców zastanawia się: jak nie liceum, to co? I o ile mają rozeznanie, jeśli chodzi o licea ogólnokształcące w swojej okolicy, to zdecydowana większość rodziców i gimnazjalistów nie ma pojęcia, jakie szkoły zawodowe czy technika działają w ich pobliżu, i jakiej są jakości. Musimy to zmienić”.¹

Równocześnie na stronie internetowej Ministerstwa Edukacji Narodowej opublikowano „Obszary wprowadzania zmian” obejmujące siedem szczegółowych zadań. Do priorytetów zaliczono: dopasowanie kształcenia zawodowego do potrzeb rynku pracy, uelastyczenie ścieżek zdobywania kwalifikacji oraz podniesienie atrakcyjności kształcenia zawodowego.

Aktualną problematykę opolskiego szkolnictwa zawodowego przedstawiła na konferencji inauguracyjnej „Rok Szkoły Zawodowców” w naszym województwie, opolska kurator oświaty Halina Bilik, przypomniała, że szkoły zawodowe Opolszczyzny w dobrej formie przetrwały kryzys, który był następstwem promocji wykształcenia ogólnego, promocji narzuconej przez

autorów reformy narodowego systemu oświatowego. Obecnie absolwenci gimnazjów mają w naszym regionie do wyboru dalszą naukę w: 47 technikach, 59 zasadniczych szkołach zawodowych, a także 51 liceach ogólnokształcących. Ogółem do szkół zawodowych uczęszcza 19 tysięcy uczniów, do liceów 10 tysięcy.²

Jesteśmy świadkami rewitalizacji szkolnictwa zawodowego. Powraca się do dawnych, sprawdzonych wzorów, być może jest to pierwszy krok do przywrócenia dawnego ustroju szkolnego.

Przypomnijmy: rozpoczęta w połowie lat dziewięćdziesiątych minionego wieku reforma spowodowała wielkie zmiany w organizacji szkół i placówek oświatowych. W roku szkolnym 1998/1999 przekształcono ośmioklasowe szkoły podstawowe w szkoły z klasami I-VI oraz utworzono trzyletnie gimnazja. We wrześniu 2002 roku powołano do życia nowe typy szkół ponadgimnazjalnych – licea ogólnokształcące i szkoły zawodowe. Autorzy założeń programowo organizacyjnych tych szkół postulowali: „osiągnięcie w najbliższych latach takiego standardu edukacji, w którym wykształcenie średnie i możliwość zdawania egzaminu maturalnego uzyska 80 procent młodych Polaków, zaś pozostałe 20 procent młodzieży skończy szkoły zawodowe”.³

² Iwona Kłopocka, *Mamy rok zawodowców*, „Nowa Trybuna Opolska” z 12.11.2014.

³ „Biblioteka Reformy”. *O reorganizacji sieci szkół*. Zeszyt 19. Warszawa 2000.

¹ <http://www.men.gov.php/rob-szkoly-zawodowcow/aktualnosc/z 2014-11-11>

Decyzja Ministerstwa Edukacji Narodowej zmieniła w sposób diametralny dotychczasowe proporcje kształcenia młodych Polaków, do tego bowiem czasu głównym nurtem kształcenia było szkolnictwo zawodowe, obejmowało ono w każdym roku około 80 procent absolwentów szkół podstawowych.

Dość szybko dostrzeżono wadliwość wprowadzonych zmian, w 2002 roku Stefan M. Kwiatkowski, dyrektor Instytutu Badań Edukacyjnych w Warszawie sygnalizował: „Diagnoza była chybiona, bo okazało się, że najwięcej bezrobotnych mamy właśnie wśród kończących licea ogólnokształcące. Celem liceów było przygotowanie do dalszego kształcenia, a młodzi ludzie nie kształcą się dalej, bo ich na to nie stać. Szukają pracy i przegrywają nawet z absolwentami szkół zawodowych. Średnia dla krajów europejskich to 60 procent szkół zawodowych i 40 procent szkół ogólnokształcących”.⁴

Zbigniew Kwieciński z Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu tak o reformie napisał: „Pewien zadufany w sobie minister, który tę reformę wprowadził, kierował się resentymentem przedwojennej matury. W ten sposób jeden człowiek zrobił ogromną szkodę, choć wydłużył edukację o jeden rok... Problem w tym, że dobra szkoła średnia nie powstała, a wprowadzono jedynie zmianę strukturalną, która doprowadziła do eksplozji liceów ogólnokształcących”.⁵

Mając nadzieję na to, że szkolnictwu zawodowemu zostanie przywrócona wysoka, należąca mu ranga, warto przypomnieć, chociażby dla racji historycznych, jak po ustaniu działań II wojny światowej budowano oświatę zawodową na Śląsku Opolskim i jak dzięki pokoleniom świetnych pedagogów stała się ona niezwykle ważną wartością społeczną tej ziemi.

Od pierwszych dni funkcjonowania państwowości polskiej na Opolszczyźnie sprawy oświatowe – w najszerszym tego słowa rozumieniu – zajmowały poczesne miejsce wśród najważniejszych zadań, jakie przyszło na tych ziemiach rozwiązywać. To właśnie szkole przypadło odpowiedzialne zadanie w dziedzinie normalizacji stosunków społecznych, politycznych i kulturalnych, zwłaszcza w dziele przywracania do życia narodowego i państwowego miejscowej i przybywającej z wszystkich stron dawnej Polski, ludności.

Jest rzeczą charakterystyczną, że przedwojenny Śląsk Opolski, mimo swojego poważnego i różnorodnego przemysłu, nie posiadał ani jednej wyższej szkoły technicznej, nie było także średnich szkół technicznych. Do 1939 roku na Śląsku Opolskim działały tylko 33 niższe szkoły zawodowe, rzemieślnicze, uczyło się w nich około 20.000 uczennic i uczniów⁶.

W tym układzie, budowane od podstaw szkolnictwo

zawodowe, musiało od samego początku sprostać zadaniu szybkiego wsparcia kadrowego dla szczupłych i niefachowych załóg fabryk i zakładów. Za główny kierunek działania uznano takie rozmieszczenie szkół zawodowych i prowadzenie w nich takich kierunków kształcenia, które najlepiej zabezpieczyłyby najpilniejsze potrzeby kadrowe, lokalne i regionalne.

Już w roku szkolnym 1945/46, mimo ogromnych zniszczeń bazy oświatowej i braków kadrowych, powstały w Opolu, Kluczborku, Nysie i Raciborzu pierwsze szkoły zawodowe, w następnym roku doszło do 12 nowych szkół, w których naukę podjęło 2.100 uczennic i uczniów. Równocześnie, w związku z dotkliwym brakiem nauczycieli, głównie dla szkół podstawowych, otwarto cztery licea pedagogiczne w Głogówku, Oleśnie, Opolu i Raciborzu. Rozpoczęły pracę także szkoły muzyczne w Brzegu, Opolu i Prudniku.

Dyrektor pierwszej na ziemi opolskiej szkoły zawodowej Marian Heine po latach wspominał: „Oficjalna nazwa szkoły brzmiała Doksztalająca Szkoła Zawodowa w Opolu. Budynek, który szkole przeznaczono przy ul. Kościuszki 39/41, był zajęty przez szpital wojskowy, ulokowano nas w Męskim Liceum Ogólnokształcącym przy ul. Gosławickiej 22 (dziś ul. Osmańczyka), w dwóch salach i wspólnej ze Szkołą Handlową kancelarii. Na razie to wystarczało, liczba uczniów przekraczała nieco ponad 20 osób, a nauczycieli wraz z dyrektorem było czterech. Taki był początek. W ciągu dziesięciu lat liczba zarówno nauczycieli jak i wychowanków wzrastała, doszliśmy do stanu 538 wychowanków i 39 pedagogów... Uczniowie pracowali w różnych zakładach, ślusarze w Parowozowni, mechanicy samochodowi w warsztatach PKS-u, stolarze, elektrycy w zakładach rzemieślniczych. Uczniowie trzy dni uczyli się zawodu, kolejne trzy dni zajmowała im nauka w szkole. Szkoła z dwuletniej przekształciła się w trzyletnią Średnią Szkołę Zawodową.”⁷

Powstanie województwa opolskiego w 1950 roku zbiegło się z reformą szkolnictwa zawodowego. Prace nad przebudową systemu powierzono Centralnemu Urzędowi Szkolnictwa Zawodowego w Warszawie, w województwach powstały Dyrekcje Okręgowe Szkolnictwa Zawodowego, na czele opolskiego stanął Tadeusz Tokarz. Nowy system zakładał prowadzenie szkolenia praktycznego we własnych szkolnych warsztatach, zdobyte umiejętności miały być poszerzane przez praktyki odbywane w zakładach pracy. Do szkół podległych opolskiemu DOSZ-owi w roku szkolnym 1950/51 uczęszczało 11.821 uczennic i uczniów, pobierali oni naukę w 34 szkołach; w 28 szkołach należących do różnych resortów zawód zdobywało 6.850 wychowanków. W 1957 roku zlikwidowano CUSZ, nadzór nad szkolnictwem zawodowym przejęło Ministerstwo Oświaty i Wychowania, a w terenie kuratoria oświaty i wychowania, w tym samym roku powstały

⁴ Stefan M. Kwiatkowski, *Kształcenie zawodowe – wyzwania, priorytety, standardy*. Warszawa 2006.

⁵ Zbigniew Kwieciński, *Nieobecne dyskursy*. Część VI. Toruń 2009.

⁶ Stanisław Gawlik, Herman Głowacki, *Geneza i rozwój szkolnictwa zawodowego na Opolszczyźnie*. Opole 1983.

⁷ Jerzy Duda, Franciszek Dzionek, Bogdan Cimała, *Magna Porta Scholarum Opoliensium*. Opole 1995.

szkoły zawodowe dla absolwentów liceów ogólnokształcących.

W 1958 roku szkolnictwo zawodowe wzbogaciło się o zasadnicze szkoły przyzakładowe i doksztalcające. Dla władz szkolnych ta forma kształcenia stała się skutecznym środkiem rozwiązywania trudności w zakresie kształcenia ponadpodstawowego w związku z wzrastającą liczbą absolwentów szkół podstawowych, będącą następstwem wyżu demograficznego.

Trzeba wspomnieć o funkcjonowaniu szkół zawodowych specjalnych, w których uczyła się młodzież defektywna, która ze względu na opóźniony rozwój umysłowy, wadę słuchu lub właściwości charakterologiczne nie mogła podołać nauce w szkołach normalnych. Zawodu uczyli się wychowankowie w własnych szkolnych warsztatach. Do najbardziej znanych należały ośrodki w: Leśnicy Opolskiej – dla umysłowo upośledzonych, w Raciborzu – dla głuchych oraz w Namysłowie – dla społecznie niedostosowanych.

W 1954 roku w Raciborzu uruchomiono pierwsze w naszym województwie Studium Nauczycielskie, rozpoczęło ono działalność w nowoczesnych obiektach, wśród nich była kryta pływalnia. Studium przeznaczone było dla absolwentów liceów ogólnokształcących. Pierwszym dyrektorem Studium był dr Józef Gruszka, w przyszłości opolski kurator oświaty i wychowania, podobną placówką w Opolu kierował Edward Szybiński.

13 lipca 1961 roku Sejm przyjął ustawę o rozwoju systemu oświaty i wychowania w PRL. W miejsce dotychczasowej siedmioklasowej szkoły podstawowej wprowadzono szkołę ośmioklasową. W zakresie kształcenia zawodowego ustawa przewidywała dwa główne typy szkół, oparte na 8-klasowej szkole podstawowej: 2- i 3-letnie zasadnicze szkoły zawodowe przygotowujące kwalifikowanych robotników oraz 4- i 5-letnie technika i licea równorzędne dające dyplomy techników i równorzędne, np. pielęgniarza.

Cechą charakterystyczną reformowanego szkolnictwa zawodowego w naszym regionie był jego dynamiczny rozwój, zarówno w wymiarze ilościowym i jakościowym. Wraz ze szkołami młodzieżowymi rozbudowie podlegała sieć szkół dla pracujących.

W szczytowym okresie rozkwitu szkolnictwo zawodowe dysponowało w naszym województwie 117 technikami i szkołami równorzędnymi oraz 106 szkołami zawodowymi. Najsilniej rozbudowaną siecią szkół zawodowych dysponowało Opole, działało tu 56 jednostek oświaty zawodowej.

Do końca minionego wieku naukę w szkołach zawodowych na Opolszczyźnie ukończyło ponad 500.000 absolwentów, według szacunkowych wyliczeń ponad 55 proc. z nich uzyskało dyplom robotnika wykwalifikowanego, pozostali tytuł technika lub równorzędny. Ogółem zdobywano jeden z 92 zawodów robotniczych lub też jedną z 69 specjalności prowadzonych w technicach i liceach równorzędnych. Wśród absolwentów najpoważniejsze grupy zawodowe reprezentowa-

li przedstawiciele następujących zawodów: mechanicy – 115 000; budowlani 45 000; zawody usługowe – 40 000 absolwentów itd.

Rozwój szkolnictwa zawodowego był możliwy dzięki dynamicznej rozbudowie bazy oświatowej, już na początku lat sześćdziesiątych minionego wieku rozpoczęło się „wielkie budowanie”, przypomnijmy bodaj niektóre z nowo powstałych szkół zawodowych: Technikum Materiałów Wiązujących w Opolu, Zespół Szkół Budowlanych w Opolu, Zespół Szkół Zawodowych w Głucholazach, Zespół Szkół Mechanicznych w Kluczborku itd. Także zakłady przemysłowe wniosły wielki wkład w dzieło budownictwa oświatowego, zbudowano od podstaw to m.in.: Zespół Szkół Koksowniczych w Zdieszowicach, Zespół Szkół Zawodowych ZA w Kędzierzynie-Koźlu, Zespół Szkół Zawodowych ZUP w Nysie, Zespół Szkół Zawodowych Celpy w Łambinowicach itd.

Praktyczną naukę zawodu uczniowie odbywali w własnych lub zakładowych warsztatach szkolnych. Warsztatów szkolnych było 14, wytwarzane tam produkty cieszyły się wielkim powodzeniem w kraju i poza jego granicami, i tak: w Raciborzu montowano splukiwarki do buraków cukrowych, eksportowane do Chin, Iraku i Iranu; w Opolu powstawały tokarki i we współpracy z Instytutem Spawalnictwa w Gliwicach manipulatory spawalnicze; Kluczbork słynął z produkcji wiertarek kadłubowych. Warsztaty Szkolne Zespołów Szkół Mechanicznego i Elektrycznego w Opolu pomogły opolskim uczelniom w przygotowaniu pracowni ćwiczeniowych. Z kolei Warsztaty Szkolne Zespołu Szkół Zawodowych im. Kazimierza Gzowskiego miały wielki udział przy wznoszeniu obiektów oświatowych w naszym województwie.

Znaczący wkład w rozwój oświaty zawodowej dla naszego regionu i dla kraju wniosła Wyższa Szkoła Pedagogiczna w Opolu. Dzięki życzliwości władz uczelni przy Wydziale Matematyki, Fizyki i Chemii uruchomiono w 1969 roku nowe kierunki kształcenia, przygotowujące przyszłych nauczycieli przedmiotów mechanicznych i elektrycznych w technicach i zasadniczych szkołach zawodowych. Dziekan Wydziału doc. Adam Myślicki dla potrzeb nowych kierunków pozyskał okazałe obiekty przy ulicach Buczka (obecnie biskupa Kominka) i Szenwalda (obecnie Dmowskiego). W skład kierowanego przez doc. Józefa Pietrzykowskiego Instytutu Techniki weszły Katedry: Maszynoznawstwa (kierownik Jerzy Czech), Technologii Mechanicznej (kierownik Jan Tarasek) i Elektrotechniki (kierownik Stanisław Tarnawski). Kierownicy katedr byli wcześniej wyróżniającymi się nauczycielami szkół zawodowych.⁸

Początek lat dziewięćdziesiątych XX wieku przyniósł gwałtowny upadek szkolnictwa przyzakładowego. Niepewne swych losów przedsiębiorstwa prze-

⁸ Stanisław Sławomir Nicieja, *Alma Mater Opoliensis. Ludzie. Fakty. Wydarzenia*. Opole 2005.

mysłowe w pierwszej kolejności likwidowały własne, znakomicie najczęściej wyposażone szkoły. Całkowitej likwidacji uległy szkoły podległe resortowi komunikacji. Warto zaznaczyć, że zakłady, zamykając szkoły, przekazywały nieodpłatnie władzom oświatowym bazę, w ten sposób oświacie przybyło bezinwestycyjnie wiele obiektów.

Przypominając dorobek oświaty zawodowej na Śląsku Opolskim, warto przypomnieć także nazwiska organizatorów i nauczycieli szkół zawodowych, niekwestionowanych twórców sprawnie działającego systemu szkolnictwa zawodowego, zaliczanego do najlepszych w kraju, oto tylko niektórzy z nich: Jan Mazurkiewicz, Tadeusz Urbańczyk, Henryk Łątka, Jan Matczyński, Franciszek Dzionek, Adam Feusette (wszyscy z Opola), Leopold Sułek, Eugeniusz Wyjadłowski (Kluczbork), Aleksander Moś, Bronisław Skibiński, Maria Wargocka-Tarasek (Nysa), Jan Neuman (Kędzierzyn-Koźle), Eugeniusz Szymaniec, Kazimierz Bożek (Strzelce Opolskie) i wielu innych.

Szkolnictwo zawodowe do końca dwudziestego wieku zajmowało w systemie oświatowym Śląska Opolskiego miejsce szczególne, stanowiło bowiem głów-

ny nurt kształcenia i wychowania młodego pokolenia. Począwszy od lat sześćdziesiątych XX wieku, szkoły zawodowe wszystkich typów w naszym województwie przyjmowały w każdym roku ponad 50.000 absolwentów szkół podstawowych. O randze szkolnictwa zawodowego na ziemi opolskiej, które stało się jedną z wielkich wartości społecznych województwa, może świadczyć fakt, że w świetle badań, wśród każdego tysiąca mieszkańców Opolszczyzny 598 osób ukończyło którąś z działających tu szkół zawodowych.⁹

Trzeba wierzyć, że tak jak w nieodległej przeszłości, także obecnie szkolnictwo zawodowe potrafi sprostać wyzwaniom współczesności i stanie się ważnym i trwałym ogniwem wojewódzkiego i narodowego systemu społeczno-gospodarczego.

Jerzy Duda, Alicja Skubacz

⁹ Robert Radziński, Maria Grzegorzcyk: Raport w sprawie kształcenia i zatrudnienia absolwentów szkół średnich i wyższych na Śląsku Opolskim do 2000 roku. Biuletyn Informacyjny WOINTE, nr 1, Opole 1988.

Półka Sułka

Milczący mikrofon

Dosyć ostrożnie podchodzę do pracy dziennikarskiej, zwłaszcza gdy dziennikarz przymierza się do stworzenia czyjegoś portretu, próbuje opisać czyjeś życie, a więc oddać prawdę w miarę chociaż obiektywną. Łatwo ulegają bowiem dzisiejsi biografisci-zurnaliści chęci schlebienia gustom najniższym, odsłaniając intymności skąpane w aurze skandalu, przy czym efekt ów osiągają sprawnym manipulowaniem materiałem, niedopowiedzeniem lub sugestią niesmacznie dwuznaczną.

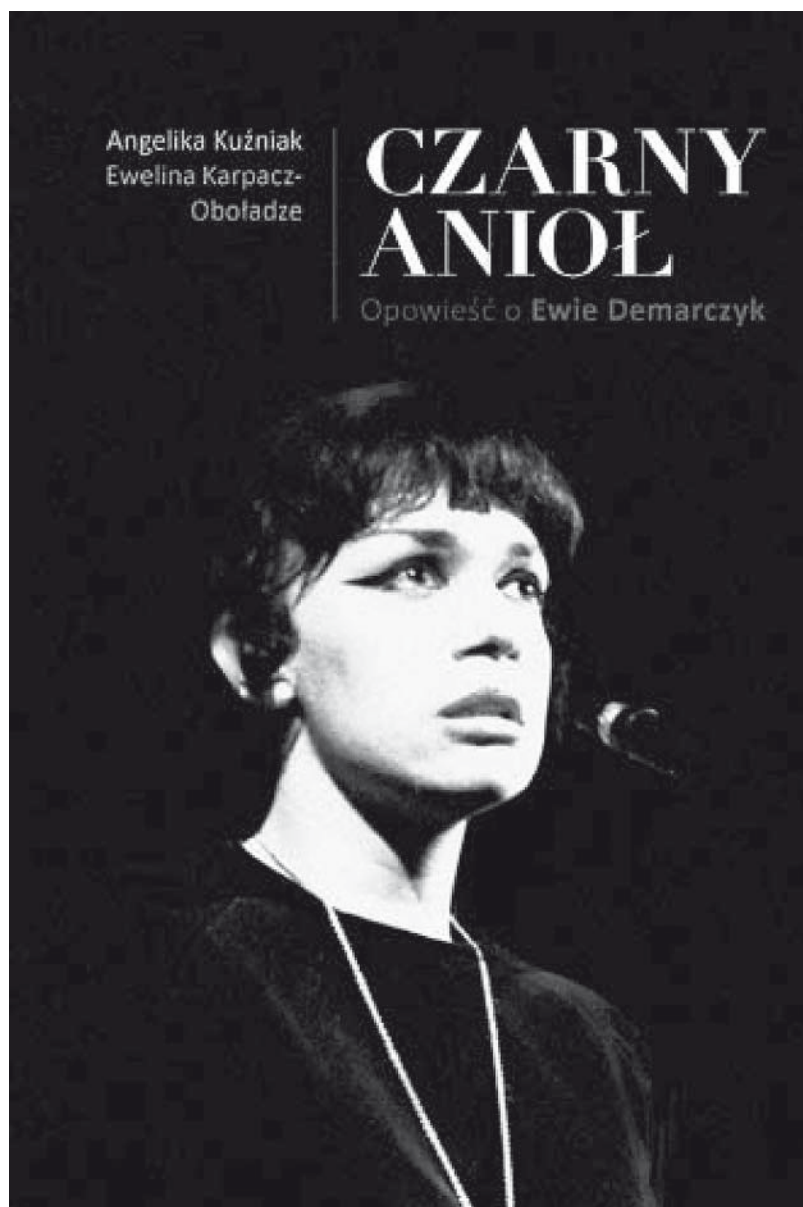
Zastrzegę od razu, że nie jestem bynajmniej zwolennikiem wyłącznie pomników ze słów budowanych, gdzie prawdę się zataja i fakty niechlubne pomija. Nie jestem też pewien, czy prawda obiektywna w ogóle istnieje, jako że żywot ludzki, a zwłaszcza dusza człowieka, nigdy w pełni poznana być nie może. Więc z tym portretowaniem ludzi trzeba bardzo ostrożnie, pamiętając, by nie osądzać zbyt łatwo. Tym bardziej, że i pamięć, delikatnie mówiąc, z upływem lat figle płata.

Toteż, wyrzucając za siebie wszelkie uprzedzenia, do lektury książki o Ewie Demarczyk autorstwa dwóch reportażystek, Angeliki Kuźniak (autorki bardzo dobrze przyjętej książki „Papusza”) i Eweliny Karpacz-Oboładze, jąłem się zabierać.

I wciągnęła mnie.
I zachwyciła.

Zgrabnie łącząc wypowiedzi wielu przepytanych na okoliczność książki znajomych, współpracowników i przyjaciół artystki, autorki stworzyły rzecz niebanalną. Pełną pasji i z dreszczykiem, a zarazem absolutnie nieprzegadaną. Ktoś może zarzucić, że nie rozmawiały z samą artystką, lecz ta wywiadów od dawna udzielać nie chce i skrywa skrzętnie swoje życie prywatne. Czy zatem można tak? Można. Tu argumentem koronnym niech będzie, że cokolwiek byśmy nie chowali, planowali, wymyślali na swój temat, z drugiej strony są przecież ludzie – i ich widzenie, pamiętanie, wspomnianie, interpretowanie. Od swojej obecności w innych nie uciekniemy.

Uzbierały jednak autorki sporo wypowiedzi samej Ewy Demarczyk, która, bądź co bądź, zupełnym milczkiem, zwłaszcza w czasie gdy odnosiła największe sukcesy, nie była. Wszystko to razem ułożone jest tak, że nawet wobec sprzecznych relacji i wypowiedzi, autorki pozwalają nam pozostać, być może jak one same, w konsternacji. Na przykład w relacji z koncertu, gdzie pada informacja, że Ewa Demarczyk podróżuje TIR-em, razem z całym estradowym sprzętem. Zapy-



Oktładka książki „Czarny Anioł. Opowieść o Ewie Demarczyk”

tany o to jeden z muzyków akompaniujących piosenkarce stwierdza, że w ogóle zespół już wtedy z nią nie grał, że pewnie puszczała muzykę z taśm. A chwilę dalej mamy wypowiedź Demarczyk, że nie lubi playbacków. Jaka jest prawda?

Niezwykle mocne wrażenie robiły na mnie powściągliwe wspomnienia czasu okupacji. Żadnej łąkowej martyrologii, jak to było ciężko i źle. To wiemy, a przynajmniej powinniśmy wiedzieć. Czytamy więc: „16 stycznia 1941 urodziła się Ewa. Trwała wojna. W dziewięćdziesięciometrowym mieszkaniu Janiny i Leonarda żyło wtedy osiemnaście osób”. A nieco dalej: „Dziadek Ewy sprzedawał ryby i raki, które łowił w Białusze (...). Janina Demarczyk szyla”. A kiedy ukrywali się w piwnicy, czekając na wyzwolenie w 1945 r., „Leonard Demarczyk przytargał skrzynię z magazynów spożywczych. W niej, to okazało się po otwarciu, dwadzieścia pięć butelek szampana”.

O wiele bardziej dramatyczny jest opis eksmisji teatru, wiele lat później, już w 1997 roku, Teatru Ewy

Demarczyk, oficjalnie – za czynsz, niepłacony rodzinie Tannenbaumów, będącej jakoby właścicielem kamienicy mieszczącej teatr. Demarczyk odmówiła jego płacenia, nie uznając ich za właścicieli, jako że „nie udało mi się dotrzeć do żadnych dokumentów, które by potwierdzały ich prawa”. Poturbowanego dyrektora, który zabarykadował się w teatrze, wyrzucając później wynajęci ochroniarze.

Z przytoczonych powyżej fragmentów powstać może mylny obraz, że o muzyce, o piosenkach jest w książce niewiele. Otóż uspokajam: jest sporo. Jest o perfekcjonizmie, tytanicznej pracy i artystycznym wizjonerstwie. Niezwykle wymowna rzecz, oddająca skalę fenomenu piosenkarki, znajduje się w przypisach, dokładniej – Dyskografii. Jest to informacja absolutnie powalająca. Otóż w 1975 roku w ZSRR ukazała się płyta Ewy Demarczyk w dwumilionowym (!) nakładzie, a w sumie na terenie Związku Radzieckiego sprzedano ponad 17 milionów płyt artystki. Niech się zachwycający sukcesem Bajer Fulla z chińską wersją „Majteczek w kropeczki” schowają. Tyle powiem.

Wiele wątków w tej książce, wiele pytań pozostaje bez jednoznacznej odpowiedzi, a spraw bez rozwiązania. Skojarzył mi się ten styl prowadzenia narracji z programami Wołoszańskiego z cyklu „Sensacje XX wieku”. Tak to opowiedziane. Ze swadą. Tak zaj-

mująco, że ma się wrażenie, jakby człek poznał wiedzę tajemną, dostępną wtajemniczonym tak bardzo, że aż trudno sobie wyobrazić, jak bardzo.

Mam nadzieję, że jeżeli pani Ewa Demarczyk przeczyta tę książkę, to jako wielbicielka kryminałów (o czym w książce wyczytać również można), będzie zadowolona, niezależnie od tego, czy ze wszystkim się zgodzi. A może nawet dobrze, jak się nie zgodzi, bo może to ją nakłoni do wyjścia z ukrycia, pomimo słów wieńczących książkę: „Rośliny są bardziej oddane niż ludzie. Ja się na ludziach zawiodłam”.

I może lepiej niech się nie wdaje w żadne polemiki. Niech po prostu zaśpiewa.

Witold Sulek

„Czarny Anioł. Opowieść o Ewie Demarczyk”. Angelika Kuźniak, Ewelina Karpacz-Oboładze wyd. Znak 2015

Noty o autorach:

Regina Brzózka – przewodnicząca Forum Studenckiego Ruchu Naukowego UO.

Prof. dr hab. Wojciech Chlebda – dyrektor Instytutu Sławistyki UO, członek Komitetu Językoznawstwa i Komitetu Słowianoznawstwa PAN oraz Komisji Etymologicznej i Komisji Frazeologicznej Międzynarodowego Komitetu Słowistów, członek Centralnej Komisji ds. Stopni i Tytułów. Jest członkiem redakcji najważniejszych polskich periodyków sławistycznych, m.in. „Slavii Orientalia” i „Rocznika Sławistycznego”. Opublikował ponad 250 prac naukowych, w tym cztery monografie; jest współautorem czterech słowników przekładowych.

Dr Adriana Dawid – adiunkt w Katedrze Historii Śląska Instytutu Historii Uniwersytetu Opolskiego. Zainteresowania naukowe: historia Śląska XIX i XX wieku.

Prof. dr hab. Elżbieta Dąbrowska – prodziekan ds. nauki Wydziału Filologicznego UO, kierownik Zakładu Literatury Współczesnej i Teorii Literatury. Prezes Opolskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Autorka prac na temat dramatu i teatru, badaczka poezji i prozy współczesnej, zwłaszcza jej związków z dalszą i bliższą tradycją i kulturą. Zajmuje się stylistyką i poetyką tekstu artystycznego; teorią i praktyką literacką, strategiami i efektami relacji intertekstualnych, intersemiotycznych i interdyscyplinarnych.

Jerzy Duda – emerytowany nauczyciel, b. kurator oświaty i wychowania w Opolu, autor wielu publikacji dotyczących historii oświaty w woj. opolskim.

Dr Joanna Filipczyk – doktor nauk humanistycznych w zakresie nauk o sztuce, kustosz, kierownik Działu Sztuki Muzeum Śląska Opolskiego.

Prof. dr hab. Stanisław Gajda – kierownik Katedry Języka Polskiego Instytutu Polonistyki i Kulturoznawstwa UO. Członek wielu organizacji naukowych, m.in. Międzynarodowego Komitetu Słowistów, Komitetu Językoznawstwa PAN, Komitetu Słowianoznawstwa PAN, Rady Języka Polskiego, Rady Naukowej Instytutu Języka Polskiego PAN, Rady Naukowej Instytutu Badań Literackich PAN. Członek korespondent PAN. Zainteresowania badawcze: język polski, języki słowiańskie (teoria i historia języka, onomastyka, socjolingwistyka, teoria tekstu, stylistyka, leksykologia i kultura języka).

Jan Goczoł – poeta, publicysta, absolwent opolskiej Wyższej Szkoły Pedagogicznej, autor książek poetyckich: *Małgorzata* (1961), *Topografia intymna* (1961), *Sprzed drzwi* (1969), *Manuskrypt* (1974), *Poezje wybrane* (1985), *Znad Odry* (1996), *Zapisy śladowe* (1999), *Z pogorzeliiska* (2011) i felietonów literackich *Na brzoźowej korze* (2000).

Ks. dr Piotr Górecki – dr nauk teologicznych w zakresie historii Kościoła, adiunkt na Wydziale Teologicznym UO.

Zbigniew Górniak – dziennikarz. Obecnie pracuje w Dziale Promocji UO. Prowadzi zajęcia z dziennikarstwa prasowego, współpracuje z „Nową Trybuną Opolską” i Radiem Opole. Felietonista, autor trzech powieści wydanych m.in. przez WAB i Wyd. Prószyński i s-ka.

Agnieszka Górska – doktorantka Instytutu Polonistyki i Kulturoznawstwa UO.

Andrzej Hamada – nestor opolskich architektów, urodzony w Gdańsku znawca historii Opola, w którym mieszka od ponad sześćdziesięciu lat.

Dr Jan Heffner – absolwent Wydziału Fizyki Uniwersytetu Wrocławskiego, od 60 lat związany z Instytutem Fizyki Wyższej Szkoły Pedagogicznej, a później Uniwersytetu Opolskiego. Społecznik, filatelista.

Roman Hlawacz – fotografik, członek Związku Polskich Artystów Fotografików. Ma w dorobku ponad 50 wystaw autorskich, udział w ponad 450 wystawach fotograficznych oraz konkursach filmowych w kraju i za granicą, liczne nagrody i wyróżnienia, prezentacje m.in. w Austrii, Belgii, Danii, Francji, Niemczech, Hiszpanii, Brazylii, w Czechach i na Węgrzech.

Prof. dr hab. Włodzimierz Kaczorowski – pracownik naukowy Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Opolskiego. Jego badania naukowe dotyczą głównie dziejów powszechnych i Polski XV-XIX wieku, zwłaszcza parlamentaryzmu, wymiaru biologicznego w badaniach historyczno-prawnych oraz biografistyki.

Prof. dr hab. Marcei Kosman – historyk (dzieje kultury polskiej nowożytnej, kultura polityczna), pracownik naukowy Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Autor kilkunastu książek, m.in. *Na tropach bohaterów „Krzyżaków”*, *Na tropach bohaterów „Quo vadis”*, *Wojciech Jaruzelski wobec wyzwań swoich czasów. O kulturze politycznej w Polsce przełomu tysiącleci*, *Dějiny Polska*.

Dr hab. Bartłomiej Kozera, prof. UO – pracownik naukowy Instytutu Filozofii Uniwersytetu Opolskiego. Tematyka badań: filozofia średniowieczna i jej współczesne kontynuacje, filozofia Boga i filozofia religii, filozofia społeczna.

Teresa Kudyba – reportażystka, dokumentalistka, producentka telewizyjna, absolwentka opolskiej Wyższej Szkoły Pedagogicznej (filologia polska).

Monika Latek – studentka III roku filologii polskiej (studia licencjackie) UO.

Katarzyna Mazur-Kulesza – starszy dokumentalista w Muzeum UO, absolwentka historii i studiów podyplomowych z informacji naukowej i bibliotekoznaw-

stwa oraz zarządzania zasobami ludzkimi na UO, studentka studiów podyplomowych z muzeologii na Uniwersytecie Jagiellońskim.

Prof. dr hab. Stanisław Nicieja – historyk (biografistyka najnowszych dziejów Polski, historia najnowsza), urzędujący rektor Uniwersytetu Opolskiego (wybrany na to stanowisko po raz trzeci), współautor filmów dokumentalnych, autor kilkunastu książek, m.in.: *Cmentarz Łyczakowski we Lwowie 1786-1986*; *Cmentarz Obrońców Lwowa*; *Z Kijowa na Piccadilly. Wokół biografii Tadeusza Zabłockiego – Gwasza*; *Łyczaków – dzielnica za Styksem*; *Tam gdzie lwowskie śpią Orleża*; *Cmentarz Łyczakowski w fotografii*; *Twierdze kresowe Rzeczypospolitej. Historia, legendy, biografie*; *Kresowe Trójmiasto. Truskawiec-Drohobycz-Boryslaw*; *Lwowskie Orleża. Czyn i legenda*; *Kresowa Atlantyda*.

Leszek Oldak – grafik, plakacista, rysownik, ilustrator i scenograf. Jego prace znajdują się m.in. w zbiorach Muzeum Karykatury w Warszawie, Muzeum Plakatu w Wilanowie, Biurze Wystaw Artystycznych w Zamościu, Archiwum Satyrykonu w Legnicy oraz w kolekcjach prywatnych w kraju i za granicą.

Tadeusz Parcej – opolski fotografik. Zdjęcia publikował w pismach artystycznych: „Format”, „Exit”, „Sztuka”, „Dialog”, „Teatr” oraz wydawnictwach książkowych. Autor wystaw indywidualnych i zbiorowych, m.in. *Kościół drewniany Opolszczyzny* (2007), *Album rodzinny* (2009). Stały współpracownik „Indeksu”.

Dr Mariusz Patelski – adiunkt w Katedrze Biografistyki Instytutu Historii UO. Autor książek: *Generał broni Tadeusz Jordan Rozwadowski – żołnierz i dyplomata i Niezależne Zrzeszenie Studentów w Opolu 1980-1990* oraz ponad stu artykułów poświęconych problematyce kresowej, historii wojskowej i dziejom najnowszym Śląska Opolskiego, publikowanych m.in. na łamach: paryskich „Zeszytów Historycznych”, „Arcanów”, „Życia”, „Studiów Śląskich”, „Sobótki”, „Stron” i „Indeksu”. Konsultant historyczny w filmach dokumentalnych pt.: *Roman Dmowski – niedokończona kariera*; *Zapomniana generał - Tadeusz Jordan Rozwadowski*; *Droga do Rzeczypospolitej*; *Kryptonim „Wichrzyciele”* i in.

Ks. dr hab. Joachim Piecuch, prof. UO – pracownik naukowy Instytutu Filozofii Uniwersytetu Opolskiego. Tematyka badań: filozofia człowieka, ontologia, fenomenologia.

Prof. dr hab. Anna Pobóg-Lenartowicz – kierownik Katedry Historii Średniowiecznej Instytutu Historii UO. Zainteresowania naukowe: monastycyzm średniowieczny (ze szczególnym uwzględnieniem kanoników regularnych, cystersów i dominikanów), dzieje Księstwa Opolskiego (do 1532 r.), historiografia średniowieczna, nauki pomocnicze historii.

Natalia Roślik – studentka III roku stosunków międzynarodowych w Instytucie Politologii UO.

Maciej Siembieda – dziennikarz, autor kilkuset tekstów publikowanych m.in. w „Polityce” i „Kulturze” (Paryż) oraz czterech zbiorów reportaży. Był redaktorem naczelnym m.in. „Nowej Trybuny Opolskiej”, „Trybuny Śląskiej” i „Dziennika Bałtyckiego”. Trzykrotny laureat Nagrody Stowarzyszenia Dziennikarzy RP oraz pięciu nagród Media Trend. Autor szkoleń dziennikarskich dla największych polskich wydawnictw prasowych. Doradca wielu firm i samorządów w dziedzinie relacji z mediami, promocji i komunikacji społecznej.

Joanna Silska – studentka III roku (licencjat) filologii polskiej w Instytucie Polonistyki i Kulturoznawstwa UO.

Dr Krzysztof Spalek – adiunkt w Samodzielnej Katedrze Biosystematyki Uniwersytetu Opolskiego. Współredagował pierwszą w Polsce regionalną *Czerwoną księgą roślin województwa opolskiego*. Jako pierwszy odkrył stanowisko paleontologiczne w Krasiejowie. Zainteresowania naukowe: fitosocjologia i geobotanika, ze szczególnym uwzględnieniem zbiorowisk roślin wodnych.

Dr Piotr Stanisławiszyn – adiunkt w Pracowni Prawa Finansowego Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Opolskiego.

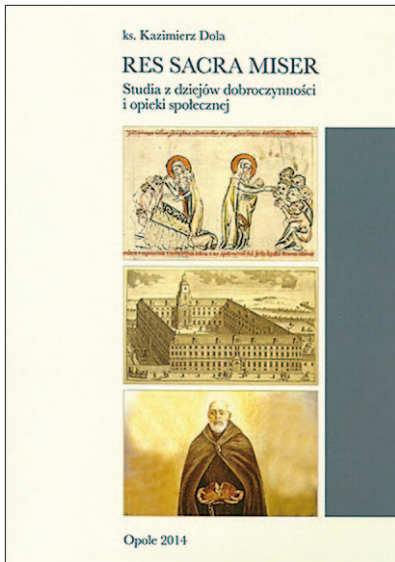
Witold Sulek – opolski księgarz, poeta, pisarz. Autor tomu wierszy *Plantacja* oraz książki dla dzieci *Bajka o małym łosiu*. Publikował w pismach STRONY, RED, książkach zbiorowych. Animator kultury, aktor Teatru Fieter z Ozimka.

Dr Adam Wierciński – historyk literatury, krytyk, publicysta. Zainteresowania naukowe: historia literatury, historia i kultura dawnej Polski, kultura języka. Autor kilku książek (m.in.: *Przywracanie pamięci*, 1993, 1997: *Głowy opolskie*, 1999, 2008; *O nijaczeniu języka*, 2006) oraz kilkuset tekstów naukowych, publicystycznych i paraliterackich.

Irena Wyczółkowska – poetka, eseistka, absolwentka filologii polskiej Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Opolu. Kilkanaście lat współpracowała z Radiem Opole, omawiając nowości książkowe. Była także członkiem redakcji kwartalnika „Strony”. Debiutowała w 1958 roku w „Odrze”. Po wczesnym debiucie zrezygnowała z pisania na całe ćwierć wieku. Opublikowała tomiki poetyckie: *Skóra węża*, *Gdzie piołun rośnie*, *Ptaszysko*, *Balkon bez poręczy*, *Gwar utajony*, *Smocza samotność*, *Wstęp do teorii jawy*, *Ulica Równoległa*, *Bilet na wodolot*, *Portret z duszą na ramieniu*, zbioru krótkich opowiadań *Mitoplotki*. Jest członkiem Stowarzyszenia Pisarzy Polskich.

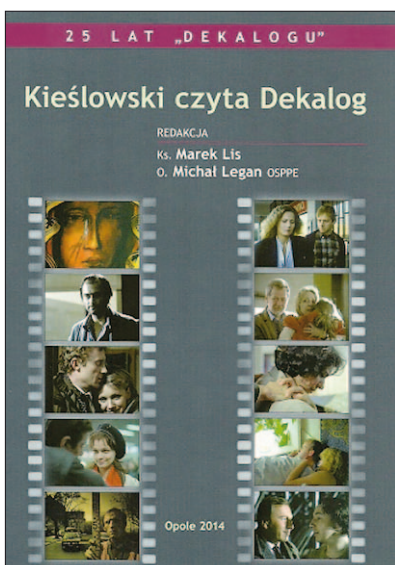
Nowości Redakcji Wydawnictw Wydziału Teologicznego UO

Dola Kazimierz, *Res sacra miser – studia z dziejów dobroczynności i opieki społecznej*, (seria: Z Dziejów Kultury Chrześcijańskiej na Śląsku, nr 84), Opole 2014, 546 s., cena 31,00 zł



Publikacja zawiera wybór tekstów wydanych przez Wydział Teologiczny Uniwersytetu Opolskiego z okazji 80. rocznicy urodzin Autora.

Lis Marek, Legan Michał OSPPE (red.), *Kieślowski czyta Dekalog*, (seria: Opolska Biblioteka Teologiczna, nr 145), Opole 2014, 138 s., cena 11,50 zł



Książka to powrót do cyklu filmów Krzysztofa Kieślowskiego, 25 lat po ich powstaniu. Każdy z dziesięciorga autorów – filmoznawców, teologów, dziennikarzy – dzieli się własnym spojrzeniem na jeden wybrany film.

Widok Norbert (red.), *Przegląd Piśmiennictwa Teologicznego Rok XX*, (czasopismo, nr 1(39)), Opole 2014, 96 s., cena 12,50 zł

UNIWERSYTET OPOLSKI		PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA TEOLOGICZNEGO	
WYDZIAŁ TEOLOGICZNY UNIWERSYTETU OPOLSKIEGO		Rok XX Opole 2014 Nr 1 (39)	
		ISSN 1425-7995	
SPIS TREŚCI			
Recenzje			
G i a d y z J.M., <i>Wzrost duchowości w Seminarium Marii Róży Juchowicz w latach 1993-1996</i> (rec. R. Polpoch)			3
J a k o b i A., <i>Intencjonalność w procesie formowania się doktryny katolickiej</i>			4
A u f o r m u l a c y j n e (rec. R. Porada)			7
J e z. T., <i>Kultura myślenia na Śląsku i Ziemi Hrubickiej 1585-1776</i> (rec. R. Polpoch)			7
K o p i e n i c a H., <i>Wzrost duchowości w Seminarium Marii Róży Juchowicz w latach 1993-1996</i> (rec. R. Polpoch)			10
K o z a k i e z S., <i>Stwierdzenie Hagiografii nauki o zbawieniu w Kościele katolickim. Recenzja wybranych aspektów teologicznych i antropologicznych myśli Hagiografii w relacji do teologii wydziałowej</i> (rec. P. Jankalski)			11
M a r i a J., <i>Formacja duchowa w Seminarium Marii Róży Juchowicz w latach 1993-1996</i> (rec. M. Maczewska)			13
M a r i a J., <i>Wzrost duchowości w Seminarium Marii Róży Juchowicz w latach 1993-1996</i> (rec. M. Maczewska)			19
M a r i a J., <i>Wzrost duchowości w Seminarium Marii Róży Juchowicz w latach 1993-1996</i> (rec. M. Maczewska)			23
P a r t a k A., <i>Model ewangelizacji i kultury i teologii w teologii (komunikat)</i> (rec. A. Anderski)			26
P y z a G., <i>Formacja duchowa w Seminarium Marii Róży Juchowicz w latach 1993-1996</i> (rec. M. Maczewska)			27
R o z y s k i W., <i>Studia nad literaturą w zakresie teologii w Pracech Z badań nad religijnością w polskim seminarium</i> (rec. F. Wólbki)			30
S z e p a k i A., <i>Model ewangelizacji i kultury i teologii w teologii (komunikat)</i> (rec. A. Anderski)			32
S z e p a k i A., <i>Model ewangelizacji i kultury i teologii w teologii (komunikat)</i> (rec. A. Anderski)			34
Dokumenty Urzędu Nuncjatu Apostolskiego w Opole			36
Opisania ogólne			36
Bibliologia			40
Patologia			44
Historia Kościoła. Hagiografia. Biografie, pamiętniki i wspomnienia			45
Historia Kościoła			48
Hagiografia			48
Biografie, pamiętniki i wspomnienia			50
dokoleczenie na s. 96			

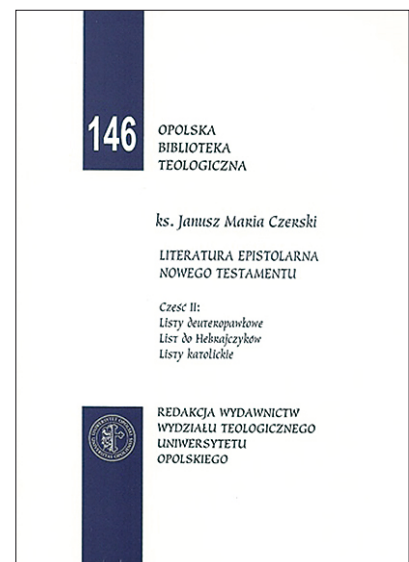
Jest to czasopismo o charakterze bibliograficznym, które zamieszcza opisy książek wydanych w Polsce. Zawiera recenzje i omówienia książek z teologii oraz dyscyplin pokrewnych, tj. filozofii, psychologii religii, kultury i sztuki, historii Kościoła itp. Czasopismo jest dużą pomocą dla studentów i pracowników naukowych, którzy zbierają materiały do swoich prac naukowych.

Czerski Janusz, *Literatura epistolarna Nowego Testamentu, cz. II*, (seria: Opolska Biblioteka Teologiczna, nr 146), Opole 2014, 239 s., cena 16,00 zł

Część II: listy deuteropawłowe, listy do Hebrajczyków, listy katolickie.



Dzierżanowska-Peszko Joanna, Landwójtowicz Paweł, *Człowiek wobec sytuacji trudnych. Poradnictwo i terapia*, (seria: Człowiek – Rodzina – Społeczeństwo, nr 25), Opole 2014, 196 s., cena 13,00 zł



Monografia składa się z kilkunastu artykułów nawiązujących do różnych sytuacji i doświadczeń negatywnych, które mogą pojawić się w życiu człowieka.

Przygotował:
Piotr Juszczyński

Nowości Wydawnictwa Uniwersytetu Opolskiego



Cimała B., Pogorzelska M., *Wokół różnorodności kulturowej i regionalizmu – rozważania teoretyczne i aspekty praktyczne*, ISBN 978-83-7395-635-3, Opole: Wyd. UO, 2014, format B5, 202 s. oprawa miękka, cena 17,85 zł



Autorzy podejmują tematykę regionalizmu i edukacji międzykulturowej, koncentrując się zarówno na aspektach ogólnych, jak i praktycznych rozwiązaniach wdrażanych w placówkach edukacyjnych. Pierwsza część publikacji zawiera artykuły, których celem jest przybliżenie pojęć związanych z wielokulturowością, tożsamością indywidualną i narodową oraz analiza związków zachodzących między nimi. Część druga została pomyślana jako zbiór tekstów prezentujących zagadnienia różnorodności form edukacji regionalnej i międzykulturowej, także w odniesieniu do różnych obszarów geograficznych.

Praca jest adresowana do kadry akademickiej, studentów kierunków pedagogicznych, historii, politologii, reprezentantów instytucji publicznych i organizacji pozarządowych zajmujących się edukacją międzykulturową.



Chlebda W. (red. nauk.), *Frazeologia a przekład*, ISBN 978-83-7395-619-3, Opole: Wyd. UO, 2014, format B5, 448 s., oprawa miękka, cena 37,80 zł



Monograficzny tom poświęcony jest przekładowemu statusowi jednostek frazeologicznych i paremiologicznych w słownikach różnego typu i w tekstach komunikacji codziennej i literackiej. Podnoszony jest problem istoty ekwiwalencji długojęzycznej, sposobów ustalania ekwiwalentów oraz typologii ekwiwalentów przekładowych. Tom składa się z blisko 50 tekstów autorstwa znanych teoretyków i praktyków frazeologii i frazeografii z Polski, Rosji, Ukrainy, Czech, Słowacji, Chorwacji, Serbii, Węgier i Niemiec. Praca zainteresuje teoretyków i praktyków przekładu (literackiego i użytkowego), teoretyków i twórców słowników przekładowych, językoznawców porównawczych, tłumaczy, studentów slawistyki wyższych roczników.



Kossakowska-Jarosz K., *Skryby z charyzmą. Estetyka biedermeyera a tożsamość górnośląska*, Stud. i Mon. nr 507, ISBN 978-83-7395-605-6, Opole: Wyd. UO,

2014, format B5, 258 s., oprawa miękka, cena 25,20 zł



Treści zawarte w niniejszej książce zebrano w kilku rozdziałach, których tytuły uwypatniają myśl przewodnią każdej części rozważań razem ukazujących strategię pisarską swoistych górnośląskich polskojęzycznych twórców wchodzących w XIX wieku na lokalny rynek piśmienniczy. Uporządkowano je według następującej kolejności: 1) Kulturowe znaki śląskości w przestrzeni historycznoliterackiej – próba zbliżenia; 2) Czytelniczy azymut dla rodaków. Załączki krytyki piśmienniczej na lokalnym rynku; 3) Autorefleksja pisarska: samoświadomość literackiej pozycji; 4) Pasja, motywacja i odpowiedzialność – wizerunek własny redaktorów; 5) Codzienność ostoją kultury regionu – obraz krajiny w tekstach Bonczyka; 6) Graniczność – krytyczne uwikłanie śląskości w literackim obrazowaniu; 7) Prasowa promocja pielgrzymowania jako wyrazu więzi z ziemią rodzinną i polsnością; 8) Kształtowanie wspólnoty czytających Ślązaków drogą do formowania narodu; 9) Książki pod urzędową kontrolą. Monografię dopełniają wprowadzenie i zakończenie oraz indeks osób. Refleksję nad śląskim

Nowości Wydawnictwa Uniwersytetu Opolskiego

rodzonym piśmiennictwem podporządkowano nowym kierunkom interpretacyjnym, głównie za sprawą przyjęcia w operacjach analitycznych aktualnej we współczesnym literaturoznawstwie kategorii „codzienności”. Projekt ten umożliwił ukazanie specyfiki rodzącego się w połowie XIX wieku śląskiego regionalizmu w perspektywie prawidłowości epoki biedermeieru. Światopoglądowe, historyczne i moralne przesłanki oraz liczne znaki mieszczańskich realiów dostrzeżone w tekstach ogłaszanych przez piszących po polsku Ślązaków skłoniły do zastanowienia się nad możliwością ich „biedermeierowskiego obramowania”. Jest to zupełnie nowe rozwiązanie wyjaśniające to piśmiennictwo, które stanowi zasadniczy walor niniejszego opracowania. Jego znaczenie polega również na tym, że przełamuje zwyczajowe ujmowanie tych autorów i ich twórczości w osobnych ramach naznaczonych wyłącznie lokalnymi prawidłowościami, w oderwaniu od prądów i tendencji obserwowanych wówczas na europejskim gruncie. Objęcie promowanego przez Ślązaków nowożytnego hasła wspólnoty jako wartości obywatelskiej naturą biedermeieru (szczególnie właściwą mu terapeutyczno-pocieszycielską funkcją literatury) ukazało, że założony program mieszczański w ideałach epoki realizowali oni sposób twórczy, bo nie promowali wewnętrznego spokoju, nie uginali się wobec losu. Bliskie im tropy romantyczne sprawiały, że nie rezygnując z tradycyjnych ideałów, wdrażali cnoty nowoczesnego społeczeństwa. O formowanie właśnie tej świadomości wśród rodaków podjęli w swoim piśmiennictwie wytrwałą batalię. Niniejsze opracowanie może skupić na sobie uwagę osób interesujących się kulturą Górnego Śląska, w szczególności historyków literatury, historyków kultury, antropo-

logów i etnologów oraz wszystkich tych, którzy badają zagadnienia literatury popularnej, socjologów literatury czy problematykę regionalizmu w różnych jego aspektach.



Laszczak W., Ambroziak D., Pudelko B., Wysoczańska-Pająk K. (red. nauk.), *Między tradycją a nowoczesnością. Tożsamość kobiety w przestrzeni domu, w historii, kulturze i na drogach emancypacji*, ISBN 978-7395-632-2, Opole: Wyd. UO, 2014, format B5, 580 s., oprawa twarda, cena 57,75 zł

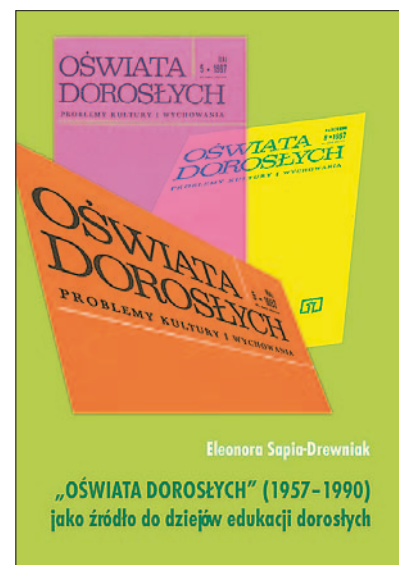


Książka powstała w czasach, w których toczy się walka o globalną kulturę równości. Sedno ideologiczne owej kultury wyraża się w groźnym – z punktu widzenia zarówno społecznego, jak i jednostkowego – dążeniu do zatarcia ontologicznych różnic między kobietą i mężczyzną oraz w głoszeniu niezwykle kontrowersyjnych teorii na temat popędowej struktury bytu. W kontekście mnożących się w skali globalnej faktów kulturowych, obyczajowych, etycznych inspirowanych przez ideologię gender inicjatorzy i redaktorzy tego tomu postawili sobie za cel zaproszenie przedstawicieli różnych dyscyplin humanistycznych do wspólnej debaty nad pytaniem

o tożsamość kobiety. Rozpatrywane jest ono tutaj w odniesieniu do sfery jej życia osobistego, mikroświata domu oraz przyjmowanych przez nią ról społecznych i publicznych z uwzględnieniem perspektywy czasowej, historycznej, nadto przestrzenno-geograficznej, związanej ze specyfiką kultury, mentalności i tradycji narodowych. Odbiorcami poszczególnych tekstów mogą być nie tylko badacze specjalizujący się w zakresie literaturoznawstwa, kulturoznawstwa czy też innych pokrewnych dziedzin, ale również studenci bądź szeregowi czytelnicy, którym książka może pomóc wejść w dialog z fundamentalnymi problemami naszej współczesności, gwałtownie burzącej dotychczasowy ład aksjologiczny i utrwalone przez tradycję systemy relacji międzyludzkich.



Sapia-Drewniak E., „*Oświata dorosłych*” (1957-1990) jako źródło do dziejów edukacji dorosłych, Stud. i Mon. nr 515, ISBN 978-83-7395-631-5, Opole: Wyd. UO, 2014, format B5, 210 s., oprawa miękka, cena 21,00 zł



W pracy przedstawiono obraz treści ważnego dla edukacji dorosłych czasopisma, wydawanego w

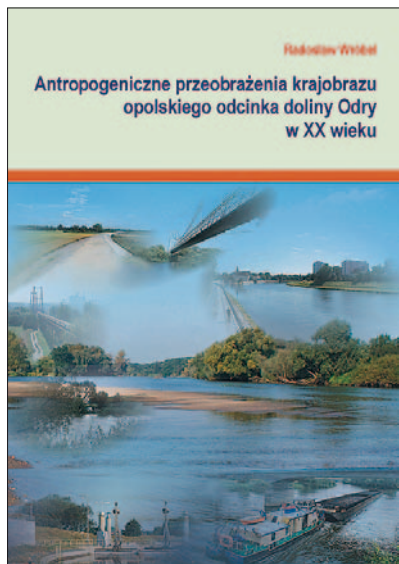
Nowości Wydawnictwa Uniwersytetu Opolskiego

okresie PRL. Dokonano analizy przemian w dziedzinie kształcenia, doksztalcenia i doskonalenia ludzi dorosłych zachodzących w powojennej Polsce. Jest to jednocześnie synteza pojawiających się w ubiegłych latach poglądów i sporów dotyczących kształtowania się andragogiki jako dyscypliny naukowej. Praca ta ukazuje również określone inicjatywy naukowe i edukacyjne podejmowane przez redakcję „Oświaty Dorosłych”, do których można się odwoływać współcześnie w zmienionych warunkach społeczno-politycznych.

Praca jest adresowana głównie do historyków wychowania i andragogów.



Wróbel R., *Antropogeniczne przeobrażenia krajobrazu opolskiego odcinka doliny Odry w XX wieku*, Stud. i Mon. nr 513, ISBN 978-83-7395-626-1, Wyd. UO, 2014, format B5, 206 s., oprawa miękka, cena 21,00zł



W książce podjęta została problematyka tych przemian krajobrazu opolskiego odcinka doliny Odry, które są efektem działalności człowieka. Określono zasięg tych przemian i miejsca ich największej koncentracji, wykorzystując do tego celu systemy infor-

macji geograficznej. Wskazano główne przyczyny zmian i podjęto próbę określenia działań mających na celu ograniczenie negatywnych czynników wpływających na analizowany obszar. Przedstawiono także główne walory fizycznogeograficzne i przyrodnicze opolskiego odcinka doliny Odry. Książka zawiera wiele map, w tym o charakterze archiwalnym, ukazujących Odrę w minionych latach. Praca jest adresowana do osób zajmujących się problematyką antropogenicznych przemian krajobrazu, systemami geoinformacyjnymi, zagadnieniami odrzańskimi oraz kartografią historyczną.

Ponadto ukazały się:

„Język a Edukacja“ 3: *Świadomość językowa*, (red. nauk.) J. No-

coń, A. Tabisz, ISSN 2299-5528, Opole: Wyd. UO, 2014, format B5, 258 s., oprawa miękka, cena 22,05 zł

„Opolskie Studia Administracyjno-Prawne“, XII/4/2014, (red. nauk.) W. Kaczorowski, ISSN 1731-8297, Opole: Wyd. UO, 2014, format B5, 102 s., oprawa miękka, cena 10,50 zł

„Studia Slavica“ 2014, t. XVIII/2, (red. nauk.) J. Czaplńska, J. Raclavská, ISSN 1803-5663, Opole: Wyd. UO, 2014, format B5, 316 s., oprawa miękka, cena 27,30 zł

„Studenckie Prawnicze Zeszyty Naukowe“ *Nomos i Dike*, z. 7, (red. nauk.) Pszczyński M. K., Ryszka J., ISSN 1897-7195, Opole: Wyd. UO, 2013, format B5, 204 s., oprawa miękka, cena 10,50 zł

Przygotowała: Lidia Działowska

Pełna oferta Wydawnictwa Uniwersytetu Opolskiego znajduje się na stronie internetowej wydawnictwa www.wydawnictwo.uni.opole.pl tam też działa księgarnia internetowa

RYS. LESZEK OŁDAK





Noc Biologów

(fot. Pamela Szczerbik)

Jak czują, widzą, słyszą i... smakują owady, jak zbudowane są pióra ptaków i ich gniazda, jak wyglądał opolski Jurassic Park, dlaczego kichamy i skąd bierze się czkawka? Na te i inne pytania poszukiwano odpowiedzi 9 stycznia br. podczas Nocy Biologów, zorganizowanej przez Katedrę Biosystematyki w gmachu Uniwersytetu Opolskiego przy ul. Oleskiej, gdzie na uczniów szkół podstawowych, gimnazjalistów i licealistów tego popołudnia czekały otwarte laboratoria i sale wykładowe.

